

HISTORIA MANON LESCAUT

XIADZ PRÉVOST

HISTORIA MANON LESCAUT i KAWALERA DES GRIEUX

Przełożył i wstępem zaopatrzył
TADEUSZ ŻELEŃSKI /BOY/



WIEDZA
Spółdzielnia Wydawnicza
WARSZAWA 1948

Ilustracje
ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO
Okładka i układ graficzny
ANDRZEJA RUDZIŃSKIEGO

Nakład 7.300 — Drukowano na papierze dziełowym bezdrzewnym 80 gr. form. 61×86. — Druk ukończono w lipcu 1948 r.

Zam. 1002/47. Drukarnia Nr 5 „Wiedza" Chorzów, Plac 1 Maja 17. — R 17211

O D T Ł U M A C Z A

Podobnie jak biograf *Adolfa*, tak i autor *Manon Lescaut* jest dla nas dziś człowiekiem jednej książki, mimo że kariera literacka tych dwóch pisarzy szła zupełnie odmiennymi drogami. Ksiądz Prévost był, w swoim czasie, — w pierwszej połowie XVIII w. — jednym z najpoczytniejszych powieściopisarzy; pisał dużo, za dużo nawet, pisał dla chleba, lub raczej aby nastarczyć potrzebom burzliwego i bezładnego życia. Cała jego puścizna autorska, mimo iż, jako dokument epoki, a nawet jako twór artystyczny nie pozbawiona wartości, stała się literą martwą; ocalała z niej tylko ta książeczka, skreślona przez autora od niechcenia, jak inne, ale w której skupiła się najistotniejsza treść pisarza i którą fala krwi, płynąca wprost z serca, z osobistych przeżyć i wzruszeń, zabarwiła na zawsze rumieńcem życia. Książeczką tą jest *Historia Manon Lescaut i kawalera des Grieux:* nieśmiertelna jako przedziwnie uchwycony typ kobiety, jeden z najgłębiej kobiecych jaki istnieje w literaturze, nieśmiertelna przez prostotę uczucia, jakie wypełnia tę książkę, ubogą co do fabuły, bogatą w treść wewnętrzną.

Życie pisarza brzmi jak historia jednego z bohaterów jego romansów. Antoni Franciszek Prévost, zwany też Prévost d'Exiles, urodził się w Hesdin, w r. 1697, ze starej rodziny szlachty urzędniczej, jako syn królewskie-

go prokuratora. Ukończywszy świetnie nauki w kolegium jezuitów rodzinnego miasta, namówiony przez ojców, przebył nowicjat w tymże zakonie w Paryżu, następnie rok filozofii w kolegium jezuickim w La Flèche. Powołanie młodego kapłana nie było zbyt niezłomne: czego dowodem fakt, iż opuszcza nagle kolegium i wstępuje do wojska (1717); zniechęca się niebawem, wraca do klasztoru, znowuż wymyka się do wojska, gdzie tym razem uzyskuje stopień oficerski, po czym... wstępuje do zakonu benedyktynów w Paryżu, i składa śluby kapłańskie w roku 1721. Przez szereg lat Prévost rozwija w klasztorze bogatą działalność: studiuje filozofię, jest głośnym kaznodzieją, wykłada *humanités* w kolegium Saint-Germer, oddaje się pracy naukowej. Ale ojcowie nie ufali mu mimo wszystko i otaczali go niecierpliwiącym nadzorem. Prévost nosi się z zamiarem przeniesienia do innego klasztoru, jednakże, wskutek nieporozumienia z zatwierdzeniem odnośnego dekretu, popada, niewątpliwie bez zamiaru, w drażliwą sytuację zbiegłego mnicha i, uchodząc przed grozą uwięzienia, chroni się do Anglii, gdzie znajduje życzliwe przyjęcie. Przebiega cały kraj, obserwując ziemie i obyczaje, które opisał dość wiernie w *Pamiętnikach*. Kłopoty pieniężne zmusiły go do przyjęcia obowiązków nauczyciela w zamożnej rodzinie, ale niedługo wytrwał na tym stanowisku. W r. 1729 przeprawia się do Holandii, gdzie ogłasza z powodzeniem pierwsze utwory literackie. Biografowie notują mglisto, że, w czasie tego pobytu „intrygantka jakaś opanowała do tego stopnia umysł jego i zmysły, iż popełnił kilka postępków dość śliskich, które kazały mu znowuż szukać schronienia w Anglii". Przed wyjazdem, ogłosił w Hadze *Manon Lescaut* (1731), która zyskała natychmiastowy rozgłos. Zdaje się iż Prévost, pod natchnieniem pierwowzoru Manon, będąc kuso z pieniędzmi, nie przebierał w środkach, gdy chodziło o ich zdobycie. Nieprzyjaciele obwiniali go o puszczanie fałszywych weksli: pogłoska ta — słuszna czy niesłuszna — długo ciążyła na pamięci pisarza. W tym okresie, Prévost zakłada dziennik *Za i przeciw*, bardzo poczytny i który w znacznej mierze przyczynił się we Francji do znajomości rzeczy i spraw angielskich. Powodzenie dziennika wydobywa pisarza z nędzy. Wraca do Francji w r. 1734, uzyskawszy, za pośrednictwem możnych protektorów — między innymi ks. Conti — załagodzenie nieporozumień z Kościołem; niebawem znów popada w nieporządne życie, i, w następstwie faktów nie dość wyjaśnionych (być może cichego współpracownictwa w gazecie wrogiej rządowi) musi opuścić Francję (1741). Przebywa w Brukseli, Frankfurcie, wreszcie, za pomocą „suplik", uzyskuje przebaczenie i wraca, w r. 1742, tym razem na stałe. W ostatnich latach tłumaczy z angielskiego, wydaje obszerną *Historię podróży*, jest mile widzianym gościem w wytwornych towarzystwach, redaguje *Dziennik cudzoziemski*. W r. 1754 otrzymuje godność przeora Saint-Georges de-Gesne z dość tłustym dochodem. W schronieniu wiejskim, syt wrażeń i przygód, prowadzi życie proste i zaciszne. Umiera nagle, w r. 1763.

Tytuły najgłośniejszych romansów Prévosta (liczba jego dzieł, wraz z przekładami, sięga setki tomów), to *Cleveland*, *Dziekan z Killerine* i *Pamiętniki szlachcica*, do których w pierwotnym swym wydaniu doczepiona była, jako ostatni tom, *Historia Manon Lescaut*.

Istnieją książki, które, w czytaniu, dają wrażenie prawdy i życia, a które ulatniają się z pamięci bez śladu; istnieją znowuż inne, z pozoru raczej blade, ale których odcisk zachowuje się na zawsze. Być może, iż czyta się

mózgiem, a pamięta sercem. W doraźnym wrażeniu, odgrywa rolę zwierzchnia szata, podległa tak wciąż zmiennej konwencji i modzie; utrwala się zaś jedynie owa wewnętrzna wibracja twórcza, którą przyjmujemy w siebie podświadomie, drogą innych jakichś, nieokreślonych narządów. Do tych ostatnich książek należy *Manon*. Jakże blado jest *instrumentowana* w porównaniu z techniką dzisiejszych romansów: żadnej ramy, ani skrawka pejzażu, ani śladu prawie dialogu, ani portretu działających osób — nic. Jako faktura, jest to typowy romans XVIII [1] w.; z tą ogólnikowością zewnętrznej charakterystyki unikającą wszelkiego realnego malowidła, tak dalece że nawet nazwiska osób chętnie zastępuje literami; z tymi „strumieniami łez" jakie sączą się co chwilę z ócz bohaterów na wyrażenie wszystkich uczuć; z sentymentalną „Ameryką" w zakończeniu romansu; ale, poprzez tę konwencję — miłą zresztą na ogół i szlachetną — opowieść ta tętni krwią serdeczną. Kto raz ją czytał, nie zapomni jej nigdy; raczej coraz silniej utrwala się ona w pamięci, w miarę jak treść własnych przeżyć czy spostrzeżeń barwi wciąż świeżymi kolorami wyblakły nieco lecz czysty rysunek jej konturów. Bo też i jest to jedna z tych książek, które kupuje się i płaci życiem. Autor zamknął w nią wszystkie burze swego zbyt czułego serca, zbyt słabego charakteru, i doli własnego żywota, w którym byłby się chciał widzieć

[1] Kiedy obecnie odczytywałem tę powieść przed ponownym oddaniem do druku, uderzyło mnie wszakże, ile w niej jest zarazem pierwiastków *romantyzmu*. Stanowczo, wszystkie te podziały i grupowania w literaturze, niezbędne zapewne dla orientacji i trafne z wielu względów, trzeba brać z ciągłą korekturą indywidualną, jak również odróżniać rysy formalne od głębszych rysów wewnętrznych danej jednostki.

cnotliwym Tybercym, a bywał kawalerem des Grieux, jeżeli nie gorzej. Zamknął w nią całą siłę miłości biednego Kawalera, miłości tak — od pierwszej do ostatniej stronicy — prostej, doskonałej i jednolitej w wyrazie, iż jedynie wielki artysta zdolny był wygrać na tej jednej strunie całą bogatą pieśń. Stworzył wreszcie — Manon. „Oto Manon Lescaut — pisze o niej Maupassant — najprawdziwsza *kobieta* jaką kiedy stworzono; naiwnie zepsuta, kochająca, odurzająca, sprytna, niebezpieczna i urocza. W tę postać, tak pełną pokusy i wrodzonej przewrotności, pisarz wcielił, zda się, wszystko, co może być najbardziej wdzięcznego, pociągającego i haniebnego w istocie niewieściej. Manon, to cała *kobieta*, taka jaką zawsze była, jest, i będzie wiecznie".

Z umysłu dałem tę powiastkę w ręce polskiej publiczności po *Tristanie i Izoldzie* oraz po *Adolfie*. Postawione obok siebie, trzy te książki stanowią głęboki trójdźwięk miłości. *Tristan i Izolda* to mit, w całej czystości i mitu i symbolu: —*Adolf* i *Manon*, to ułamki tegoż mitu, odbite w krzywym zwierciadle fali Życia.

Kraków, w marcu 1917.

PRZEDMOWA AUTORA

Przygody kawalera des Grieux mogłem był włączyć w moje pamiętniki; wydało mi się wszakże, iż, wobec braku ściślejszego związku, milej będzie czytelnikowi ujrzeć je oddzielnie. Opowieść tych rozmiarów stanowiłaby zbyt długą przerwę w wątku mych własnych dziejów. Daleki jestem od pretensji do tytułu wzorowego pisarza; mimo to, wiem, iż należy opowiadanie oczyścić z epizodów które by je czyniły ciężkim i zawiłym. Zasadę tę głosił już Horacy:

> Ut iam nunc dicat iam nunc debentia dici,
> Pleraque differat, ac praesens in tempus omittat.

Nie trzeba nawet takiego autorytetu, aby dowieść prawdy równie prostej; zdrowy rozsądek jest źródłem tego prawidła.

Jeśli czytelnik znalazł jakiś powab i zaciekawienie w dziejach mego życia, ośmielam się przyrzec, iż niemniej będzie zadowolony z tego dodatku. W postępkach pana des Grieux ujrzy straszliwy przykład namiętności. Odmaluję tu młodego szaleńca, który depce własne szczęście, aby się rzucić w ostateczne niedole; który, przy bogatych darach dających prawo do najświetniejszych nadziei, samochcąc przekłada pokątne i niesławne życie nad wszystkie przywileje losu i natury; przewiduje swe nieszczęścia nie chcąc ich uniknąć; czuje je i jęczy pod nimi, wzdragając się korzystać z lekarstw,

jakie życzliwa ręka podsuwa mu bez ustanku. Jest to charakter dwoisty, mieszanina cnót i błędów, dobrych uczuć i złych postępków: oto główne rysy obrazu. Zdrowo myślące osoby nie będą uważały tego dzieła za bezużyteczną pracę. Poza przyjemnością lektury, mało się znajdzie w tej powiastce szczegółów, które by nie mogły posłużyć ku poprawie obyczajów; moim zaś zdaniem, niemałą oddaje usługę czytelnikom kto ich uczy wśród zabawy.

Zastanowiwszy się bodaj trochę nad przepisami moralnymi, nie podobna się nie zdumiewać, widząc jak równocześnie ludzie szanują je i zaniedbują. Mimo woli pytamy o przyczynę dziwactw serca ludzkiego, które każą nam smakować w pojęciach dobra i doskonałości, tak bardzo oddalając się od nich w praktyce. Niechaj osoby pewnej miary umysłu i wychowania zechcą się zastanowić, jaka jest najczęstsza treść ich rozmów a nawet rozmyślań. Łatwo im będzie zauważyć, iż zwracają się one prawie zawsze ku jakimś roztrząsaniom moralnym. Najmilsze chwile to te, które spędza się albo samemu, albo z przyjacielem, gwarząc szczerze o powabach cnoty, o słodyczach przyjaźni, o sposobach osiągnięcia szczęścia, o słabościach natury które oddalają nas od niego, o lekarstwach zdolnych słabości te uleczyć. Horacy i Boileau określają to zatrudnienie jako jeden z najpiękniejszych rysów, tworzących obraz szczęśliwego życia. Czym dzieje się tedy, że człowiek tak łatwo osuwa się z tych wysokich dociekań i spada rychło na poziom pospólstwa? Jeśli się nie mylę, oto powód sprzeczności naszych pojęć a naszego postępowania: wszelkie przepisy moralne są to zasady nieokreślone i ogólne, bardzo tedy jest trudno zastosować je w poszczególnym wypadku do naszych obyczajów i postępków.

Weźmy na przykładzie: szlachetne dusze rozumieją, iż dobroć i ludzkość są to cnoty pełne powabu; tym samym czują się skłonne praktykować te cnoty; ale niech przyjdzie chwila działania, często znajdą się w niepewności. Czy, w istocie, jest sposobność po temu? Jak określić właściwą miarę? Czy nie zachodzi omyłka co do przedmiotu?

Sto trudności wstrzymuje nas: lękamy się wyjść na dudków, idąc za porywem dobroci i hojności; uchodzić za słabych, okazując zbytnią miękkość i czułość; słowem, obawiamy się przekroczyć lub nie dopełnić miary obowiązków, kryjących się nazbyt mglisto w ogólnych pojęciach ludzkości i dobroci. W tej niepewności, jedynie doświadczenie lub przykład mogą pokierować skłonnością serca. Owóż, doświadczenie nie jest to zdobycz którą by każdy mógł posiąść na zawołanie; zależy ono od sytuacyj w jakie wtrącą nas koleje losu. Pozostaje więc jedynie przykład: on musi większości osób posłużyć za wskazówkę w praktykowaniu cnoty.

Dla tego właśnie rodzaju czytelników, dzieła takie jak niniejsze mogą się stać ogromną korzyścią, o ile kreśli je uczciwe i rozsądne pióro. Każdy fakt jest w nich promieniem światła, nauką zdolną zastąpić doświadczenie; każda przygoda wzorem: trzeba jedynie dostosować je do okoliczności. Całe dzieło, to traktat moralny, rozłożony na miłe i zajmujące przykłady.

Surowy czytelnik zgorszy się może, iż, w moim wieku, podejmuję pióro aby spisywać burzliwe przygody miłości: ale, jeśli przytoczone przed chwilą uwagi są słuszne, starczą za usprawiedliwienie; jeśli błędne, omyłka moja będzie mi wymówką.



CZĘŚĆ PIERWSZA

Pozwolę sobie zawrócić czytelnika do okresu mego życia, w którym spotkałem po raz pierwszy kawalera des Grieux. Było to mniej więcej na pół roku przed wyjazdem do Hiszpanii. Mimo iż rzadko opuszczałem mą samotnię, wzgląd na córkę skłaniał mnie niekiedy do małych podróży, które zresztą skracałem ile mogłem.

Wracałem jednego dnia z Rouen, dokąd udałem się na jej prośby. Chodziło o dopilnowanie pewnej sprawy, toczącej się w Normandii, a tyczącej posiadłości jaka spadła na mą córkę po dziadku. Puściwszy się przez Evreux, gdzie stanąłem na nocleg, przybyłem nazajutrz na obiad do Passy. Wjeżdżając do miasta, ujrzałem ze zdziwieniem, że cała ludność jest mocno poruszona. Kto żył, wypadał z domu, aby pędzić do bram gospody, przed którą stały dwa zamknięte wehikuły. Konie, niewyprzężone jeszcze, dymiące od zmęczenia i upału, świadczyły jasno, iż pojazdy dopiero co przybyły.

Zatrzymałem się chwilę, aby spytać o powód zbiegowiska; ale niewiele mogłem się dowiedzieć od gawiedzi, która nie zwracała żadnej uwagi na moje pytania. Wszystko tłoczyło się do gospody, popychając się bezładnie. Wreszcie, jakiś stróż bezpieczeństwa, strojny w pas skórzany, z muszkietem na ramieniu, ukazał się w progu; dałem znak aby podszedł bliżej. Poprosiłem, aby mi wyjaśnił powód tego zgiełku. „To nic, panie, odparł; ot, odprowadzam, wraz z kompanami, do Hawru tuzin ladacznic, gdzie załadujemy je do Ameryki. Jest między nimi kilka wcale ładnych, stąd zapewne ciekawość wieśniaków".

Byłbym się oddalił po tym wyjaśnieniu; zatrzymały mnie krzyki starej kobiety, która wyszła z oberży załamując ręce, i wołając, że to co się tam dzieje, to barbarzyństwo, rzecz budząca grozę i współczucie. „O cóż chodzi, spytałem. — Ach, panie, wejdź pan, odparła, i spójrz, czy serce nie może stopnieć od tego widoku". Ciekawość kazała mi zsiąść z konia; rzuciłem uzdę stajennemu. Wszedłem, przepychając się przez tłum i ujrzałem w istocie widok dość wzruszający.

Pośród dwunastu dziewcząt, związanych z sobą po sześć, znajdowała się jedna, której postać i fizjognomia tak były sprzeczne z jej stanem, iż, w każdej innej okoliczności, wziąłbym ją za osobę z najlepszego towarzystwa. Smutek malujący się na twarzy, zaniedbanie bielizny i odzieży tak niewiele zdołały jej odjąć uroku, iż widok ten tchnął we mnie szacunek i litość. Mimo to, o ile tylko łańcuch pozwalał, starała się odwrócić, aby umknąć twarz oczom ciekawych. Wysiłek, z jakim siliła się ukryć, był tak naturalny, że widocznie płynął z uczucia skromności.

Ponieważ strażnicy, którzy, w liczbie sześciu, towarzyszyli nieszczęśliwej gromadce, znajdowali się również w izbie, wziąłem naczelnika ich na stronę i poprosiłem o wyjaśnienie losów ładnej dziewczyny. Niewiele umiał mi powiedzieć. „Wzięliśmy ją ze Szpitala, rzekł, na rozkaz naczelnika policji. Trudno przypuszczać, aby ją tam zamknięto za nadmiar cnoty. Próbowałem pytać jej w drodze; uparcie odmawia odpowiedzi. Jednak, mimo że nie dostałem rozkazu aby się z nią obchodzić lepiej niż z innymi, mam dla niej nieco względów; wydaje mi się z lepszej mąki niż jej towarzyszki. Oto, dodał strażnik, młody panicz który lepiej ode mnie mógłby pana pouczyć o przyczynie jej nieszczęścia. Towarzyszy nam od samego Paryża, nie przestając ani na chwilę płakać. Musi to być brat albo kochanek".

Zwróciłem się w kąt, gdzie siedział ów młody człowiek, pogrążony w głębokiej zadumie. Nie zdarzyło mi się widzieć żywszego obrazu boleści. Ubrany był skromnie; ale, na pierwszy rzut oka, poznać było człowieka wzrosłego w przywilejach urodzenia i wychowania.

Zbliżyłem się. Wstał na mój widok: w oczach, twarzy i ruchach malowało się coś tak wykwintnego i szlachetnego, iż uczułem dlań niewytłumaczoną życzliwość. „Niech się pan nie krępuje, rzekłem, siadając obok. Czy zechce pan zaspokoić ciekawość, jaką budzi we mnie ta piękna osoba, nie stworzona zaiste do tak smutnego losu?"

Odpowiedział z całą uprzejmością, iż może mnie objaśnić w tej mierze, nie zdradzając wszakże własnego nazwiska; są ważne przyczyny, które mu każą pozostać nieznanym. „Mogę panu wszelako powiedzieć, co nie jest tajne tym nędznikom (ciągnął wskazując strażników), iż kocham tę osobę namiętną miłością; miłość ta czyni mnie najnieszczęśliwszym z ludzi. Użyłem w Pa-

ryżu wszystkich dróg, aby uzyskać jej wolność. Prośby, chytrość i siła okazały się daremne; postanowiłem tedy towarzyszyć jej, choćby na koniec świata. Wsiądę wraz z nią na statek. Pojadę do Ameryki.

„Ale — to już ostateczna nieludzkość — te nędzne łotry (dodał, mówiąc o strażnikach) nie pozwalają mi zbliżyć się do niej! Zamiarem moim było napaść ich otwarcie o kilka mil za Paryżem. Stowarzyszyłem się z czterema ludźmi, którzy, za znaczną kwotę, przyrzekli mi pomoc. Zdrajcy zostawili mnie w krytycznej chwili i uciekli, unosząc wyłudzoną zapłatę. Niepodobieństwo użycia siły kazało mi złożyć broń. Uprosiłem strażników, aby mi pozwolili bodaj towarzyszyć konwojowi, w zamian za sowitą nagrodę. Pragnienie zysku skłoniło ich do zgody. Żądali, abym się opłacał za każdym razem, kiedy mi pozwolą mówić z ukochaną. Sakiewka moja wyczerpała się rychło; i teraz, gdy jestem bez grosza, barbarzyńcy śmią mnie odtrącać, ilekroć próbuję się zbliżyć. Przed chwilą, kiedy się odważyłem podejść mimo ich pogróżek, bezczelni zamierzyli się na mnie kolbami! Aby zaspokoić ich chciwość i móc podążać za nimi bodaj pieszo, muszę sprzedać lichego konia, który mi dotąd służył".

Mimo iż młodzieniec opowiadał na pozór dość spokojnie, kończąc, uronił kilka łez. Przygoda zdała mi się niezwykła i wzruszająca. „ Nie nalegam, rzekłem, aby mi pan odsłaniał tajemnice swego życia; ale, jeśli mogę być w czym użyteczny, gotów jestem. — Niestety! odparł; nie widzę ani promyka nadziei. Trzeba mi poddać się srogości losu. Pojadę do Ameryki. Będę tam bodaj wolny, obok tej którą kocham. Pisałem do jednego z przyjaciół; przyśle mi niewielki zasiłek do Havre-de-Grâce. Trudność jedynie w tym aby się tam dostać i aby tej biednej istocie (dodał, spoglądając smutno na kochankę) przy-

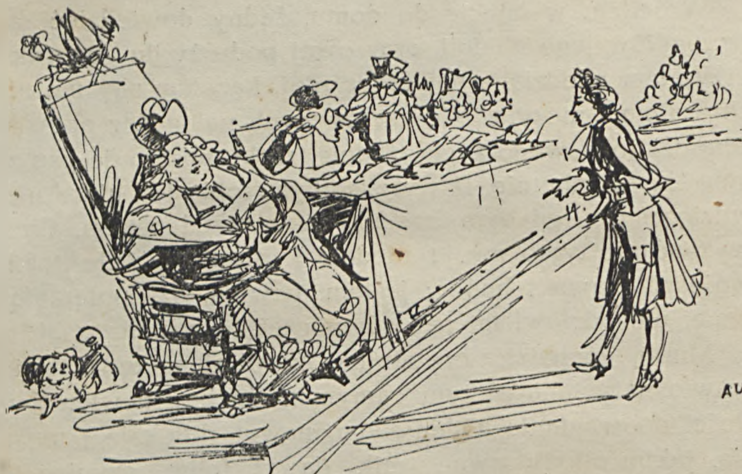
Wróciłem w istocie do domu, żądny dowiedzieć się szczegółów jego niedoli, oraz owej podróży do Ameryki. Przyjąłem młodziana najserdeczniej, kazałem aby mu nie zbywało na niczym. Nie czekał mych nalegań z opowieścią dziejów swego życia. „Panie, rzekł, postępuje pan ze mną tak szlachetnie, iż wyrzucałbym sobie jak niską niewdzięczność, gdybym coś ukrywał przed panem. Chcę wyznać nie tylko swoje niedole i utrapienia, ale także moje zbłąkania i hańbę: jestem pewien, iż, potępiając mnie, nie odmówi mi pan równocześnie współczucia!"

Muszę uprzedzić czytelnika, iż spisałem tę historię prawie natychmiast; tym samym może być pewien ścisłości opowiadania. Oddaje ono nawet refleksje i uczucia, jakim młody awanturnik dawał folgę, czyniąc to z nieporównanym wdziękiem.

Oto jego opowieść, do której nie przydam nic, co by nie pochodziło z jego ust:

Miałem siedemnaście lat i kończyłem studia filozoficzne w Amiens, dokąd rodzice, należący do jednego z najlepszych domów w P***, mnie wysłali. Prowadziłem tak stateczne i cnotliwe życie, iż nauczyciele dawali mnie za przykład. Nie znaczy to, bym dokładał nadzwyczajnych wysiłków dla zasłużenia ich pochwały. Mam usposobienie łagodne i spokojne; przykładałem się do nauk z dobrej woli. Poczytywano mi za cnotę to, co było jedynie naturalną odrazą do złego. Urodzenie moje, wyniki studiów i pewien powab zyskały mi sympatię i szacunek całego miasta.

Złożyłem egzamina z tak powszechnym zadowoleniem, iż obecny przy nich biskup nakłaniał mnie do stanu



duchownego, gdzie, jak powiadał, czeka mnie piękniejsza przyszłość, niż w zakonie maltańskim, do którego przeznaczyli mnie rodzice. Z ich woli, nosiłem już nawet krzyż, z nazwiskiem kawalera des Grieux. Z nadejściem wakacyj, gotowałem się wrócić do ojca, który przyrzekł mnie wysłać niebawem do Akademii.

Kiedym opuszczał Amiens, jedynym mym żalem było, iż zostawiam tam serdecznego przyjaciela. Był o kilka lat starszy ode mnie. Chowaliśmy się razem, ale, ponieważ rodzina jego znajdowała się w miernych stosunkach, zmuszony był przywdziać sukienkę duchowną, i zostać, po moim wyjeździe, w Amiens, aby tam podjąć zawodowe studia. Był to człowiek niezmiernych zalet. Dalszy ciąg mej historii da go poznać z najlepszych stron; wierność jego zwłaszcza i ofiarność w przyjaźni przewyższają najsłynniejsze przykłady starożytności. Gdybym wówczas słuchał jego rad, byłbym pozostał rozsądny i szczęśliwy. Gdybym, w otchłani w jaką wtrąciły mnie namiętności, skorzystał choć z jego wymówek, byłbym bodaj coś ocalił z rozbicia mego losu i reputacji. Ale nie zebrał innego owocu starań, prócz zgryzoty iż patrzał na ich bezużyteczność. Ba, niekiedy nawet spotykała go twarda odpłata ze strony niewdzięcznika, który obrażał się o nie i poczytywał je za natręctwo!

Oznaczyłem porę wyjazdu. Niestety! Czemuż nie o dzień wcześniej! Byłbym zawiózł do rodzinnego domu pełnię mej niewinności. W wilię dnia, w którym miałem opuścić miasto, wybrałem się na przechadzkę z Tybercym. Widząc zbliżający się dyliżans z Arras, poszliśmy jego śladem aż do gospody, gdzie zatrzymują się wehikuły. Wiodła nas prosta ciekawość.

Wysiadło kilka kobiet, które rozeszły się szybko; ale jedna, bardzo młoda, przystanęła w dziedzińcu, gdy człowiek w podeszłym wieku, wyglądający na jej opiekuna, dobywał z walizek jakąś odzież. Wydała mi się tak urocza, że ja, który nigdy nie poświęciłem ani jednej myśli różnicom płci ani też nie spojrzałem baczniej na kobietę, ja, powiadam, którego roztropność i skromność były przedmiotem ogólnego podziwu, zapłonąłem w jednej chwili aż do szaleństwa. Miałem tę wadę, że byłem nadzwyczaj nieśmiały i łatwy do zbicia z tropu; ale, w tym wypadku, wszystko to gdzieś się podziało: nie wahając się ani chwili, zbliżyłem się do pani mego serca.

Mimo iż jeszcze młodsza ode mnie, przyjęła mą dworność bez śladu zakłopotania. Spytałem, co ją sprowadza do Amiens i czy posiada tu znajomych. Odpowiedziała po prostu, że przysłali ją rodzice, w zamiarze uczynienia z niej mniszki. Miłość, mimo iż gościła w mym sercu zaledwie chwilę, zdążyła mnie na tyle oświecić, że zamiar ten odczułem jako śmiertelny cios dla mych pra-



gnień. Sposób, w jaki się zachowywałem, pozwalał młodej osobie domyślić się mych uczuć, była bowiem o wiele doświadczeńsza ode mnie. Oddawano ją do klasztoru wbrew jej woli, prawdopodobnie aby położyć tamę skłonności do uciech, która objawiła się już wówczas i która później stała się przyczyną wszystkich jej i moich nieszczęść. Próbowałem zwalczać okrutny zamysł rodzicielski za pomocą obfitych argumentów, jakich rodząca się miłość i scholastyczna wymowa zdołały mi dostarczyć. Nieznajoma nie siliła się udawać srogości ani wzgardy. Rzekła, po chwili milczenia, iż przewiduje aż nadto, że będzie nieszczęśliwa; ale (dodała) taka snać jest wola nieba, skoro nie zostawia jej ono żadnego środka do uniknięcia tej doli. Słodycz jej spojrzeń, uroczy smutek towarzyszący tym słowom, a raczej może los który ciągnął mnie do zguby, nie pozwoliły mi ani chwili wahać się z odpowiedzią. Upewniłem panienkę, że, jeśli zechce polegać na mym honorze i na bezgranicznej czułości jaką zdołała we mnie obudzić, poświęcę życie by ją uwolnić z tyranii rodziców i uczynić szczęśliwą. Zastanawiając się później nad całym zdarzeniem, dziwiłem się tysiąc razy, skąd mi się wzięła taka śmiałość i łatwość słowa: nie uczyniono by Miłości bóstwem, gdyby nie działała cudów! Oświadczyny te poparłem mnóstwem argumentów.

Piękna nieznajoma wiedziała dobrze, że w moim wieku nie nawykło się zwodzić: odparła wręcz, iż, gdybym widział jaki sposób wyrwania jej z niewoli, zawdzięczałaby mi więcej niż życie. Powtarzałem iż gotów jestem na wszystko; ale, nie mając na tyle doświadczenia aby na poczekaniu obmyślić środki, ograniczyłem się do zaklęć, które nie mogły zdać się na wiele. Stary Argus

wracał i nadzieje nasze byłyby pogrzebane, gdyby urocza istotka nie posiadała sprytu na tyle, aby zastąpić mój niedostatek w tej mierze. Skoro opiekun się zbliżył, zaczęła, ku memu zdumieniu, tytułować mnie kuzynem. Nie zdradzając śladu pomieszania, rzekła, iż, wobec szczęśliwego trafu dzięki któremu spotkała mnie w Amiens, odłoży na jutro klasztor, dziś zaś pozwoli sobie zjeść wieczerzę w moim towarzystwie. Chwyciłem w lot nitkę tego podstępu; skłoniłem ją, aby stanęła w oberży, której gospodarz, długoletni woźnica w naszym domu, był mi zupełnie oddany.

Zaprowadziłem ją tam osobiście, mimo iż opiekun niezbyt zadowolony był z tej asysty. Tybercy, który nic nie rozumiał, szedł za mną bez słowa. Nie słyszał naszej rozmowy; przechadzał się po dziedzińcu, gdy ja prawiłem czułości mojej pięknej pani. Ponieważ lękałem się jego rozsądku, wymyśliłem zlecenie, dzięki któremu udało mi się go oddalić. Tak więc, przyszedłszy do gospody, miałem szczęście znaleźć się sam na sam z królową mego serca.

Poznałem niebawem, że byłem mniej dzieckiem niż mi się zdawało. Serce moje otwarło się dla tysiącznych uczuć, o których nie miałem pojęcia. Słodkie ciepło rozlało się po żyłach. Popadłem w oszołomienie, które odjęło mi na chwilę mowę i wyrażało się tylko oczami.

Panna Manon Lescaut (okazało się że tak brzmi jej nazwisko) była wyraźnie rada z tego działania swych powabów. Zdawało mi się, że jest nie mniej wzruszona ode mnie. Zwierzyła mi, że się jej spodobałem i że byłaby szczęśliwa, gdyby mnie mogła zawdzięczać swą wolność. Chciała wiedzieć kim jestem; odpowiedź pomnożyła jej sympatię, ponieważ, będąc sama z gminu, uczuła się mile pogłaskana zdobyczą takiego kochanka. Cały wieczór zastanawialiśmy się nad sposobem połączenia naszych losów.

Ostatecznie, nie znaleźliśmy innej drogi jak tylko ucieczkę. Trzeba było oszukać czujność opiekuna, człowieka z którym musieliśmy się liczyć, mimo że był tylko sługą. Ułożyliśmy, że się postaram w nocy o konie i zjawię się w gospodzie wczesnym rankiem, nim on się obudzi; wymkniemy się potajemnie i pośpieszymy prosto do Paryża, gdzie się zaraz pobierzemy. Miałem około pięćdziesięciu talarów, owoc drobnych oszczędności; Manon posiadała mniej więcej dwa razy tyle. Wyobraziliśmy sobie, jak dzieci nie znające życia, że suma ta nie skończy się nigdy; w tej samej mierze rachowaliśmy na powodzenie innych zamysłów.

Wieczerza spłynęła mi wśród rozkoszy jakiej dotąd nie zaznałem. Wreszcie opuściłem gospodę, aby zająć się mym planem. Było to tym łatwiejsze, ile że, mając zamiar wrócić nazajutrz do domu, byłem gotów do podróży. Przenieść walizę i przygotować pojazd na piątą rano nie przedstawiało trudności; była to pora o której bramy miasta już są otwarte. Ale spotkałem przeszkodę, której się nie spodziewałem i która omal nie zniweczyła mego zamiaru.

Tybercy, mimo iż tylko o trzy lata starszy ode mnie, był to chłopiec wytrawny i stateczny. Kochał mnie czule. Widok ładnej dziewczyny, skwapliwość z jaką jej towarzyszyłem, sposób w jaki pod błahym pozorem pozbyłem się go, wszystko to zbudziło w nim podejrzenia. Nie śmiał wrócić do gospody, gdzie nas zostawił, bojąc się obrazić mnie swym powrotem; ale czekał na mnie w domu, gdzie zastałem go wracając, mimo że była dziesiąta. Wizyta ta była mi mocno nie na rękę, czego nie mógł nie spostrzec. „Jestem pewien, rzekł bez ogródki,

że układasz jakieś plany, które chcesz ukryć przede mną; widzę to z twojej miny". Odpowiedziałem szorstko, że nie mam obowiązku zdawać mu sprawy ze wszystkich zamiarów. „Nie, odparł, ale zawsze odnosiłeś się do mnie jak do przyjaciela, a to uczucie pozwala żądać nieco otwartości i zaufania". Nalegał tak usilnie, iż, nie nawykły ukrywać przed nim cokolwiek, zwierzyłem się z mej miłości. Słuchał z wyraźnym niezadowoleniem, które przejęło mnie dreszczem. Żałowałem nieopatrzności, z jaką odkryłem zamiar ucieczki. Rzekł, iż nadto jest moim przyjacielem aby mi się nie sprzeciwiać całą mocą; chce mi najpierw przedstawić wszystko co może mnie odwieść od zamiaru; jeśli zaś, mimo to, nie porzucę szalonego planu, nie zawaha się ostrzec osób, które będą go umiały udaremnić. Oracja jego trwała przeszło kwadrans i skończyła się groźbą skargi przed ojcem, o ile nie dam słowa, że będę rozsądny.

Byłem w rozpaczy, iż zdradziłem się tak nie w porę. Jednakże — jako że miłość niepospolicie rozbudziła mój dowcip — zauważyłem, iż nie wspomniałem nic o tym, że zamiar ma się spełnić nazajutrz. Postanowiłem wywieść go w pole. „Tybercy, rzekłem, sądziłem, że jesteś mym przyjacielem i chciałem cię wypróbować tą opowieścią. Prawda, jestem zakochany; nie zwiodłem cię; ale, co się tyczy ucieczki, nie jest to rzecz na którą bym się ważył tak lekko. Zajdź do mnie jutro o dziewiątej; zapoznam cię, jeśli możebna, z mą ukochaną: osądzisz czy zasługuje abym uczynił ten krok dla niej". Zostawił mnie samego, po tysiącznych zaklęciach przyjaźni.

Obróciłem noc na przygotowanie wszystkiego; pobiegłszy przed świtem do Manon, zastałem ją już na nogach. Stała w oknie od ulicy; spostrzegłszy mnie, zeszła otworzyć. Wyszliśmy bez hałasu. Nie miała z sobą nic,

prócz trochy bielizny; wziąłem jej zawiniątko, wehikuł był gotów, ruszyliśmy natychmiast.

Opowiem w dalszym ciągu, jak sobie postąpił Tybercy, skoro spostrzegł, żem go oszukał. Przyjaźń jego bynajmniej nie ostygła. Ujrzy pan, dokąd ją posunął i ile łez musiałem wylać, wspominając jaka była jej nagroda.

Uciekaliśmy z takim pośpiechem, iż przybyliśmy przed nocą do Saint-Denis. Pędziłem konno obok pojazdu, wskutek czego mogliśmy rozmawiać jedynie na postojach; ale skorośmy się ujrzeli blisko Paryża, to znaczy prawie bezpieczni, pozwoliliśmy sobie na pokrzepienie się, ile żeśmy nic nie wzięli do ust od wyjazdu. Mimo iż płomień jakim pałałem dla Manon nie mógł mieć równego sobie, umiała mi dać uczuć iż serce jej niemniej mi jest przychylne. Byliśmy tak mało oględni w pojeniu się pieszczotą, że nie mieliśmy cierpliwości czekać aż zostaniemy sami. Pocztylioni i gospodarz patrzyli na nas z zachwytem; zdumieni byli widokiem dwojga dzieciaków, kochających się do szaleństwa.

Nasze matrymonialne zamysły poszły w Saint-Denis w zapomnienie; obeszliśmy przepisy kościoła i rozpoczęliśmy miodowy miesiąc ani wiedząc jak. Pewne jest, iż z moją tkliwą i stałą naturą, zadowoliłbym się całe życie tym szczęściem, gdyby Manon umiała być wierna. Im lepiej ją poznawałem, tym więcej odkrywałem przyczyn do kochania. Urok jej, słodycz, piękność, tworzyły tak mocne i tak powabne kajdany, iż byłbym z radością został w nich na zawsze. Straszliwa odmiana! To co się stało mą klęską, mogło stać się mą słodyczą. Otom jest najnieszczęśliwszy z ludzi, przez tę samą stałość, od której powinienem był spodziewać się najsłodszego losu i najdoskonalszych nagród miłości.



Wynajęliśmy w Paryżu mieszkanko przy ulicy V...; na moje nieszczęście, obok domu pana B***, słynnego generalnego poborcy. Upłynęły trzy tygodnie, przez które żyłem tak wyłącznie swą miłością, iż prawie nie pomyślałem o rodzinie, ani o zgryzocie jaką musiała sprawić ojcu moja ucieczka. Ponieważ nie miałem skłonności do hulanek, Manon zaś wiodła również życie nader stateczne, spokój w jakim pędziliśmy dni pozwolił się obudzić pamięci o mych obowiązkach.

Postanowiłem, o ile będzie możliwe, pojednać się z ojcem. Kochanka moje była tak urocza, iż nie wątpiłem, że zdoła go sobie ująć, jeżeli znajdę sposób aby mu dać poznać jej wartość i przymioty. Słowem, żywiłem nadzieję, iż uzyskam pozwolenie na małżeństwo; ocknąłem się bowiem ze złudzeń bym tego mógł dokonać bez zgody rodziny. Podzieliłem się projektem z Manon, dając do zrozumienia, iż poza miłością i obowiązkiem i konieczność kieruje nas na tę drogę. Fundusze nasze stopniały, zaczynałem tracić wiarę w ich wieczność. Manon chłodno przyjęła propozycję. Trudności wszakże, jakie czyniła, miały źródło w tkliwości dla mnie i w obawie postradania mnie, w razie gdyby ojciec nie przychylił się do mych zamiarów, poznawszy w zamian miejsce naszego schronienia; toteż nie podejrzewałem ani trochę okrutnego ciosu jaki mi gotowano. Na wzmiankę o konieczności, Manon odpowiedziała, iż zostało nam jeszcze środków na kilka tygodni, po upływie zaś tego czasu, ma nadzieję znaleźć pomoc u krewnych do których napisze. Odmowę swą złagodziła tak czułą i gorącą pieszczotą, że ja, który żyłem tylko nią i wierzyłem najzupełniej w jej serce, zgodziłem się bez oporu. Zostawiłem jej zarząd sakiewki i troskę o codzienne wydatki.

Spostrzegłem pomału, że nasz stół zaczął być sutszy i że Manon sprawiła sobie jakieś kosztowne stroiki. Ponieważ wiedziałem, że, wedle mego obliczenia, zostało nam ledwie kilka pistolów, wyraziłem swoje zdumienie. Śmiejąc się, prosiła, abym się nie kłopotał. „Czyż ci nie obiecywałam, rzekła, że znajdę środki?". Kochałem ją zbyt naiwnie, aby łatwo powziąć obawę.

Jednego dnia, wyszedłem po południu, zapowiedziawszy iż zabawię dłużej niż zazwyczaj. Zdziwiłem się, gdy, za powrotem, nim mnie wpuszczono, kazano mi czekać parę minut pod drzwiami. Do usługi mieliśmy jedynie młodą dziewczynę, mniej więcej w naszym wieku. Skoro otworzyła wreszcie, spytałem czemu ociągała się tak długo. Odparła z widocznym zakłopotaniem, że nie słyszała. Pukałem tylko raz; rzekłem tedy: „Skoroś nie słyszała, jakimż cudem otworzyłaś?" Pytanie to zbiło ją z tropu; nie mając dość przytomności aby coś odpowiedzieć, zaczęła płakać. Upewniała, że to nie jej wina, że pani zabroniła otwierać, póki pan de B*** nie wyjdzie tylnymi schodami. To com słyszał wstrząsnęło mną tak bardzo, że nie miałem siły wejść. Postanowiłem wyjść jeszcze pod jakimś pozorem; kazałem dziewczynie, by powiedziała pani, że wrócę za chwilę, nie zdradzając że wiem coś o panu de B***.

Byłem tak wzruszony, że, zbiegając po schodach, uroniłem kilka łez, nie wiedząc jeszcze jakie uczucie je wyciska. Wszedłem do kawiarni; usiadłszy, oparłem głowę na rękach, próbując rozpatrzyć się w tym co się dzieje w mym sercu. Nie śmiałem przypominać sobie tego com usłyszał. Chciałem całe zajście uważać za złudzenie; kilkakrotnie byłem już gotów pośpieszyć do domu, nie okazując iż zwróciłem na cośkolwiek uwagę.

Zdawało mi się tak niemożliwe, aby Manon mnie zdradziła, iż lękałem się podejrzeniem wyrządzić jej krzywdę. Ubóstwiałem ją, to pewna; dałem jej tyle dowodów miłości, sam otrzymując ich od niej może więcej jeszcze; czemu ją posądzać że jest mniej szczera i stała ode mnie? Jaki powód aby mnie oszukiwać? Ledwie trzy godziny upłynęły od chwili gdy mnie obsypywała najtkliwszymi pieszczotami i przyjmowała z uniesieniem moje; serce jej znałem jak własne. Nie, nie, powtarzałem sobie, to niemożebne aby Manon mnie zdradziła. Wie, że żyję tylko dla niej; wie że ją ubóstwiam: to nie powód chyba aby mnie nienawidzić.

Jednakże i bytność i zniknięcie pana de B*** dawały mi do myślenia. Przypominałem sobie sprawunki Manon, przekraczające niewątpliwie naszą możność. Trąciło to wyraźnie hojnością nowego wielbiciela. A ta ufność jej w jakieś bliżej nieokreślone środki? Trudno mi było znaleźć klucz do tylu zagadek.

Z drugiej strony, od czasu jak byliśmy w Paryżu, prawie nie rozstawałem się z nią. Zajęcia, przechadzki, zabawy, dzieliliśmy wszystko: mój Boże! chwila rozłąki byłaby zbyt ciężka. Trzeba nam było powtarzać sobie bez przerwy że się kochamy; inaczej pomarlibyśmy z niepokoju. Nie mogłem sobie tedy wyobrazić ani jednej chwili, w której Manon mogłaby zaprzątnąć bodaj myśl kim innym niż mną.

Wreszcie (tak mniemałem) znalazłem wytłumaczenie. Pan de B***, rzekłem sobie, prowadzi wiele spraw i ma duże stosunki; krewni Manon uciekli się snać do jego pomocy aby jej przesłać zasiłek. Może otrzymała już przedtem coś przez niego; dziś sam przyszedł wręczyć jej nową przesyłkę. Zrobiła sobie z pewnością tę uciechę, aby ukryć nowinę i sprawić mi tym większą niespo-



dziankę. Byłaby może powiedziała mi wszystko, gdybym wrócił jak zwyczajnie, miast dręczyć się i błąkać po mieście; z pewnością wyzna mi, skoro ją sam zagadnę.

Uwierzyłem w to tak mocno, że zdołałem zbyć się smutku. Wróciłem do domu. Uściskałem Manon serdecznie, jak zwykle. Przyjęła mnie bardzo czule. Zrazu, miałem pokusę odsłonić jej swoje domysły, które wydawały mi się coraz prawdopodobniejsze; wstrzymałem się, w nadziei że ona mnie uprzedzi opowiadając o całym zdarzeniu.

Dano wieczerzę. Siadłem do stołu z wesołą miną; ale, przy blasku świecy stojącej między Manon a mną, zdało mi się, że spostrzegam smutek w twarzy i oczach drogiej kochanki. Ta myśl i mnie natchnęła smutkiem. Zauważyłem, iż patrzy na mnie inaczej niż zwykle. Nie mogłem poznać czy to miłość, czy żałość; zdało mi się wszakże

że było to uczucie słodkie i tkliwe. Patrzałem na nią z równym przejęciem; i jej może trudno było osądzić z mych spojrzeń stan mego serca. Nie mogliśmy ani mówić, ani jeść. Wreszcie, ujrzałem łzy, padające z jej pięknych oczu; obłudne łzy!

„Och, Boże, wykrzyknąłem, ty płaczesz, droga Manon; jesteś strapiona do łez i nie mówisz mi o swoich zgryzotach!"

Odpowiedziała jedynie westchnieniem, które pomnożyło mój niepokój. Wstałem drżący; zakląłem ją aby mi odkryła przyczynę łez; płakałem również, ocierając jej oczy; byłem nieprzytomny. Barbarzyńca wzruszyłby się widokiem mego bólu i lęku.

Gdy tak byłem wyłącznie zajęty moją Manon, usłyszałem hałas, jak gdyby kilka osób szło po schodach. Ktoś zapukał lekko. Manon ucałowała mnie, i, wysuwając się z mych ramion, przeszła do alkierza, zamykając śpiesznie za sobą. Wyobrażałem sobie, iż, będąc niezupełnie ubrana, lęka się oczu obcych. Poszedłem otworzyć.

Zaledwie otwarłem, uczułem, iż chwyta mnie trzech ludzi; poznałem służących ojca. Nie czynili mi gwałtu; dwóch wszakże ujęło mnie za ręce, trzeci zaś przeszukał kieszenie, z których wydobył nożyk, jedyny metalowy sprzęt jaki miałem przy sobie. Prosili, abym darował im to uchybienie; oświadczyli iż działają z rozkazu ojca i że starszy brat czeka na dole w kolasce. Byłem tak zaskoczony, iż dałem się sprowadzić bez oporu i bez odpowiedzi. Brat, w istocie, czekał na mnie. Posadzono mnie w kolasce, woźnica zaś, otrzymawszy rozkaz, powiózł nas tęgim kłusem aż do Saint-Denis. Brat uściskał mnie czule, ale nie odzywał się nic, tak iż miałem swobodę dumania nad swym nieszczęściem.

Sprawa wydała mi się zrazu tak ciemna, że nie wiedziałem zgoła co myśleć. Ktoś zdradził mnie niegodziwie; ale kto? Zrazu przyszedł mi na myśl Tybercy. „Zdrajco, mówiłem w duchu, ostatnia twoja godzina wybiła, jeśli podejrzenia okażą się słuszne". Zastanowiłem się wszakże, że nie znał mego schronienia, tym samym nie mógł go zdradzić. Podejrzewać Manon, na taką zbrodnię serce moje nie mogło się ważyć! Jej smutek, łzy, czuły pocałunek jakim mnie obdarzyła wychodząc, były wprawdzie dość zagadkowe; ale raczej byłem skłonny tłumaczyć je przeczuciem wspólnego nieszczęścia. Pogrążony w rozpaczy przez zły los który wydzierał mnie z objęć Manon, byłem dość łatwowierny aby sobie wyobrażać że ona jest jeszcze godniejsza współczucia.

W rezultacie, doszedłem do przekonania, że ktoś znajomy musiał mnie spostrzec na ulicy i powiadomić ojca. Myśl ta pocieszyła mnie. Liczyłem, iż sprawa skończy się na wymówkach lub karze domowej, której trzeba będzie się poddać przez wzgląd na powagę ojcowską. Postanowiłem znieść wszystko i przyrzec czego zażądają, aby w zamian móc tym rychlej pośpieszyć do Paryża, wrócić życie i szczęście drogiej Manon.

W krótkim czasie przybyliśmy do Saint-Denis. Brat, zdziwiony mym milczeniem, przypisywał je obawie. Próbował mnie pocieszyć, upewniając, iż nie mam przyczyn lękać się zbytnio srogości ojcowskiej, bylem okazał chęć powrotu na drogę obowiązku i starał się zasłużyć przywiązanie rodzica. Przenocowaliśmy w Saint-Denis, przy czym, dla ostrożności, trzej lokaje spali w mym pokoju.

Z bólem zauważyłem, iż zajechaliśmy do tej samej gospody, w której zatrzymałem się w drodze z Amiens. Gospodarz i służba poznali mnie i odgadli treść mojej przygody. Słyszałem, jak gospodarz mówił: „A, to ten panicz, który przejeżdżał tędy z młodą panienką. Boże, jak oni się kochali, jaka ona była śliczniutka! Biedne dzieci, tak czulili się z sobą! Dalibóg, szkoda że ich rozdzielono!" Udawałem że nie słyszę i pokazywałem się jak mogłem najmniej.

Brat zamówił w Saint-Denis kolaskę na dwie osoby; ruszyliśmy skoro świt, przybyliśmy nazajutrz wieczór. Stanął przed ojcem najpierw sam, aby go nastroić na mą korzyść, opowiadając z jaką uległością dałem się sprowadzić; jakoż, spotkało mnie przyjęcie lepsze niż się spodziewałem. Ojciec poprzestał na wymówkach, wytykając błąd jaki popełniłem oddalając się bez pozwolenia. Co się tyczy mej kochanki, zasłużyłem (zdaniem ojca) na to co mi się zdarzyło, oddając się w ręce nieznajomej; miał lepsze mniemanie (mówił) o mej rozwadze; ale spodziewa się że ta przygoda uczyni mnie ostrożniejszym. Wziąłem te słowa w sensie zgodnym z mymi myślami. Podziękowałem ojcu za jego dobroć, przyrzekłem wejść na drogę uległości i statku. W głębi tryumfowałem: rzeczy układały się tak, iż nie wątpiłem że będę mógł się wymknąć jeszcze tej nocy.

Cała rodzina zebrała się u stołu: żartowano po trochu z mej zdobyczy i z romantycznej ucieczki z tak wierną kochanką. Znosiłem cierpliwie przycinki; byłem nawet szczęśliwy iż mogę rozmawiać o przedmiocie który zaprzątał mą duszę. Wtem, kilka słów ojca sprawiło, że nastawiłem ucha. Mówił o przewrotności i o interesownej usłudze pana de B***. Zmartwiałem słysząc to nazwisko; prosiłem pokornie ojca, aby się jaśniej wytłumaczył. Ojciec zwrócił się do brata, pytając czy nie opowiedział mi całego zdarzenia. Brat odparł, iż w drodze wydałem mu się tak spokojny, że nie uważał za potrzebne uciekać się do tego lekarstwa. Zauważyłem, iż oj-

ciec waha się czy ma dokończyć. Błagałem tak usilnie, iż zadowolił mnie, lub raczej zamordował wieścią najstraszliwszą w świecie.

Spytał wpierw, czy wciąż jestem tak naiwny, aby wierzyć, iż moja luba mnie kocha. Odparłem śmiało, że jestem tego tak pewny, iż nic nie może we mnie zbudzić cienia wątpliwości. „Ha! ha! ha! wykrzyknął śmiejąc się do rozpuku, to doskonałe! Dudek z ciebie; podoba mi się taka naiwność. W istocie, szkoda, mój dobry kawalerze, oddawać cię do zakonu maltańskiego, skoro masz tyle przymiotów na wygodnego męża". Dorzucił jeszcze tysiąc drwinek na temat mej rzekomej naiwności.

Gdy wciąż trwałem w osłupieniu, ojciec wyłożył mi, iż, wedle rachuby opartej na datach, Manon kochała mnie około dwunastu dni. „Wiem, że wyjechałeś z Amiens 28 ubiegłego miesiąca; dziś mamy 29; przed jedenastu dniami pan de B*** pisał do mnie. Przypuszczam, że trzeba mu było około tygodnia aby zwąchać się z twą ukochaną; jeśli zatem odjąć jedenaście *plus ośm* od trzydziestu jeden, zostaje dwanaście, ot, jeden dzień więcej, jeden mniej". Tu zaczął na nowo pękać ze śmiechu.

Słuchałem z tak ściśniętym sercem, iż lękałem się że nie zdołam wytrwać do końca tej smutnej komedii. „Dowiedz się zatem, podjął ojciec, jeżeli nie wiesz, że pan de B*** pozyskał serce twojej donny; są to bowiem czyste drwiny z jego strony, kiedy mnie chce przekonywać, iż postarał się odbić ci ją jedynie przez chęć oddania mi przysługi. Człowiek taki jak on, któremu zresztą nie mam zaszczytu być znany! Właśnie po nim można się spodziewać tak szlachetnych uczuć! Dowiedział się od niej, że jesteś moim synem i, aby się uwolnić od ciebie, doniósł mi o miejscu twego pobytu

i sposobie życia, dodając, iż trzeba silnej eskorty aby dojść z tobą do ładu. Ofiarował się ułatwić mi ujęcie cię; dzięki wskazówkom jego, jak również twej kochanki, brat zdołał cię wziąć bez oporu. Bądźże teraz dumny ze swego tryumfu! Umiesz zwyciężać szybko, kawalerze, ale nie umiesz zachować zdobyczy".

Nie miałem sił znieść tego dłużej; każde słowo było dla mnie pchnięciem w serce. Wstałem; ale ledwiem uczynił kilka kroków, padłem bez zmysłów. Ocucono mnie. Otworzyłem oczy jedynie po to aby wylać potoki łez, usta zaś aby dać folgę żałosnym skargom. Ojciec, zawsze czule do mnie przywiązany, dołożył wszelkich starań aby mnie pocieszyć. Zaledwiem go słyszał. Padłem mu do nóg, zaklinałem, aby mi pozwolił wrócić do Paryża; chciałem zasztyletować nikczemnego de B***. „Nie, mówiłem, on nie pozyskał serca Manon; zadał jej gwałt, uwiódł ją jakimiś czarami lub trucizną; zniewolił może siłą. Manon kocha mnie. Czyż nie jestem tego pewny? Zagroził jej sztyletem, zmusił aby mnie opuściła. Czegóż by nie uczynił, aby mi wydrzeć tak uroczą kochankę! O bogowie! bogowie! czyż to możliwe! Manon zdradziła mnie, przestała kochać?"

Ponieważ mówiłem wciąż o rychłym powrocie i zrywałem się co chwilę, ojciec doszedł do przekonania, iż, w obecnym stanie, nic nie zdołałoby mnie wstrzymać. Zaprowadził mnie do pokoju na piętrze i zalecił dwóm służącym aby mnie nie spuszczali z oka. Nie mogłem się opamiętać; byłbym oddał tysiąc razy życie, aby być bodaj na kwadrans w Paryżu. Zrozumiałem, iż wobec mej zapowiedzi, nie pozwolą mi tak łatwo wyjść z pokoju. Mierzyłem oczami wysokość okien. Nie widząc możliwości wymknięcia się tą drogą, zwróciłem się łagodnie do mych stróżów. Tysiącem przysiąg zobowiązałem się

zapewnić im kiedyś los, jeśli zechcą pomóc mi w ucieczce. Nalegałem, schlebiałem, groziłem; na próżno. Straciłem wówczas całą nadzieję; postanowiłem umrzeć; rzuciłem się na łóżko, w zamiarze opuszczenia go jedynie wraz z życiem. Noc i dzień spędziłem w tym położeniu. Odtrąciłem pożywienie jakie mi przyniesiono nazajutrz.

Ojciec zaszedł do mnie po południu. W dobroci swojej, próbował ukoić me cierpienia najsłodszymi słowy. Kazał mi bezwarunkowo zjeść coś; uległem przez szacunek. Upłynęło kilka dni; nie jadłem nic, chyba w obecności ojca. Wciąż przytaczał mi racje, zdolne, jego mniemaniem, przywieść mnie do rozumu i obudzić wzgardę dla niewiernej. Niewątpliwie, straciłem dla niej szacunek; jak mógłbym szanować najbardziej płochą i przewrotną istotę na ziemi? Ale jej obraz, urocze rysy wyciśnięte w głębi serca, żyły w nim ciągle. Czułem to. „Mogę umrzeć, mówiłem, powinienem nawet po takim wstydzie i bólu; ale raczej ścierpię tysiąc razy śmierć, niż zdołam zapomnieć o niej".

Ojciec patrzał na mnie zdziwiony. Znał mą drażliwość na punkcie honoru; nie mogąc wątpić iż zdrada Manon musiała wzbudzić we mnie pogardę, wyobraził sobie że moja stałość wypływa nie tyle z miłości dla niewiernej, ile z ogólnej skłonności do płci niewieściej. Przejął się tak tą myślą, iż, wiedziony czułą troskliwością, przyszedł raz pomówić ze mną w tym duchu. „Kawalerze, rzekł, miałem dotychczas zamiar przypiąć ci krzyż maltański; ale widzę, że twoje skłonności nie godzą się z tym powołaniem. Lubisz kobietki; trudno: trzeba ci znaleźć jaką, która by ci przypadła do smaku. Powiedz otwarcie, co o tym myślisz".

Odpowiedziałem, że nie czynię różnicy między kobietami, i że, po nieszczęściu jakiego padłem ofiarą, wszystkie budzą we mnie jedynie nienawiść. „Znajdę ci dziewuszkę, odparł ojciec z uśmiechem, która będzie podobna do Manon, a wierniejsza. — Ach, ojcze, jeśli masz dla mnie trochę serca, rzekłem, ją samą zechcesz mi wrócić! Bądź pewny, ojcze, ona mnie nie zdradziła; nie jest zdolna do takiej podłości. To przewrotny de B*** oszukuje nas: ciebie, ją i mnie. Gdybyś wiedział, ojcze, jaka ona tkliwa i szczera! gdybyś ją znał, sam byś ją pokochał. — Dziecko z ciebie, odparł ojciec. Jak możesz, po tym com ci powiedział, łudzić się do tego stopnia? To ona wydała cię w ręce brata. Powinien byś zapomnieć nawet jej imienia, i, jeśli jesteś rozsądny, korzystać z dobroci jaką ci okazuję".

Widziałem zbyt jasno słuszność tych słów. Odruch jedynie kazał mi się ujmować tak wytrwale za niewierną. „Niestety! (podjąłem po chwili) aż nadto prawdą jest, iż stałem się ofiarą nikczemności. Tak, ciągnąłem lejąc łzy żalu, widzę że jestem tylko dzieckiem. Niewiele trzeba było, aby mnie oszukać. Ale wiem co mi należy uczynić aby się zemścić". Ojciec nalegał, abym mu zwierzył swój zamiar: „Udam się do Paryża, rzekłem, podłożę ogień w domu de B*** i spalę go żywcem wraz z przewrotną Manon". Wybuch ten ubawił ojca i sprawił jeno tyle, iż strzeżono mnie tym pilniej.

Spędziłem tak pół roku. Pierwszy miesiąc mało przyniósł zmian. Wszystkie me uczucia obracały się dokoła nienawiści i miłości, nadziei i rozpaczy, wedle obrazów w jakich Manon ukazywała się moim myślom. To wspominałem najrozkoszniejszą kochankę i usychałem z pragnienia; to znów widziałem nikczemną i zdradziecką



istotę i przysięgałem sobie, iż odnajdę ją jedynie po to aby ją ukarać.

Dostarczono mi książek, które pozwoliły mej duszy odzyskać nieco spokoju. Odczytywałem ulubionych autorów. Zbogaciłem me wiadomości. Nabrałem znowu upodobania w nauce. Zobaczy pan, na co mi się to zdało! Moje doświadczenia sercowe pozwoliły mi zrozumieć wiele ustępów z Horacego i Wirgiliusza, wprzód dla mnie ciemnych. Sporządziłem komentarz miłosny do czwartej księgi Eneidy; przeznaczam go do druku i sądzę że publiczność będzie zeń zadowolona. Niestety! powtarzałem sobie przy tej pracy: takie serce jak moje godne byłoby wiernej Dydony.

Pewnego dnia, Tybercy zaszedł mnie odwiedzić. Zdziwiony byłem wzruszeniem, z jakim mnie uściskał. Nie umiałem jeszcze widzieć w jego przywiązaniu coś więcej niż zwykłą przyjaźń z ławy szkolnej, jaką zawiązują młodzi rówieśnicy. Znalazłem go tak zmienionym i dojrzałym przez tych kilka miesięcy, iż wyraz jego jak również jego ton natchnęły mnie szacunkiem. Mówił raczej jak mądry doradca, niż jak kolega. Ubolewał nad mym zbłąkaniem. Winszował mi uleczenia, o którym wnioskował zbyt pochopnie; upominał wreszcie, bym korzystał z tego błędu i otworzył oczy na znikomość rozkoszy. Patrzałem nań zdumiony; zauważył to.

„Drogi kawalerze, rzekł, wszystko co ci powiadam, to są niezłomne prawdy; doszedłem do nich drogą poważnych roztrząsań. Miałem tyleż co i ty skłonności do rozkoszy; ale równocześnie niebo dało mi i miłość cnoty. Przywołałem na pomoc rozum aby porównać ich owoce; jakoż niebawem zdołałem odkryć różnice. Łaska nieba przyszła mi z pomocą. Powziąłem dla świata wzgardę, z którą nic nie da się porównać. Czy odgadłbyś, co mnie w nim zatrzymuje, dodał, i co mi broni schronić się w samotnię? Jedynie przyjaźń dla ciebie. Znam twe serce i umysł; nie ma tak wysokich stref które by ci nie były dostępne. Jakaż strata dla cnoty! Ucieczka twoja z Amiens sprawiła mi tyle bólu, iż od tej pory nie zaznałem chwili radości. Sądź o tym po krokach, do jakich mnie ta boleść popchnęła". Tu opowiedział mi wszystko. Spostrzegłszy, żem go oszukał i uciekł z kochanką, siadł na koń aby śpieszyć za mną. Ponieważ zyskałem kilka godzin, nie mógł mnie doścignąć; przybył do Saint-Denis tuż po mym odjeździe. Będąc pewien iż zatrzymałem

się w Paryżu, spędził tam sześć tygodni, szukając na próżno; obchodził wszystkie miejsca gdzie miał nadzieję mnie spotkać. Wreszcie, jednego dnia, w teatrze poznał Manon; ubrana była tak wspaniale, iż domyślił się że zawdzięcza ten przepych hojności nowego kochanka. Udał się za jej powozem i dowiedział się od służącego, iż żyje kosztem pana de B***. „Nie poprzestałem na tym, ciągnął; wróciłem nazajutrz, aby się dowiedzieć od niej samej co się z tobą stało. Kiedy usłyszała twoje imię, przerwała nagle rozmowę i opuściła mnie; trzeba mi było wrócić na prowincję bez żadnego wyjaśnienia. Tu dowiedziałem się o twej przygodzie i o stanie w jaki cię wtrąciła; ale wolałem odłożyć wizytę do chwili gdy będziesz spokojniejszy.

— Widziałeś Manon? odparłem wzdychając. Ach! szczęśliwszy jesteś ode mnie, skazanego na to by nie oglądać jej nigdy!" Skarcił mnie łagodnie za to westchnienie, które zdradzało jeszcze słabość serca. Chwalił tak zręcznie zacność mego charakteru, iż, od pierwszych odwiedzin, zbudził we mnie ochotę, aby, jak on, wyrzec się świata i obrać stan duchowny.

Myśl ta spodobała mi się do tego stopnia, iż, skorom się znalazł sam, nie zajmowałem się już niczym innym. Przypomniałem sobie rozmowę z biskupem w Amiens, oraz szczęśliwe nadzieje, jakie rokował mi w razie gdybym skierował się na tę drogę. Szczera pobożność również przyczyniła się do mego postanowienia. Będę wiódł życie cnotliwe i chrześcijańskie, mówiłem sobie; będę się zajmował nauką i religią, które nie pozwolą mi myśleć o niebezpiecznych rozkoszach. Wzgardzę tym, co pospólstwo wielbi, że zaś pewien jestem, iż serce moje będzie zdolne pragnąć jedynie tego co szanuję, będę równie wolny od niepokojów co od pragnień.

Na tej podstawie ułożyłem plan spokojnego i samotnego życia. W obraz jego wchodził domek z gaikiem i źródełkiem w ogrodzie, biblioteka złożona z wybranych książek, szczupła liczba cnotliwych i roztropnych przyjaciół, stół przyzwoity ale skromny. Okrasiłem to jeszcze listowną wymianą myśli z przyjacielem, który by bawił w Paryżu i donosił mi o wydarzeniach publicznych, nie tyle aby zadowolić ciekawość, ile aby mnie rozerwać obrazem miotań się i niepokojów ludzkiego szaleństwa. Czyż nie będę szczęśliwy? dodawałem w duchu; czyż to nie będzie ziszczenie wszystkich mych pragnień? To pewna, że projekt ten zgodny był z mymi skłonnościami. Ale, jako uwieńczenie tak roztropnego planu, czułem, iż serce oczekuje jeszcze czegoś, i że, aby niczego mu nie zbywało w uroczej samotni, trzeba by w niej Manon!

Tybercy zachodził często aby mnie umocnić w zamiarze. Wreszcie, przy sposobności, zwierzyłem się ojcu. Odpowiedział, że pragnie zostawić dzieciom swobodę, i że, w jaki bądź sposób zechcę rozrządzić sobą, on zastrzega sobie jedynie prawo wspierania mnie radą. Udzielił mi, w istocie, wielu roztropnych wskazówek, zmierzających nie tyle ku temu aby mnie zrazić do mego zamysłu, ile mających sprawić abym go powziął z pełną świadomością.

Zbliżał się początek roku szkolnego. Umówiłem się z Tybercym, że wstąpimy razem do Saint-Sulpice, on aby kończyć studia, ja aby je rozpocząć. Cnoty jego, znane biskupowi, sprawiły, iż przed wyjazdem otrzymał znaczne beneficjum.

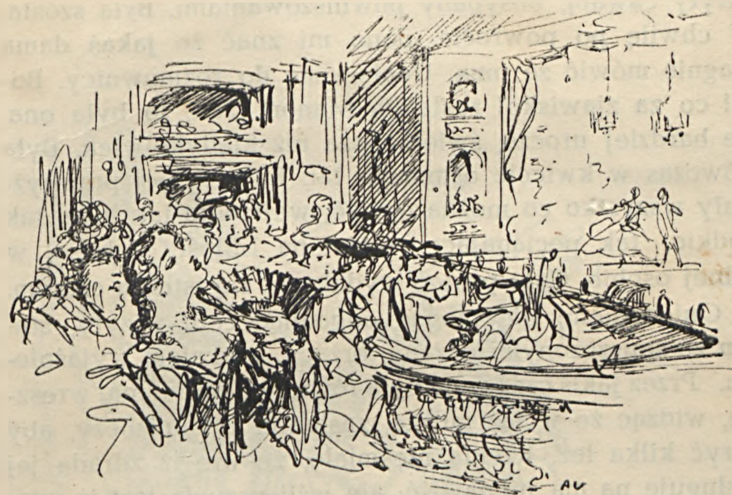
Ojciec, sądząc że uleczyłem się już z mej namiętności, nie czynił przeszkód. Przybyliśmy do Paryża; sukienka duchowna zajęła miejsce maltańskiego krzyża,

a nazwisko księdza des Grieux miejsce dawnego *kawalera*. Zatopiłem się w nauce tak, iż w niewiele miesięcy uczyniłem nadzwyczajne postępy. Siedziałem nad książką późno w noc, a nie traciłem ani chwili dnia. Reputacja moja rozeszła się tak szeroko, iż winszowano mi zawczasu przyszłych godności; bez starań nazwisko moje znalazło się na liście beneficjów. Nie zaniedbywałem i praktyk; z zapałem oddawałem się religijnym ćwiczeniom. Tybercy był zachwycony tym co uważał za swoje dzieło; nieraz widziałem, jak wylewał łzy szczęścia, spowodowane moim — jak nazywał — nawróceniem.

To, iż postanowienia ludzkie mogą ulegać zmianom, nie dziwiło mnie nigdy; jedna namiętność je rodzi, druga niweczy. Ale, kiedy myślę o świętości uczuć jakie mnie zawiodły do Saint-Sulpice, o radości której niebo pozwoliło mi tam kosztować, przeraża mnie łatwość z jaką mogłem je skruszyć. Jeśli prawdą jest, iż pomoc niebios w każdej chwili równa jest co do siły porywom namiętności, niech mi ktoś wytłumaczy, jaka złowroga potęga odrywa nagle człowieka od jego obowiązków, tak że nie jest zdolny do oporu i nie czuje nawet cienia wyrzutu?

Sądziłem, że jestem wyzwolony z pokus miłości. Zdawało mi się, iż stronicę św. Augustyna lub kwadrans medytacji przełożyłbym nad wszystkie uciechy zmysłów, nie wyłączając Manon. Tymczasem, jedna nieszczęsna chwila wtrąciła mnie z powrotem w przepaść; a upadek mój stał się tym bardziej bez ratunku, iż znalazłszy się od jednego zamachu równie głęboko jak byłem niegdyś, niebawem, przez nowe wybryki, osunąłem się na samo dno.

Spędziłem w Paryżu blisko rok, nie dowiadując się o Manon. Kosztowało mnie to zrazu wiele; ale rady Ty-



bercego i własna rozwaga pozwoliły mi osiągnąć to zwycięstwo. Ostatnie miesiące upłynęły tak spokojnie, iż uważałem się bliskim wiekuistego zapomnienia uroczej i przewrotnej istoty. Nadszedł czas, w którym miałem podtrzymać dysputę wobec pełnego fakultetu; zaprosiłem kilka szanownych osób, aby zaszczyciły zebranie. W ten sposób, nazwisko moje rozeszło się po Paryżu i doszło uszu zdradzieckiej istoty. Nie poznała go z pewnością pod duchownym godłem; ale reszta ciekawości, lub może cień wyrzutu że mnie tak zdradziła (nie mogłem nigdy dociec które z tych uczuć), sprawiły iż zainteresowało ją nazwisko tak podobne do mego; przybyła do Sorbony z kilkoma damami. Była przy dyspucie i bez wątpienia łatwo zdołała sobie przypomnieć me rysy.

Nie miałem najmniejszego pojęcia o obecności Manon. Wiadomo iż, w salach przeznaczonych na te ceremonie, znajdują się loże dla pań, skąd mogą się przysłuchiwać ukryte za żaluzją. Wróciłem do Saint-Sulpice

okryty chwałą, obsypany powinszowaniami. Była szósta. W chwilę po powrocie, dano mi znać że jakaś dama pragnie mówić ze mną. Udałem się do rozmownicy. Boże! co za zjawisko! zastałem Manon. Tak, to była ona, ale bardziej urocza, świetniejsza niż kiedykolwiek. Była wówczas w kwiecie ośmnastu lat. Powaby jej przewyższały wszystko co można opisać: wejrzenie tak lube, tak słodkie, tak pociągające; wcielona Miłość, Pokusa, w jednej osobie. Cała postać wydała mi się istnym czarem.

Oniemiałem; nie mogąc odgadnąć celu wizyty, stałem ze spuszczonymi oczami, drżący, czekałem wyjaśnienia. Przez jakiś czas i ona była równie zakłopotana; wreszcie, widząc że wciąż milczę, zasłoniła rękami oczy, aby ukryć kilka łez. Rzekła nieśmiało, że wie iż zdrada jej zasługuje na mą nienawiść; ale jeśli prawdą jest iż miałem dla niej jakieś uczucie, było też bardzo okrutne z mej strony nie zatroszczyć się o nią i nie dać znać o sobie całe dwa lata. Okrucieństwem jest również (mówiła) patrzeć na stan w jaki wprawia ją moja obecność i nie odezwać się ani słowem. Nie umiałbym opisać, co się działo w mej duszy, gdy słuchałem jej głosu.

Usiadła. Stałem z na wpół odwróconą głową, nie śmiejąc na nią spojrzeć. Zaczynałem kilkakrotnie mówić; nie miałem siły. Wreszcie, zdołałem wykrzyknąć boleśnie: „Niewierna Manon! Och! niewierna, niewierna!" Płacząc gorącymi łzami, powtarzała, że nie próbuje usprawiedliwiać swej zdrady. — „Czegóż chcesz tedy? krzyknąłem. — Chcę umrzeć, odparła, jeśli nie wrócisz mi serca, bez którego nie umiem żyć. — Żądaj więc życia mego, zdrajczyni! odparłem, sam wylewając strumienie łez które próżno starałem się wstrzymać; żądaj życia, jedynej rzeczy jaką rozrządzam jeszcze; serce nigdy nie przestało być twoim".



Ledwiem wyrzekł te słowa, Manon zerwała się aby mnie uściskać. Obsypała mnie tysiącem pieszczot; wołała wszystkimi imionami miłości. Odpowiadałem wpół błędny. Jakież bo, w istocie, przejście, od spokoju dotychczasowego życia, do burz które zaczynałem odczuwać! Byłem przerażony. Drżałem tak, jak drży człowiek, kiedy się znajdzie sam, w nocy, w ciemnym zaułku: ma uczucie, że go przeniesiono jakby w nowy porządek rzeczy; czuje grozę, z której otrząsa się dopiero po długim rozpatrywaniu się w otaczających przedmiotach.

Siedliśmy koło siebie; ująłem jej dłonie. „Ach, Manon, mówiłem wpatrując się w nią smutnymi oczyma, nie spodziewałem się zdrady jaką odpłaciłaś mą miłość. Łatwo ci przyszło zwieść serce, którego byłaś jedyną królową i które pokładało całe szczęście w tym aby ci być miłym i posłusznym. Powiedz, powiedz teraz, czy znalazłaś inne, równie tkliwe i oddane? Nie, nie, natura nie stworzyła na świecie serc podobnych memu. Powiedz bodaj, czy żałowałaś czasem? Ile mogę budować na uczuciu które cię dziś sprowadza? Widzę, ach, nadto dobrze, jak bardzo jesteś urocza; ale, w imię wszystkich mąk które wycierpiałem, powiedz, piękna Manon, czy będziesz mi wierna?"

Odpowiedziała tak szczerymi słowami żalu, przysięgła wierność za pomocą tylu zaklęć i przyrzeczeń, iż wzruszyła mnie nieopisanie. „Droga Manon! mówiłem w świętokradzkim pomieszaniu świeckich i duchownych wyrazów uwielbienia, jesteś bosko, nadziemsko urocza. Czuję iż serce moje unosi się w tryumfalnym zachwyceniu. Wszystko, co tutaj, w Saint-Sulpice, bają o wolności, jest jeno chimerą. Zatracę dla ciebie los i dobre imię, czuję to; czytam mą dolę w twoich pięknych oczach; ale jakichż strat nie wynagrodziłaby twoja miłość! Łaski losu nie wzruszają mnie; sława zda mi się czczym dymem; powołanie duchowne było szalonym majakiem; słowem, wszelkie szczęście poza tobą godne jest jedynie wzgardy, skoro nie umiałoby się ani chwili ostać w mym sercu wobec twego jednego spojrzenia".

Przyrzekając zapomnieć jej błędy, chciałem wszakże wiedzieć, w jaki sposób dała się uwieść panu de B***. Opowiedziała mi, jak, ujrzawszy ją w oknie, zapłonął miłością. Oświadczył się jej w sposób godny kramarza, to znaczy dając do zrozumienia, iż nagroda będzie proporcjonalna do łask jakich dozna. Zrazu słuchała bez innego zamiaru, jak tylko z chęcią wydobycia zeń znaczniejszej sumy, która by pozwoliła nam żyć wygodnie; oślepił ją tak wspaniałymi obietnicami, iż stopniowo dała się wzruszyć: mogę wszakże sądzić o jej wyrzutach z boleści jaką musiałem wyczytać w jej twarzy w dniu rozstania! Mimo dostatku jakim ją otoczył, nie zakosztowała z tym człowiekiem szczęścia; nie tylko (mówiła) bo nie znalazła w nim mojej delikatności uczuć i mego wdzięku, ale ponieważ, w pełni uciech jakich jej wciąż dostarczał, nosiła w sercu wspomnienie mej miłości i wyrzut iż mogła ją zdradzić. Wspomniała o Tybercym, o pomieszaniu w jakie wprawiły ją jego odwiedziny. „Pchnięcie szpady w serce, dodała, mniej byłoby mnie wstrząsnęło. Odwróciłam się i uciekłam, nie mogąc znieść jego obecności".

Opowiedziała dalej, jaką drogą dowiedziała się o mym pobycie w Paryżu, o mej zmianie stanu i o dzisiejszej uroczystości. Upewniła, iż, w czasie dysputy, była tak wzruszona, że z trudem przychodziło jej wstrzymać nie tylko łzy, ale jęki i krzyki, które omal się jej nie wydarły. Rzekła wreszcie, iż wyszła z gmachu ostatnia aby ukryć swe wzruszenie, i że, idąc jedynie za po-

pędem serca, przybyła prosto do seminarium, z postanowieniem zakończenia tam życia, gdybym jej nie przebaczył.

Gdzież jest barbarzyńca, którego by taka skrucha nie zdołała wzruszyć? Co do mnie, uczułem, że poświęciłbym dla Manon wszystkie infuły chrześcijaństwa. Spytałem, jak myśli pokierować naszymi sprawami. Odparła, iż trzeba natychmiast opuścić seminarium i znaleźć schronienie. Zgodziłem się bez słowa. Udała się do karocy, aby mnie oczekiwać na rogu. Wymknąłem się za chwilę, niepostrzeżony przez odźwiernego. Siadłem koło niej. Wstąpiliśmy do składu ubrań, wdziałem z powrotem galony i szpadę. Manon zapłaciła wszystko; nie miałem przy sobie ani grosza, w obawie zaś aby ucieczka moja nie napotkała na przeszkodę, nie pozwoliła mi wrócić po sakiewkę. Skarbczyk mój był dość ubogi, Manon zaś, dzięki szczodrobliwości pana de B***, była dość bogata aby gardzić tym cośmy zostawili. Nim wyszliśmy ze składu, naradziliśmy się co mamy czynić.

Chcąc aby poświęcenie jej było tym pełniejsze, Manon postanowiła zerwać z panem de B*** bez zastrzeżeń. „Zostawię mu meble, rzekła; są jego; ale, jak każe sprawiedliwość, zabiorę klejnoty i blisko sześćdziesiąt tysięcy franków, które wycisnęłam zeń przez dwa lata. Nie ma żadnych praw do mnie, dodała: możemy zostać bez obawy w Paryżu. Najmiemy sobie wygodne mieszkanko i będziemy żyć szczęśliwie."

Przedstawiłem jej, że, o ile ona może się czuć bezpieczna, moje położenie jest zgoła inne. Prędzej lub później, znajdą mój trop; wciąż będę narażony na nieszczęście którego raz już doznałem. Poznałem z twarzy Manon, iż żal jej było opuszczać Paryż. Tak lękałem się sprawić jej przykrość, że nie było niebezpieczeństwa



którym bym nie wzgardził byle spełnić jej życzenie. Wreszcie znaleźliśmy pośrednią drogę: nająć domek pod Paryżem, skąd łatwo będzie dostać się do miasta, skoro nas tam powoła ochota lub potrzeba. Wybraliśmy Chaillot, jako niezbyt odległe. Manon pośpieszyła natychmiast do siebie; ja miałem czekać u furtki Tuileryj.

Wróciła za godzinę w najętym powozie, wraz z pokojówką oraz kilkoma walizami zawierającymi garderobę i wszystko co miała cenniejszego.

Niebawem, dotarliśmy do Chaillot. Zajechaliśmy do gospody, aby sobie zostawić czas na wyszukanie domu lub bodaj mieszkania. Znaleźliśmy nazajutrz wygodny apartamencik.

Szczęście moje zdało się zrazu niewzruszone. Manon była istnym obrazem dobroci i słodyczy. Okazywała mi tyle względów, że czułem się wspaniale nagrodzony za moje niedole. Ponieważ nabyliśmy oboje nieco doświadczenia, oszacowaliśmy ściśle trwałość naszej fortuny. Sześćdziesiąt tysięcy franków, podwalina dostatku, nie była to suma, która by mogła starczyć na cały długi bieg naszego życia. Nie czuliśmy się zresztą usposobieni do ograniczeń. Oszczędność nie była główną cnotą Manon, ani moją. Oto plan, jaki przedłożyłem: „Sześćdziesiąt tysięcy franków, rzekłem, mogą nam zabezpieczyć dziesięć lat. Dwa tysiące talarów rocznie, to zupełnie dosyć, o ile pozostaniemy w Chaillot. Będziemy żyli przyzwoicie, lecz skromnie. Jedynym zbytkiem będzie powóz i konie, oraz teatr. Trzeba to rozsądnie obmyślić. Lubisz operę; zatem, powiedzmy, opera dwa razy na tydzień. Co się tyczy gry, ograniczymy ją tak, aby straty nie wyniosły nigdy więcej niż dwa pistole. Niesposób aby, do lat dziesięciu, nie zaszły jakieś zmiany w moich stosunkach rodzinnych; ojciec jest wiekowy, może umrzeć; stanę się panem majątku; wówczas będziemy wolni od trosk i obaw."

Program ten nie byłby największym szaleństwem mego życia, gdybyśmy byli dość roztropni aby się go trzymać; ale postanowienia nasze nie trwały dłużej niż miesiąc. Manon lubiła namiętnie wszelkie uciechy: ja również, gdy chodziło o jej zabawę. Co chwila nastręczały się okazję; ja zaś, daleki od żałowania sum które Manon trwoniła, pierwszy starałem się dostarczyć wszystkiego, co mogło jej sprawić przyjemność.

Nawet mieszkanie w Chaillot zaczęło jej ciążyć. Zbliżała się zima, wszystko ściągało do miasta. Manon zaproponowała aby się przenieść do Paryża. Nie zgodziłem się; ale pragnąc ją zadowolić bodaj w części, rzekłem, że możemy wynająć w mieście parę pokoi aby mieć gdzie nocować, ilekroć zdarzy się nam zabawić zbyt późno: uciążliwy bowiem powrót był pozorem, dla którego chciała opuścić tę miejscowość. Obarczyliśmy się w ten sposób dwoma mieszkaniami, jedno w mieście, drugie na wsi. Zmiana ta wprowadziła ostateczny zamęt w nasze interesy, a wreszcie dała powód do dwóch wydarzeń, które stały się przyczyną ruiny.

Manon miała brata, który służył w gwardii. Nieszczęściem, mieszkał w pobliżu nas. Jednego dnia, idąc ulicą, spostrzegł w oknie siostrę i poznał ją. Natychmiast przybiegł. Był to człowiek brutalny i bez honoru. Wszedł klnąc straszliwie; że zaś niejeden wybryk Manon doszedł jego wiadomości, obsypał ją stekiem obelg i wymówek.

Wyszedłem z domu chwilę przedtem; okoliczność niewątpliwie szczęśliwa dla niego lub dla mnie, nie byłem bowiem skłonny cierpieć bezkarnie zniewag. Wróciłem dopiero po jego odejściu. Odgadłem z twarzy

Manon, że musiało coś zajść. Opowiedziała scenę jakiej stała się ofiarą, oraz brutalne pogróżki brata. Byłem tak oburzony, że byłbym natychmiast szukał pomsty, gdyby Manon nie zatrzymała mnie łzami.

Gdy rozmawialiśmy o tej przygodzie, gwardzista znowuż wtargnął bez oznajmienia. Gdybym go znał, nie byłbym go przyjął tak uprzejmie; ale on, pozdrowiwszy nas z uśmiechem, z miejsca oświadczył, iż przyszedł przeprosić Manon. Posądzał ją o złe prowadzenie i stąd jego gniew; ale zasięgnąwszy u służby wiadomości o mej osobie, dowiedział się rzeczy tak pochlebnych, że informacje te obudziły w nim chęć pojednania.

Mimo iż te kuchenne wywiady raziły mnie, przyjąłem jego wylew z całą uprzejmością. Sądziłem iż robię przyjemność Manon, która zdawała się zachwycona pojednawczością brata. Zatrzymaliśmy go na obiad.

Po krótkim czasie spoufalił się do tego stopnia, iż, słysząc jak rozmawiamy o powrocie do Chaillot, chciał nam koniecznie dotrzymać towarzystwa. Trzeba go było wziąć do karocy.

Był to niejako akt objęcia w posiadanie; niebawem przyzwyczaił się odwiedzać nas tak gorliwie, iż uczynił sobie dom z naszego mieszkania a swoją własność z wszystkiego co do nas należało. Tytułował mnie bratem; jakoż z braterską swobodą sprowadzał do Chaillot chmarę przyjaciół i raczył ich na nasz rachunek. Wyekwipował się wspaniale naszym kosztem; żądał nawet, abyśmy zapłacili jego długi. Zamykałem oczy na tę tyranię, aby nie czynić przykrości Manon; udawałem nawet że nie widzę, iż brat wyciąga z niej znaczne kwoty. To prawda, że, będąc namiętnym graczem, sumiennie oddawał jej cząstkę, kiedy fortuna mu sprzyjała; ale nasze skromne mienie nie mogło długo nastarczyć takim wydatkom.

Miałem już zamiar rozmówić się z nim stanowczo, aby uwolnić siebie i Manon, kiedy złowrogi przypadek oszczędził mi tej przykrości, sprowadzając w zamian inną, która pogrążyła nas bez ratunku.

Jednego dnia, jak często, zostaliśmy na noc w Paryżu. Służąca, która w takim razie sama pilnowała domu, przybiegła uwiadomić mnie, że w nocy wszczął się ogień i że z trudnością zdołano go ugasić. Spytałem, czy rzeczy nasze nie ucierpiały; odparła, że było takie zamieszanie, tylu obcych zbiegło się jakoby na pomoc, że za nic nie może ręczyć. Drżałem o nasze mienie, które znajdowało się w małej szkatułce. Udałem się co rychlej do Chaillot. Daremny pośpiech! Szkatułka znikła.

Przekonałem się wówczas, że można kochać pieniądze, nie będąc skąpym. Myślałem że rozum postradam. Zrozumiałem w lot, na jakie nowe nieszczęścia mnie to wystawi; ubóstwo było najmniejszym! Znałem Manon, doświadczyłem aż nadto, iż, mimo wierności i przywiązania jej do mnie w dobrym losie, nie trzeba liczyć na nią w nędzy: zbyt kochała dostatek i uciechy, aby je dla mnie poświęcić. Stracę ją! wykrzyknąłem. Nieszczęsny kawalerze! znów tedy postradasz przedmiot ukochania! Ta myśl wprawiła mnie w taki zamęt, iż przez chwilę wahałem się, czy nie uczyniłbym lepiej, śmiercią kładąc kres wszystkim niedolom.

Mimo to, zachowałem na tyle przytomności, aby się rozpatrzyć czy nie ma jakiego ratunku. Niebo obudziło we mnie myśl, która wstrzymała mą rozpacz: pomyślałem, że może mi się uda ukryć przed Manon naszą stratę i że, przy pomocy sprytu lub szczęścia, zdołam uzyskać tyle aby nie dać jej odczuć nędzy.

Rachowałem (mówiłem sobie aby się pocieszyć), że dwadzieścia tysięcy talarów starczą na dziesięć lat: przypuśćmy, że tych dziesięć lat minęło, i że żadna ze spodziewanych zmian nie zaszła w mej rodzinie. Cóż bym wtedy postanowił? Nie wiem; ale kto mi broni zrobić to samo dziś? Ileż osób żyje w Paryżu, nie mając ani mych zdolności ani moich wrodzonych darów, a mimo to zawdzięczając egzystencję własnemu przemysłowi.

Czyż Opatrzność (dodawałem, zastanawiając się nad rozmaitymi drogami życia), nie urządziła rzeczy bardzo mądrze? Magnaci i bogacze, to przeważnie głupcy; kto bodaj trochę zna świat, widzi to doskonale. Otóż, w tym właśnie jest cudowna sprawiedliwość. Gdyby łączyli rozum z bogactwem, byliby zbyt szczęśliwi, a reszta ludzi zbyt nędzna. Przymioty ciała i duszy przypadły znowuż tamtym, jako środki pozwalające się im dźwignąć z nędzy i ubóstwa. Jedni biorą udział w bogactwach mocarzy, służąc ich przyjemnościom i wyzyskując je jak mogą. Inni sprzedają im swą naukę i starają się zrobić z nich godnych ludzi; rzadko, co prawda, się im to udaje, ale nie to jest celem boskiej mądrości: zawsze uszczkną jakiś owoc trudów, żyjąc na koszt swych dostojnych uczniów. W jaki bądź tedy sposób rzecz ująć, nierozum możnych i bogaczy jest znakomitym źródłem dochodu dla maluczkich.

Te myśli dodały mi nieco otuchy. Postanowiłem, na początek, zasięgnąć rady imć pana Lescaut, brata Manon. Znał doskonale Paryż i, jak mogłem aż nadto się przekonać, najczystsze jego dochody miały źródło nie w majątku ani w płacy. Zostało mi ledwie dwadzieścia pistoli, które przypadkowo zabrałem był z sobą. Pokazałem mu sakiewkę, wyznając me nieszczęście i obawy, oraz spytałem, czy między śmiercią głodową a rozbiciem głowy o mur, jest dla mnie jaka droga. Odpowiedział, że rozbijać sobie głowę o mur, to ucieczka głupców; co się tyczy śmierci głodowej, wielu rozumnym ludziom zdarzyło się ją znaleźć w tej ostateczności, o ile nie chcieli zrobić użytku ze swych talentów. Do mnie tedy należy zważyć do czegom jest zdolny; on może tylko przyrzec mi pomoc i radę.

„To wszystko jest bardzo mgliste, mości Lescaut, rzekłem; położenie wymaga szybszego lekarstwa; cóż mam powiedzieć Manon? — Skoro mowa o Manon, odparł, nie rozumiem czym się pan kłopoce? Czyż, przy jej dobrej woli nie masz zawsze sposobu położenia końca kłopotom? Dziewczyna taka jak ona utrzyma z łatwością wszystkich troje: pana, siebie i mnie." Chciałem odpowiedzieć tak, jak na to zasługiwały te bezczelne słowa. Przerwał, oznajmiając, iż, przed wieczorem jeszcze, będziemy mieli niechybnie tysiąc talarów do podziału, jeżeli tylko zechcę iść za jego radą: zna jednego pana tak szczodrego, iż tysiąc talarów niczym dlań będzie w zamian za łaski Manon.

Przerwałem. „Miałem lepsze mniemanie o panu, odparłem: wyobrażałem sobie, iż przyjaźń pańska płynęła z zupełnie innych uczuć". Wyznał bezwstydnie, że zawsze myślał tak samo, i że, skoro siostra jego raz zdeptała prawa swej płci, choćby dla najbardziej ukochanego człowieka, pojednał się z nią jedynie w nadziei korzyści z jej nierządu.

Zrozumiałem, że dotąd byliśmy ofiarami jego interesowności. Mimo całego oburzenia, położenie moje kazało mi oszczędzać niegodziwca; odpowiedziałem tedy, śmiejąc się, iż radę tę uważam za deskę ratunku, którą zachowam na ostateczność. Prosiłem, aby mi wskazał inną drogę.

Podsunął mi, abym skorzystał z mej młodości i warunków i starał się zbliżyć z jaką starszą a szczodrobliwą damą. Ten sposób, który zmusiłby mnie do niewierności wobec Manon, również nie przypadł mi do smaku.

Wspomniałem o grze, jako o sposobie najłatwiejszym i najbardziej zgodnym z moim położeniem. Odparł iż gra, w istocie, jest niezłą rzeczą, ale że należy się zdecydować w tej mierze. Grać po prostu, ze zwykłymi widokami, to droga aby się zarżnąć do reszty. Próbować samemu, bez wspólników, praktykować sposoby jakimi zręczny człowiek stara się pomóc fortunie, to rzemiosło zbyt niebezpieczne. Istnieje trzecia droga, mianowicie spółka; ale młody mój wiek każe mu się obawiać, iż panowie stowarzyszeni nie osądzą mnie jeszcze dojrzałym do takiego przedsięwzięcia. Przyrzekł wszakże pośrednictwo i, czego nie byłbym się spodziewał, ofiarował się z pomocą pieniężną, w razie gdybym się znalazł w potrzebie. Jedyna łaska, o jaką błagałem na razie, to aby nic nie mówił Manon o mojej stracie i o treści naszej rozmowy.

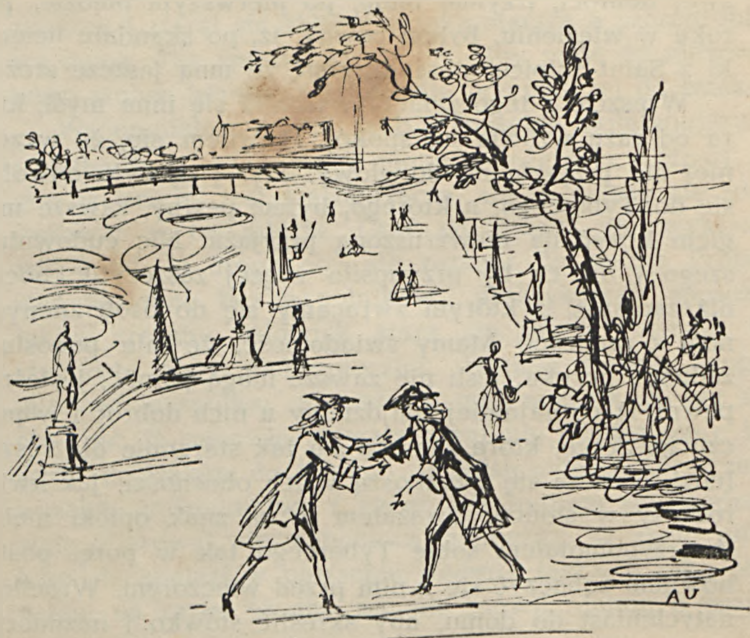
Wyszedłem bardziej jeszcze przygnębiony niż wprzódy; żałowałem nawet, iż zdradziłem mą tajemnicę. Lescaut nie uczynił nic, czego bym nie mógł uzyskać bez tego zwierzenia; lękałem się zaś śmiertelnie, aby nie złamał obietnicy i nie zdradził mnie przed Manon. Wobec jego wyznania wiary, miałem przyczynę obawiać się również, aby nie zapragnął wyzyskać powabów siostry na własną rękę i wedle własnego programu. Lękałem się, że albo mi ją uprowadzi, albo przynajmniej będzie ją nakłaniał aby mnie opuściła i wzięła kochanka dającego większe widoki. Niejednokrotnie, zbierała mnie ochota napisać do ojca i udać nową skruchę aby uzyskać pomoc, ale przypomniałem sobie, jak, mimo

swej dobroci, trzymał mnie, po pierwszym błędzie, pół roku w więzieniu. Byłem pewny, iż, po skandalu ucieczki z Saint-Sulpice, obszedłby się ze mną jeszcze srożej.

Wreszcie z tego zamętu wyłoniła się inna myśl, która od razu wróciła mi spokój. Dziwiłem się, że wcześniej nie przyszła mi do głowy. Myślą tą było odwołać się do Tybercego, u którego, byłem pewny, zawsze mogłem liczyć na niewzruszoną przyjaźń. Nic cudowniejszego i nic co by przynosiło więcej zaszczytu cnocie, niż zaufanie, z którym zwracamy się do osób znanych nam z zacności. Mamy świadomość, że nie ponosimy żadnego ryzyka: jeśli nie zawsze mogą pomóc, jesteśmy pewni, iż co najmniej znajdziemy u nich dobroć i współczucie. Serce, które zamyka się tak starannie dla reszty ludzi, otwiera się z rozkoszą w ich obecności, jak kwiat rozwity w słońcu. Uważałem to za znak opieki nieba, iż przypomniałem sobie Tybercego tak w porę; postanowiłem zobaczyć się z nim przed wieczorem. Wróciłem natychmiast do domu, aby skreślić słówko i naznaczyć miejsce spotkania. Zaleciłem Tybercemu dyskrecję, jako najważniejszą rzecz w mym obecnym położeniu.

Radość, zbudzona nadzieją ujrzenia przyjaciela, zatarła ślady zgryzoty, jakie Manon byłaby niechybnie odkryła na mej twarzy. Wspomniałem o nieszczęściu w Chaillot, jako o drobnostce, którą nie ma przyczyny się kłopotać. Ponieważ, ze wszystkich miejsc na świecie, Paryż był jej najulubieńszy, ucieszyła się słysząc iż najlepiej będzie zostać tutaj, póki w Chaillot nie naprawią szkód sprawionych pożarem.

W godzinę otrzymałem od Tybercego odpowiedź: przyrzekł stawić się w oznaczonym miejscu. Pobiegłem z niecierpliwością. Czułem nieco wstydu, mając ujrzeć przyjaciela, którego sama obecność była mi wyrzutem



sumienia; ale przeświadczenie o jego dobroci i wzgląd na Manon dodały mi odwagi.

Prosiłem Tybercego, aby mnie oczekiwał w ogrodzie *Palais Royal.* Przybył pierwszy. Spostrzegłszy mnie z dala, podbiegł z uściskiem. Trzymał mnie długo w ramionach; czułem że łzy jego spływają po mej twarzy. Rzekłem, iż jedynie ze wstydem pokazuję się mu na oczy i że noszę w sercu żywe poczucie mej niewdzięczności. Pierwsza rzecz o jaką go błagam, to aby mi powiedział, czy mam jeszcze prawo uważać go za przyjaciela, zasłużywszy na utratę jego szacunku i przywiązania. Odpowiedział z bezgraniczną serdecznością, że nic nie zdołałoby go odmienić; przeciwnie, nieszczęścia mo-

je, i, jeśli pozwolę mu się tak wyrazić, moje błędy i szaleństwa podwoiły jego tkliwość: ale tkliwość ta kojarzy się z najżywszą boleścią, jaką odczuwa się widząc drogą osobę pędzącą do zguby, a nie mając sposobu ratowania jej.

Siedliśmy na ławce. „Niestety! rzekłem z westchnieniem które mi się wydarło, współczucie twoje, drogi Tybercy, musi być olbrzymie, jeśli, jak mnie upewniasz, równe jest mym nieszczęściom! Wstyd mi odsłonić przed tobą me niedole; wyznaję że ich przyczyna nie przynosi mi zaszczytu; ale skutek jest tak opłakany, że nie potrzeba nawet tyle serca ile ty masz dla mnie, aby mnie żałować".

Poprosił, jako o dowód przyjaźni, abym, niczego nie ukrywając, opowiedział wszystko co zaszło od mej ucieczki. Uczyniłem mu zadość; daleki od zatajenia czegoś w prawdziwym stanie rzeczy, lub zmniejszania mych błędów dla uzyskania odpustu, opisałem mą namiętność z całą siłą prawdy. Przedstawiłem tę miłość, jako jeden z gromów losu, zawziętego na zgubę nieszczęśnika: losu, przed którym równie trudno jest cnocie się obronić, jak nie podobna było rozsądkowi go przewidzieć. Odmalowałem moje wzruszenie, obawy, rozpacz w jakiej tonąłem na dwie godziny przed naszym widzeniem; obraz niedoli, w którą niechybnie musiałbym popaść, gdyby przyjaźń opuściła mnie równie nielitościwie jak fortuna; słowem, rozczuliłem dobrego Tybercego tak, iż całą duszą podzielił me strapienia.

Nie przestawał mnie tulić i krzepić słowami otuchy; ale ponieważ ciągle wychodził z pewnika iż trzeba mi się rozłączyć z Manon, dałem mu wręcz do poznania, że właśnie to rozłączenie uważam za największe nieszczęście i raczej gotów jestem ścierpieć nędzę, nawet okrut-

ną śmierć, niż zgodzić się na lekarstwo, gorsze niż wszystkie męczarnie razem.

„Wytłumacz się tedy, rzekł; jakiej pomocy po mnie się spodziewasz, skoro buntujesz się przeciw wszystkim perswazjom?" Nie śmiałem wyznać, że chodzi właściwie o jego sakiewkę. Zrozumiął w końcu; przez chwilę wahał się wyraźnie. „Nie sądź, podjął, że wahanie moje wynika z braku przyjaźni; ale patrz, do czego mnie doprowadzasz! Trzeba mi albo odmówić jedynej pomocy jaką godzisz się przyjąć, albo, udzielając jej, chybić mej powinności. Czyż to nie znaczy brać udział w twych szaleństwach, przedłużając ich trwanie?"

„ Mimo to, ciągnął pomyślawszy chwilę, chcę wierzyć, że to może ów przykry stan, w jaki wtrąca cię niedostatek, nie zostawia ci dość swobody dla obrania lepszej drogi. Trzeba posiadać spokój ducha, aby smakować w mądrości i prawdzie. Wystaram ci się o trochę pieniędzy. Pozwól wszakże, drogi kawalerze, dodał ściskając mnie, abym postawił jeden warunek: mianowicie wskażesz mi swoje mieszkanie i pozwolisz, abym przynajmniej próbował przywieść cię do cnoty, którą — wiem o tym — kochasz i od której odstręcza cię jedynie nieokiełznana namiętność."

Zgodziłem się szczerze i prosiłem aby się użalił nad nędzą mego losu, który każe mi deptać rady cnotliwego przyjaciela. Zaprowadził mnie natychmiast do bankiera, który wyliczył sto pistolów na podpis Tybercego; nie opływał bowiem w gotowiznę. Powiedziałem już, że Tybercy nie był bogaty; beneficjum jego wynosiło tysiąc talarów, ale, ponieważ miał je dopiero pierwszy rok, nie podjął go jeszcze; oddał mi tę przysługę na koszt przyszłych dochodów.

Odczułem całą wartość jego szlachetnego postępku; wzruszył mnie do tego stopnia, że bolałem nad zaślepieniem, które mi każe łamać wszystkie obowiązki. Na chwilę cnota zyskała w mym sercu dość siły, aby stanąć wbrew mej namiętności. Spostrzegłem, bodaj na ten moment, całą nikczemność mych kajdan. Ale walka była lekka i trwała krótko. Widok Manon byłby mnie ściągnął z samego nieba: znalazłszy się przy niej, dziwiłem się, że tak usprawiedliwioną tkliwość mogłem sobie przez chwilę poczytywać za hańbę.

Manon była to niezwykła istota. Nie było pod słońcem dziewczyny obojętniejszej na pieniądze; ale nie mogła ani chwili żyć spokojnie z obawą iż może ich braknąć. Potrzebowała nieustannych uciech i zabawy. Nie przyjęłaby od nikogo ani szeląga, gdyby można było bawić się bez kosztów; nie pytała o stan kasy, byle mogła przyjemnie spędzić dzień. Poza tym, nie kusiła jej zbytnio ani gra, ani też wystawne życie; toteż, nie było nic łatwiejszego jak zadowolić ją, wymyślając co dzień nowe rozrywki. Ale ta codzienna strawa uciech była jej tak nieodzowna, że, bez tego, nie można było w najlżejszej mierze liczyć na jej charakter i przywiązanie. Kochała mnie tkliwie; byłem, jak chętnie przyznawała, jedyny, który dał jej kosztować w całej pełni słodyczy miłości; mimo to, byłem niemal pewny, iż czułość jej nie ostanie się wobec pierwszych braków. Wzgardziłaby dla mnie całym światem przy miernym dostatku; ale nie wątpiłem, że opuści mnie dla jakiegoś nowego de B***, skoro będę mógł jej ofiarować jedynie stałość i wierność.

Postanowiłem tedy umiarkować osobiste wydatki w ten sposób, aby zawsze nastarczyć potrzebom Manon; wolałem raczej sam obyć się bez rzeczy niezbędnych, niż ograniczyć ją bodaj w zbytku. Powóz przerażał mnie

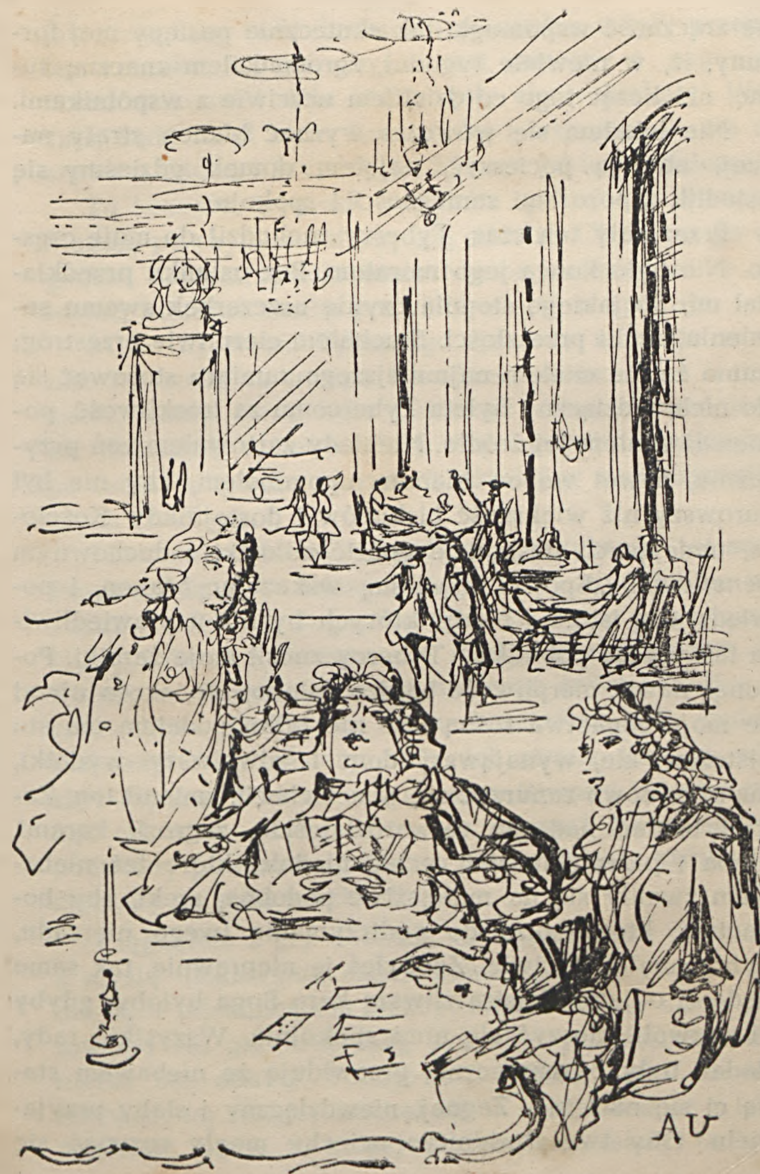
najbardziej; nie było bowiem podobieństwa, aby móc utrzymać konie i woźnicę.

Odsłoniłem moje troski panu Lescaut. Nie robiłem tajemnicy, żem otrzymał sto pistolów od przyjaciela. Powtórzył, iż, jeśli chcę puścić się na hazard, droga stoi mi otworem. Poświęciwszy sto franków na ugoszczenie wspólników, będę mógł, za jego poręką, wstąpić do ligi rycerzy przemysłu

Mimo wstrętu, jaki budziło we mnie rzemiosło oszusta, dałem się pociągnąć okrutnej konieczności.

Lescaut przedstawił mnie, jeszcze tego wieczoru, jako swego krewniaka. Dodał, iż można pokładać we mnie najlepsze nadzieje, ile że najpilniej potrzebuję względów fortuny. Aby dowieść wszelako, że nędza moja jest raczej przygodna, oświadczył że proszę całą kompanię na wieczerzę. Ugościłem ich wspaniale. Wspólnicy roztrząsali długo moje zalety i warunki; twierdzili, że można wiele spodziewać się po mnie, ile że, przy mej uczciwej i szlachetnej fizjognomii, niełatwo ściągnę na siebie podejrzenia. Dziękowano panu Lescaut, iż dostarczył adepta tak pełnego nadziei i polecono jednemu z rycerzy, aby, w kilka dni, udzielił mi potrzebnych lekcyj.

Teatrem mych działań miał być *Pałac transylwański*, gdzie, w głównej sali, mieścił się stolik faraona, w galerii zaś inne gry w karty i w kości. Dochód z gry szedł dla księcia de R***, który wówczas mieszkał w Clagny, większość zaś jego urzędników należała do naszej kompanii. Mamż wyznać na mą hańbę? skorzystałem w krótkim czasie z lekcyj. Nabrałem zwłaszcza wprawy w robieniu *wolty*, w przerzucaniu kart; posługując się swobodnie parą długich koronkowych mankietów, manewrowałem dość zręcznie aby oszukać najdoświadczeńszych i rujnować niepostrzeżenie naiwnych graczy. Ta szacow-



na zręczność wspomogła tak skutecznie postępy mej fortuny, iż, w niewiele tygodni, zgromadziłem znaczną sumę, nie licząc tego co dzieliłem uczciwie z wspólnikami.

Nie lękałem się wówczas wyznać Manon straty naszej; aby ją pocieszyć, nająłem domek, gdzieśmy się osiedlili z pozorami zamożności i spokoju.

Przez cały ten czas, Tybercy zachodził do mnie często. Nie było końca jego morałom. Bez ustanku przedkładał mi, do jakiego stopnia czynię uszczerbek swemu sumieniu, czci i przeszłości. Słuchałem cierpliwie przestróg; mimo że nie miałem najmniejszego zamiaru stosować się do nich, wdzięczny byłem Tybercemu za troskliwość, ponieważ znałem jej źródło. Niekiedy żartowałem zeń przyjaźnie, nawet wobec Manon; upominałem, aby nie był surowszy niż większość biskupów i dostojników Kościoła, umiejących doskonale godzić miłostki z duchownym *beneficjum*. „Spójrz, mówiłem, wskazując Manon, i powiedz, czy istnieją błędy, których by nie usprawiedliwiła tak urocza pobudka." Tybercy znosił moje żarciki. Posunął nawet cierpliwość bardzo daleko; ale, skoro ujrzał że moje bogactwa rosną i że nie tylko oddałem mu sto pistolów, ale, wynająwszy dom i zdwoiwszy wydatki, mam na nowo zanurzyć się w uciechach, zmienił ton. Zaczął biadać nad mą zatwardziałością, zagroził karami nieba i przepowiedział rychłe niedole, które też niebawem zwaliły się na mnie. „Nie podobna, rzekł, aby bogactwa, które służą do podtrzymania twego nierządu, były nabyte uczciwie. Zdobyłeś je nieprawnie, tak samo będą ci odjęte. Najstraszliwszą karą Boga byłoby, gdyby ci pozwolił cieszyć się nimi spokojnie. Wszystkie rady, dodał, były bezużyteczne; przewiduję że niebawem staną ci się natrętne. Żegnaj, niewdzięczny i słaby przyjacielu. Oby twe zbrodnicze uciechy mogły rozwiać się jak cień! Oby twój dostatek i pieniądze mogły przepaść bez ratunku, ty zaś obyś został samotny i nagi, aby uczuć znikomość dóbr które upiły cię i obłąkały! Wówczas, będę mógł znów kochać cię i wspomagać; ale dziś zrywam z tobą i brzydzę się życiem jakie wiedziesz."

To kazanie wygłosił w moim pokoju w obecności Manon, po czym wstał aby się oddalić. Chciałem go ułagodzić; ale zatrzymała mnie Manon, mówiąc że to szaleniec, któremu trzeba pozwolić odejść w spokoju.

Mimo to, słowa Tybercego sprawiły na mnie wrażenie. Zwracam tu uwagę na różne okoliczności w mym życiu, kiedy serce było poniekąd skłonne zwrócić się ku dobremu; temu bowiem wspomnieniu zawdzięczam po części siłę, jaką okazałem później w najnieszczęśliwszych chwilach.

Pieszczoty Manon rozprószyły przykrość tej sceny. Prowadziliśmy w dalszym ciągu życie wypełnione uciechami i miłością. Bogactwo zdwoiło nasze przywiązanie. Nigdy Wenus i Fortuna nie miały szczęśliwszych niewolników. Bogowie! czegóż nazywać świat padołem płaczu, skoro można na nim kosztować tak cudnych rozkoszy! Ale, niestety, słabą ich stroną jest, że mijają zbyt szybko. Jakichż innych szczęśliwości mógłby pragnąć człowiek, gdyby te trwały zawsze? Nasze słodycze podzieliły powszechny los, to znaczy trwały krótko i pociągnęły za sobą gorzkie żale.

Ciągnąłem z gry dochody tak znaczne, że nosiłem się z myślą ulokowania części pieniędzy. Powodzenie moje nie było tajemnicą dla służby, zwłaszcza dla mego pokojowca i dla garderobianej, przy których rozmawialiśmy nieraz bez obawy. Pokojówka Manon była to ładna dziewczyna: służący kochał się w niej. Młodość i lekkomyślność pary, u której służyli, pozwalały im przy-

puszczać że łatwo będzie ją oszukać. Powzięli plan i wykonali go z tak okrutnym powodzeniem, iż wtrącili nas w stan, z którego nie zdołaliśmy się podnieść.

Pewnego dnia, Lescaut zaprosił nas na wieczerzę: była blisko północ, kiedy wróciliśmy do domu. Zawołałem na pokojowca, Manon na garderobianą; nikogo! Nie pokazali się w domu od ósmej: wyszli, kazawszy wynieść za sobą kilka skrzyń, wedle rozkazów jakie rzekomo otrzymali ode mnie. Zacząłem się domyślać prawdy, ale to com ujrzał wchodząc, przewyższało o wiele moje podejrzenia. Zamek od alkierza wyłamano; pieniądze wraz z garderobą znikły. Gdy chodziłem po pokoju, oszołomiony tym wydarzeniem, weszła Manon, również mocno wystraszona, aby rzec iż tego samego spustoszenia dokonano w jej pokojach.

Cios był tak okrutny, iż jedynie nadludzkim wysiłkiem wstrzymałem się aby nie wybuchnąć płaczem. Obawa rozpaczy Manon sprawiła, że starałem się oblec w spokój. Rzekłem, żartując niby, iż znajdę niebawem pomstę na jakimś dudku w Pałacu transylwańskim. Ale smutek Manon przygnębił mnie o wiele więcej niż moja udana beztroska zdołała ją uspokoić. „Zgubieni jesteśmy!" rzekła ze łzami w oczach. Próżno starałem się ją pocieszyć; własne łzy zdradziły mą rozpacz. Byliśmy zrujnowani doszczętnie, wręcz do jednej koszuli.

Posłałem natychmiast po pana Lescaut. Poradził, abym, nie zwlekając, udał się do dyrektora policji i do prefekta Paryża. Poszedłem, na moje największe nieszczęście. Poza tym iż starania podjęte na mą prośbę przez władze nie wydały skutku, zostawiłem hultajowi czas porozumienia się z siostrą i podsunięcia jej, w mojej nieobecności, ohydnego zamiaru. Szepnął o panu G*** M***, starym rozpustniku, znanym z tego iż hojnie opłaca swoje uciechy. Przedstawił tyle korzyści z tego stosunku, iż, pod pierwszym wrażeniem nieszczęścia, Manon zgodziła się. Zaszczytnego targu dobito przed mym powrotem, wykonanie zaś odłożono do jutra: Lescaut miał uprzedzić pana de G*** M***.

Zastałem brata Manon, oczekującego mnie w domu; Manon natomiast, zamknąwszy się w swoim pokoju, kazała mi powiedzieć, iż potrzebując nieco spokoju, prosi abym ją zostawił samą. Lescaut pożegnał mnie, ofiarowawszy kilka pistolów, które przyjąłem.

Była blisko czwarta, kiedym się położył. Nadumawszy się nad sposobami odbudowania dostatku, zasnąłem tak późno, że obudziłem się koło południa. Wstałem śpiesznie, aby się dowiedzieć o zdrowiu Manon; oznajmiono mi że wyszła przed godziną z bratem, który przyjechał po nią. Mimo iż taka wyprawa z panem Lescaut wydała mi się tajemnicza, stłumiłem podejrzenia. Odczekałem cierpliwie kilka godzin, które spędziłem na czytaniu. Wreszcie, nie będąc już panem niepokoju, zacząłem się wielkimi krokami przechadzać po domu. Spostrzegłem, w pokoju Manon, na stole zapieczętowany list. Otwarłem ze śmiertelnym drżeniem; list brzmiał jak następuje:

Przysięgam ci, drogi kawalerze, że jesteś bóstwem mego serca, ciebie jednego na świecie byłabym zdolna kochać tak jak kocham; ale czy nie widzisz, duszo moja droga, że w naszym położeniu wierność byłaby bardzo głupią cnotą? Czy myślisz, że może być mowa o czułościach, kiedy nie ma chleba? Głód przyprawiłby mnie kiedy o fatalną omyłkę: wydałabym ostatnie tchnienie, myśląc że to jest westchnienie miłości. Ubóstwiam cię, bądź tego pewny; ale pozwól mi na jakiś czas zakrzątnąć się koło naszego losu. Biada temu, kto wpadnie w moje sieci! pracuję nad tym aby uczynić mego kawalera bogatym i szczęśliwym. Lescaut udzieli ci wiadomości o twojej Manon; powie ci, iż płakała nad przymusem rozłąki.

Po przeczytaniu tego listu, wpadłem w stan który trudno by mi opisać: dziś jeszcze nie wiem jakie uczucia mną miotały. Było to położenie wyjątkowe, nie dające się z niczym porównać. Nie podobna go odmalować, bo nikt nie może mieć o nim pojęcia; trudno nawet uświadomić je sobie, ile że, będąc jedynym, nie łączy się w pamięci z niczym i nie zbliża się do żadnego znanego wrażenia. Mimo to, jakiekolwiek były moje uczucia, to pewna iż musiały w nie wchodzić ból, żal, zazdrość i wstyd. Ach, czemuż nad tym wszystkim górowało uczucie miłości!

Kocha mnie, chcę wierzyć, wykrzyknąłem; ale cóż? toć musiałaby być potworem, aby mnie nienawidzić! Czyż posiadał kto kiedy więcej praw do czyjegoś serca? Co mógłbym jeszcze uczynić dla niej, po wszystkim co poświęciłem? Mimo to, rzuciła mnie! Niewdzięczna, mniema iż broni ją od mych wyrzutów to, że, jak mówi, nie przestała mnie kochać! Lęka się głodu! Boże miłości! cóż za pospolitość, jaka odpłata za mą delikatność! Ja nie lękałem się głodu; ja, który wystawiam się nań tak chętnie dla niej, wyrzekając się majątku i rodziny; ja, który odmawiałem sobie najniezbędniejszych potrzeb, byle zaspokoić jej kaprysy! Ubóstwia mnie, powiada. Gdybyś mnie ubóstwiała, niewdzięczna, wiem u kogo szukałabyś rady; nie opuściłabyś mnie bez pożegnania. Mnie niech pyta, jakich mąk źródłem jest rozłąka z przedmiotem ubóstwienia! Trzeba by stracić rozum, aby się na to dobrowolnie narażać!

Potok skarg przerwały odwiedziny, których się nie spodziewałem: był to Lescaut. „Morderco! krzyknąłem dobywając szpady, gdzie Manon, co z nią zrobiłeś?" Gest mój przestraszył go. Odparł, iż, jeżeli go tak przyjmuję gdy przybywa zdać sprawę z kapitalnej usługi, noga jego u mnie nie postanie. Pobiegłem do drzwi i zaryglowałem je. „Nie wyobrażaj sobie, rzekłem, iż zdołasz jeszcze raz wystrychnąć mnie na dudka i omamić swymi bajeczkami. Drżyj o życie, albo pomóż mi odszukać Manon. — Ba, ba, ależ z ciebie żywiec! odparł; toż to jedyny przedmiot, który mnie sprowadza. Przychodzę ci oznajmić szczęście o jakim nie marzysz; może raczysz uznać, że winien mi jesteś jakąś wdzięczność". Zażądałem bezzwłocznych wyjaśnień.

Odpowiedział, że Manon, nie mogąc znieść nędzy, a zwłaszcza doraźnej odmiany życia, prosiła aby jej ułatwić znajomość z panem de G*** M***, który uchodzi za nader szczodrego. Ladaco nie przyznał się, że to on sam dał tę radę i przygotował drogę. „Zapoznałem ich z sobą dziś rano, ciągnął; zacny człowiek tak był zachwycony Manon, że zaprosił ją z miejsca do swego pałacyku na wsi, dokąd zamierza udać się na kilka dni. Ja, dodał Lescaut, który przeniknąłem od razu korzyści jakie moglibyście w tym znaleźć oboje, dałem zręcznie do zrozumienia, że Manon poniosła znaczne straty i tak pobudziłem hojność bogacza, iż, na początek, dał jej dwieście pistolów. Rzekłem, że to jest wcale przyzwoicie, ale że w przyszłości siostra będzie miała znaczne wydatki: wzięła na siebie troskę o młodszego brata, który nam został na karku po śmierci rodziców. Jeżeli tedy (ciągnąłem) pan de G*** M*** uważa ją za godną swych względów, nie pozwoli jej cierpieć w osobie biednego dziecka, które Manon uważa za połowę samej siebie. Rozczuliło go to. Przyrzekł was umeblować przyzwoicie i wypłacać co miesiąc czterysta funtów, co uczyni, jeśli się nie mylę, okrągło cztery tysiące ośmset z końcem roku. Nim wyjechał na wieś, dał rozkaz intendentowi aby wyszukał dom i przygotował wszystko jeszcze przed powrotem. Wówczas ujrzysz Manon, która poleciła mi cię uściskać

tysiąc razy i zapewnić że kocha cię bardziej niż kiedykolwiek."

Usiadłem, dumając nad dziwacznym obrotem mego losu. Poruszały mną najsprzeczniejsze uczucia; tonąłem w niepewności, długo nie byłem zdolny odpowiedzieć na pytania jakimi mnie zasypywał Lescaut. Była to chwila, w której honor i cnota paliły jeszcze me serce dotkliwym wyrzutem; obracałem z westchnieniem oczy ku Amiens, ku domowi, ku Saint-Sulpice i wszystkim miejscom w których pędziłem życie pełne niewinności. Jakaż przepaść dzieliła mnie od tego szczęśliwego stanu! Widziałem go już tylko z daleka, niby cień który pociągał jeszcze wspominki i pragnienia, nazbyt wątły aby pobudzić do czynu mą wolę. Przez jaką fatalność, mówiłem, pogrążyłem się aż tak w występku? Miłość, to uczucie niewinne; w jaki sposób zmieniło się ono dla mnie w źródło nieszczęścia i hańby? Co przeszkadzało mi żyć spokojnie i cnotliwie obok Manon? Czemuż nie zaślubiłem jej, nim uszczknąłem kwiat jej miłości? Ojciec, który kochał mnie tak tkliwie, czyż nie byłby się zgodził, gdybym użył wszystkiego aby zmiękczyć jego serce? Ach, ojciec sam byłby ją pokochał jak uroczą córkę, godną zostać żoną jego syna; żyłbym szczęśliwy miłością Manon, przywiązaniem rodzica, szacunkiem uczciwych ludzi, słodyczami dostatku i spokojem cnoty. Straszliwa odmiana! Jakąż bezecną rolę ofiarowano mi przed chwilą? Jak to! miałbym dzielić... Ale czyż można się wahać, skoro Manon tak chce i skoro inaczej trzeba mi ją stracić. „Lescaut — wykrzyknąłem zamykając oczy jakby dla usunięcia tak przykrych refleksyj — jeśli miałeś zamiar mi usłużyć, dziękuję ci. Mogłeś był obrać uczciwszą drogę; ale stało się, rzecz skończona, nieprawdaż? myślmy

tylko o tym , aby skorzystać z twych starań i ziścić twe nadzieje."

Lescaut, którego gniew mój, jak również długie milczenie zaniepokoiły trochę, ucieszył się tym zwrotem. Nie był on bynajmniej zuchem, czego w dalszym ciągu zyskałem dowody. „Tak, tak; rzekł; oddałem ci doskonałą przysługę; zobaczysz, że wyciśniemy stąd jeszcze więcej, niżby się można spodziewać". Ułożyliśmy, w jaki sposób zdołamy uprzedzić nieufność, jaką G*** M*** mógłby powziąć co do naszego rzekomego pokrewieństwa, widząc mnie roślejszym i starszym może niż sobie wyobrażał. Sposób był taki: miałem, wobec mego protektora, przybrać minę niezguły z prowincji i wpoić weń przekonanie iż noszę się z chęcią zostania księdzem, w którym to celu uczęszczam do kolegium. Postanowiliśmy także, że, kiedy pójdę się przedstawić, będę bardzo licho odziany.

G*** M*** wrócił do miasta w kilka dni. Sam wprowadził Manon do pałacyku, który jego intendent przygotował tymczasem. Uwiadomiła natychmiast o swym powrocie brata, który znów udzielił tej nowiny mnie: pośpieszyliśmy do Manon. Starego wielbiciela już nie było.

Mimo rezygnacji z jaką poddałem się woli kochanki, nie mogłem stłumić buntu serca na jej widok. Byłem smutny i osowiały. Radość widzenia Manon nie odniosła pełnego zwycięstwa nad zgryzotą; ona, przeciwnie, zdawała się przepełniona radością że mnie widzi znowu. Wyrzucała mi mą oziębłość. Nie mogłem się wstrzymać, aby jej nie nazwać *przewrotną i niewierną*, a słowom mym towarzyszyły obfite westchnienia.

Zrazu, zaczęła drwić z mej naiwności; ale, skoro ujrzała że patrzę na nią wciąż ze smutkiem, skoro odgadła

jak ciężko mi strawić tak sprzeczną z mym charakterem i uczuciem odmianę, opuściła mnie i przeszła do alkierza.

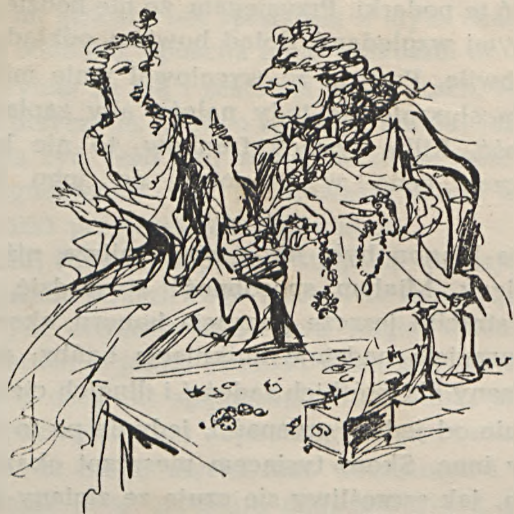
Pośpieszyłem za nią i zastałem ją we łzach. Spytałem, co jest ich przyczyną. „Łatwo zgadnąć, rzekła; jak chcesz, abym mogła żyć, jeśli mój widok budzi w tobie jedynie smutek i zgnębienie? Nie pocałowałeś mnie ani razu, a moje uściski przyjąłeś jak jaki sułtan.

— Słuchaj Manon, odparłem tuląc ją, nie taję że serce moje doznało straszliwego ciosu. Nie mówię już o niepokoju w jaki wtrąciła mnie twa nagła ucieczka, ani o okrucieństwie z jakim rzuciłaś mnie bez słowa pociechy, mimo iż całą noc spędziliśmy oddzielnie; urok twej obecności pozwoliłby mi zapomnieć więcej jeszcze. Ale czy sądzisz, że mogę myśleć bez westchnień i łez (ciągnąłem, roniąc je w istocie) o nędznym życiu, jakie każesz mi pędzić w tym domu? Zostawmy moje urodzenie i honor; to zbyt wątłe racje aby je można zestawiać z miłością taką jak moja: ale ta miłość, czy nie wyobrażasz sobie ile cierpi, widząc jak licha nagroda lub raczej jak okrutne obejście spotyka ją ze strony niewdzięcznej i nieczułej kochanki?..."

Przerwała mi: „Słuchaj, rzekła, drogi kawalerze, daremne jest dręczyć mnie wymówkami które przeszywają mi serce, tym samym że pochodzą od ciebie. Widzę, co cię rani. Miałam nadzieję, że zgodzisz się na zamiar jaki powzięłam aby odbudować naszą fortunę. Jedynie aby oszczędzić twą delikatność, przystąpiłam do tego bez twego udziału; ale, skoro się nie godzisz, wolę wszystkiego poniechać". Dodała, iż prosi mnie jedynie o cierpliwość do wieczora; otrzymała już dwieście pistolów od zakochanego starucha, wieczorem zaś przyrzekł jej przynieść piękny sznur pereł wraz z innymi klejnotami, nadto połowę rocznej pensji. „Zostaw mi czas, rzekła, bym mogła przyjąć te podarki. Przysięgam, że nie będzie się mógł chełpić mymi względami, dotąd bowiem odkładałem stanowczą chwilę. Prawda że wycałował mnie milion razy po rękach; słusznie się tedy należy aby zapłacił za tę przyjemność. Kilka tysięcy franków, to nie będzie za wiele, licząc cenę w proporcji do jego bogactwa i wieku".

Decyzja Manon była mi o wiele milsza, niż nadzieja kilku tysięcy. Miałem sposobność stwierdzić, iż serce moje nie straciło jeszcze poczucia honoru, skoro z taką radością przyjęło nadzieję uniknięcia hańby; ale byłem snać zrodzony dla krótkich radości i długich cierpień. Los zbawił mnie od jednej przepaści, jedynie po to aby mnie wtrącić w inną. Skoro tysiącem pieszczot okazałem mojej Manon, jak szczęśliwy się czuję ze zmiany jej postanowienia, rzekłem iż trzeba powiadomić o wszystkim jej brata, aby wykreślić wspólną drogę postępowania. Szemrał zrazu nieco, ale nadzieja kilku tysięcy sprawiła, że wreszcie się zgodził. Stanęło na tym, że postaramy się wszyscy wziąć udział w wieczerzy z G*** M***, a to dla dwóch racyj: raz, aby sobie dostarczyć niewinnej uciechy przedstawiając mnie za młodego szkolarza i brata Manon; po wtóre, aby staremu rozpustnikowi nie pozwolić na poufałości, do których mógłby sobie rościć prawa, opłaciwszy je z góry tak hojnie. Lescaut i ja mieliśmy opuścić zebranie dopiero wówczas gdy G*** M*** przejdzie do sypialni; Manon, miast udać się za nim, przyrzekła wymknąć się i spędzić noc ze mną. Lescaut zobowiązał się zjawić punktualnie z karocą u bramy.

Nadeszła godzina wieczerzy; G*** M*** nie pozwolił długo na siebie czekać. Lescaut, wraz z siostrą, znajdowali się w saloniku. Pierwszą dwornością starca był dar jaki złożył swej pani: naszyjnik, bransolety i kolczyki



z pereł, warte co najmniej tysiąc talarów. Wyliczył następnie, w nowiutkich luidorach, dwa tysiące czterysta funtów, połowę jej pensji. Okrasił swój podarek mnóstwem słodyczy i komplementów w dawnym dworskim stylu. Manon nie mogła mu odmówić kilku pocałunków; było to przypieczętowaniem praw, jakich nabywała do pieniędzy złożonych w jej ręce. Ja, z uchem przylepionym do drzwi, czekałem aż Lescaut da znak.

Skoro Manon schowała pieniądze i klejnoty, brat jej wprowadził mnie za rękę, i, pociągnąwszy przed G*** M***, polecił mi złożyć ukłon. Zrobiłem parę głębokich reweransów. „Niech pan daruje, rzekł Lescaut, to chłopczyna jeszcze nieobyty. Brak mu, jak pan widzi, poloru, którego nabywa się w Paryżu; ale miejmy nadzieję że z czasem się przetrze. Będziesz miał zaszczyt często widywać tu pana, dodał zwracając się do mnie; staraj się skorzystać z takiego wzoru".

Stary galant zdawał się rad z mego widoku. Poklepał mnie po twarzy, chwaląc mą urodę; ale radził się mieć na baczności w Paryżu, gdzie młodzi ludzie łatwo dają się wciągnąć w rozpustę. Lescaut zaręczył, że jestem z natury wielce stateczny, że palę się do tego aby zostać księdzem, a cała moja przyjemność to odmawiać różańce.

„Wykapana Manon", dodał starzec, biorąc mnie pod brodę. Odparłem głupkowato: „Bo też, proszę pana, jesteśmy z jednego łoża, i kocham siostrę jak samego siebie. — Słyszysz go? rzekł stary do Lescauta; sprytny chłopczyna. Szkoda, doprawdy, że to dziecię tak mało obyte jest z ludźmi. — Oho, proszę pana, widywałem ich dosyć u nas po kościołach: myślę, że i w Paryżu znajdę głupszych od siebie. — Patrzcie, dodał, to nadzwyczajne, jak na chłopaka z prowincji".

Rozmowa toczyła się cały czas w tym tonie. Manon, z natury śmieszka, kilka razy o mało nie zepsuła wszystkiego swymi wybuchami. Znalazłem przy wieczerzy sposób opowiedzenia panu G*** M*** jego własnej historii oraz nieszczęśliwego losu jaki go miał spotkać niebawem. Lescaut i Manon drżeli podczas mego opowiadania, zwłaszcza gdy kreśliłem żywy portret gospodarza; ale miłość własna nie pozwoliła mu się poznać; zakończyłem zaś tak zręcznie, iż pierwszy uznał historię za bardzo pocieszną. Okaże się w dalszym ciągu, że nie bez przyczyny wspomniałem tę scenę.

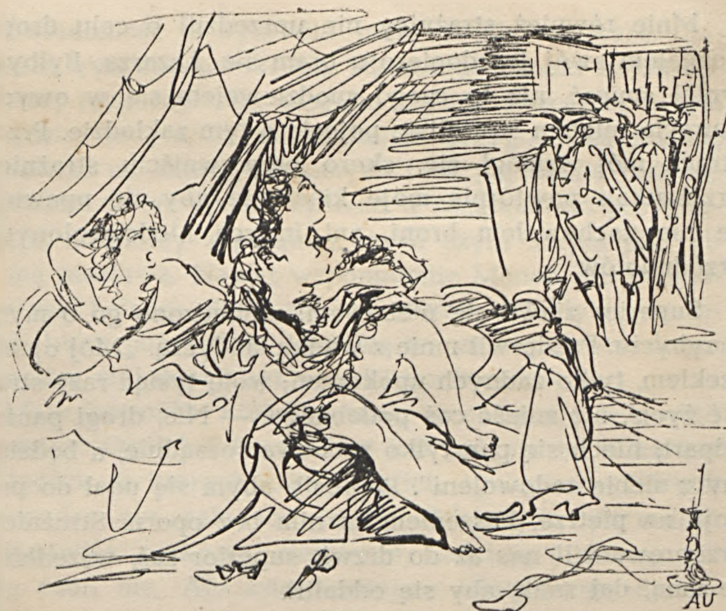
Wreszcie, kiedy się zbliżała godzina spoczynku, G*** M*** zaczął mówić o swych uczuciach i o niecierpliwości jaka go pali. Lescaut i ja pożegnaliśmy się. Odprowadzono starego do pokoju; Manon zaś, wyszedłszy pod pozorem potrzeby, dogoniła nas u bramy. Karoca, która

czekała o kilka domów dalej, podjechała na skinienie; ulotniliśmy się w jednej chwili.

Mimo że, w moich własnych oczach, postępek ten był szczerym hultajstwem, nie był on najbezecniejszy z tych jakie miałem sobie do wyrzucenia. Więcej skrupułów budziły we mnie pieniądze zdobyte w grze. Zresztą, równie mało skorzystaliśmy z jednego co z drugiego łupu; a niebo sprawiło, że lżejszy występek spotkał się z surowszą karą.

G*** M*** spostrzegł niebawem, iż padł ofiarą szajki. Nie wiem, czy jeszcze tego wieczora uczynił kroki aby nas odszukać; ale przy jego wpływach, poszukiwania te nie mogły zostać bez rezultatu. Byliśmy dość nieopatrzni, aby liczyć na wielkość Paryża i na odległość dzielnicy w której szukaliśmy schronienia. G*** M*** nie tylko zdobył rychło wiadomości o naszym miejscu pobytu i trybie życia, ale dowiedział się kto jestem, jakie życie wiodłem w Paryżu; toż samo o dawnym stosunku Manon z panem de B****, o sposobie w jaki go wystrychnęła na dudka; słowem, o wszystkich gorszących szczegółach naszej egzystencji. Postanowił nas uwięzić i potraktować nie tyle jako zbrodniarzy, ile jako parę kutych hultajów. Byliśmy jeszcze w łóżku, kiedy wszedł urzędnik policji z półtuzinem straży. Zagarnęli przede wszystkim nasze pieniądze, lub raczej pieniądze pana de G*** M***, i, kazawszy się co rychlej ubrać, sprowadzili nas do bramy, gdzie ujrzeliśmy dwie karoce. Do jednej wpakowano, bez żadnych wyjaśnień, biedną Manon, w drugiej zawleczono mnie do św. Łazarza.

Trzeba samemu doświadczyć nieszczęść tego rodzaju, aby osądzić rozpacz jaka mną owładnęła. Strażnicy posunęli okrucieństwo tak daleko, iż nie pozwolili mi uściskać Manon ani też zamienić z nią słowa. Długo nie wie-



działem co się z nią stało. Było to niewątpliwie szczęście dla mnie że nie domyśliłem się tego od razu, tak straszliwa bowiem katastrofa przyprawiłaby mnie o utratę zmysłów, a może i życia.

Porwano tedy w mych oczach nieszczęsną kochankę i wtrącono do kaźni której sama nazwa przyprawia o zgrozę. Cóż za los dla uroczej istoty, która zajmowałaby pierwszy tron świata, gdyby wszyscy mieli moje oczy i serce! Nie obchodzono się z nią okrutnie! ale zamknięto ją samotnie w więzieniu; nałożono jej przy tym dość uciążliwą pracę, jako nieodzowny warunek porcji wstrętnego jadła. Dowiedziałem się o tych smutnych szczegółach dopiero później, kiedy sam przecierpiałem wiele miesięcy twardej pokuty.

Mnie również strażnicy nie uprzedzili o celu drogi; poznałem swój los dopiero u bram św. Łazarza. Byłbym wolał śmierć, niż to czego spodziewałem się w owych murach; miałem straszliwe pojęcie o tym zakładzie. Przestrach mój wzmógł się, skoro przy wejściu strażnicy przeszukali powtórnie moje kieszenie aby się upewnić że nie zachowałem broni, ani innych niedozwolonych przedmiotów.

Superior zjawił się niebawem: uprzedzono go o mym przybyciu. Pozdrowił mnie z wielką słodyczą. „Mój ojcze, rzekłem, tylko żadnych upokorzeń; wolę tysiąc razy stracić życie, niż znieść coś podobnego. — Nie, drogi panie, odparł; niech się pan tylko zachowa rozsądnie, a będziemy z siebie zadowoleni". Poprosił, abym się udał do pokoju na piętrze. Poszedłem za nim bez oporu. Strażnicy przeprowadzili nas aż do drzwi, superior zaś, wszedłszy ze mną, dał znak, aby się oddalili.

„Jestem zatem więźniem w tym domu? spytałem. Cóż tedy, ojcze, myślisz począć ze mną?" Superior zdawał się zachwycony moim zachowaniem, pełnym umiarkowania i rozsądku. „Obowiązkiem naszym, rzekł, będzie pracować nad tym, aby obudzić w tobie, dziecko, miłość cnoty i religii; twoim zaś, korzystać z naszych rad. Bylebyś bodaj trochę zechciał się okazać godny względów jakie będziemy mieli dla ciebie, znajdziesz rozkosz w tym zacisznym schronieniu. — Och! rozkosz! odparłem; nie wiesz, ojcze, jakie jest jedyne źródło, zdolne mi jej użyczyć! — Wiem, odparł; ale mam nadzieję, że te skłonności ulegną zmianie". Odpowiedź ta pozwoliła mi się domyślać, iż zakonnikowi nie były obce moje przygody, a może i nazwisko. Na moje zapytanie, odpowiedział, że w istocie wie wszystko.

Świadomość ta była dla mnie najcięższą karą. Zacząłem wylewać potoki łez, zdradzając oznaki najokropniejszej rozpaczy. Nie mogłem myśleć spokojnie o tym wstydzie; o tym, że moje smutne przygody znajdą się niebawem na ustach znajomych i okryją hańbą rodzinę. Spędziłem w ten sposób tydzień w najgłębszym przygnębieniu, niezdolny zaprzątnąć myśli czym innym jak tylko mą niesławą. Nawet wspomnienie Manon nie pomnażało mej boleści. Stało się ono czymś odległym: wrażeniem, które poprzedziło tę nową męczarnię. Przemożnym uczuciem mej duszy był wstyd i upokorzenie.

Mało jest osób, które by znały w całej sile te osobliwe stany. Ogół ludzi wrażliwy jest jedynie na kilka namiętności, w których trawi się ich życie i do których sprowadza się cała ich istota. Odejmijcie im miłość i nienawiść, rozkosz i cierpienie, nadzieję i obawę, nie będą czuli nic. Ale szlachetniejsze istoty mogą doznawać wzruszeń w tysiączne sposoby, jak gdyby posiadały więcej niż pięć zmysłów i jak gdyby odbierały wrażenia przekraczające zwykłe granice ludzkiej natury. A ponieważ mają poczucie tego dostojeństwa które wznosi je ponad tłum, nie ma nic czego by strzegły zazdrośniej. Stąd tak niecierpliwie znoszą wzgardę i pośmiewisko, a wstyd jest dla nich najdokuczliwszym z uczuć.

Posiadłem ten smutny przywilej w klasztorze św. Łazarza. Smutek mój wydał się superiorowi tak uderzający, iż, obawiając się następstw, uważał za właściwe obchodzić się ze mną łagodnie. Odwiedzał mnie parę razy dziennie. Brał mnie często do ogrodu, nie szczędził zbawiennych rad i upomnień. Przyjmowałem je z uległością, niekiedy nawet okazywałem wdzięczność: wszystko to budziło w zakonniku nadzieje mego nawrócenia.

„Masz tak łagodny i ujmujący charakter, rzekł raz, że nie mogę zrozumieć wybryków o jakie cię obwiniają. Dwie rzeczy mnie dziwią: jedna, iż, przy tylu dobrych skłonnościach, mogłeś stoczyć się w taką otchłań; druga — i to zdumiewa mnie więcej jeszcze — iż, spędziwszy kilka lat we wszeteczeństwie, tak chętnie przyjmujesz moje rady i nauki. Jeśli to skrucha, stanowisz znamienny przykład miłosierdzia niebios; jeśli przyrodzona zacność, posiadasz doskonały grunt, który daje nadzieję że nie będziemy potrzebowali trzymać cię tutaj długo, aby cię doprowadzić do uczciwego życia".

Byłem uszczęśliwiony tą opinią. Postanowiłem umocnić ją swym zachowaniem, w przekonaniu iż to jest najpewniejszy sposób aby skrócić czas więzienia. Poprosiłem o książki. Superior zdumiony był, iż, mając swobodę wyboru, wziąłem poważnych autorów. Udałem że pogrążam się w studiach; przy każdej sposobności udawałem przemianę której się po mnie spodziewano.

Była ona jedynie zewnętrzna. Trzeba, ku mojej hańbie, wyznać, iż grałem u św. Łazarza rolę obłudnika. Miast zgłębiać księgi, ilekroć znalazłem się sam, trawiłem czas na żałosnym rozpamiętywaniu losów. Przeklinałem moje więzienie i tyranię która mnie w nim trzymała. Ledwie czas przyniósł mi jakąś ulgę w przygnębieniu płynącym z uczucia wstydu, popadłem z powrotem w męczarnie miłości. Rozłąka z Manon, nieświadomość jej doli, obawa iż nie ujrzę jej nigdy, były jedynym przedmiotem smutnych dumań. Wyobrażałem ją sobie w objęciach G*** M*** i ta myśl prześladowała mnie od początku. Nie przypuszczając zgoła aby Manon spotkała się z losem podobnym memu, byłem przekonany iż rywal postarał się o usunięcie mnie jedynie w tym celu, aby się cieszyć spokojnie jej posiadaniem.

W ten sposób płynęły dni i noce, które wlekły mi się bez końca. Pokładałem nadzieje jedynie w moim systemie obłudy. Śledziłem pilnie oblicze i słowa superiora, aby przeniknąć jego myśli. Dokładałem wysiłków, aby sobie ująć tego wszechmocnego pana mej przyszłości. Łatwo mi było poznać, że cieszę się jego łaską. Nie wątpiłem, iż, w potrzebie, mogę liczyć na jego życzliwość.

Pewnego dnia, ośmieliłem się spytać, czy od niego zależy moje uwolnienie. Odparł, że nie jest w tym względzie bezwarunkowym panem, ale przypuszcza, że na jego świadectwo, G*** M***, na którego żądanie naczelnik policji mnie uwięził, zgodziłby się wrócić mi wolność. „Czy mogę żywić nadzieję, rzekłem łagodnie, że dwa miesiące, które już wycierpiałem, wydadzą się dostateczną pokutą?" Dobry ojciec przyrzekł, jeżeli tego pragnę, pomówić z mym prześladowcą. Prosiłem gorąco o to. W dwa dni później, oznajmił, że pan de G*** M*** tak był wzruszony korzystnymi świadectwami o mnie, że nie tylko zdawał się skłonny wrócić mi wolność, ale objawił nawet ochotę zapoznania się ze mną; w tym celu, zamierza odwiedzić mnie w więzieniu. Mimo że te odwiedziny nie mogły mi być miłe, wróżyły one nadzieję bliskiej wolności.

Przybył istotnie do św. Łazarza. Wydał mi się poważniejszy i mniej pocieszny niż wówczas w domu Manon. Udzielił mi paru roztropnych uwag, tyczących mego zbłąkania. Dodał (prawdopodobnie aby usprawiedliwić własne wybryki), iż dozwolone jest słabości ludzkiej starać się o przyrodzone uciechy, ale że hultajstwo i oszustwo zasługują na karę.

Słuchałem z pozorami uległości, z której dygnitarz zdawał się zadowolony. Zniosłem parę przycinków co do mego braterstwa z Lescaut i Manon, i co do różańców,

których, jak natrącił G*** M***, odmówiłem zapewne sporo u św. Łazarza, skoro znajduję tyle przyjemności w tym pobożnym zatrudnieniu. Ale, nieszczęściem dla mnie i dla niego, wymknęła mu się uwaga, iż Manon również musiała sporo różańców odmówić w *Szpitalu.* Mimo dreszczu, o jaki przyprawiło mnie słowo *Szpital*, miałem jeszcze tyle siły, aby spokojnie poprosić o wytłumaczenie: „Tak, tak! dodał, od dwóch miesięcy uczy się rozsądku w *Szpitalu Powszechnym*[1]; życzę szczerze, aby ten pobyt wyszedł jej równie na zdrowie, co tobie mury św. Łazarza".

Gdyby mi nawet groziło wiekuiste więzienie lub zgoła śmierć, nie byłbym opanował mego uniesienia na tę straszliwą wiadomość. Rzuciłem się na starca z taką wściekłością, że połowa mych sił wyczerpała się w tej furii. Zostało mi ich wszakże dosyć, aby łotra obalić i chwycić za gardło. Dławiłem go, kiedy hałas upadku i krzyki, które z trudem dobyły się z jego krtani, ściągnęły superiora i kilku zakonników. Uwolniono nieszczęśnika z moich rąk.

Ja sam znalazłem się niemal bez siły i oddechu. „O, Boże! wołałem wydając tysiączne westchnienia; o sprawiedliwości niebios! trzebaż abym żył bodaj chwilę po takim bezeceństwie!" Chciałem rzucić się jeszcze na barbarzyńcę, który zadał mi ten cios. Przytrzymano mnie. Rozpacz moja, krzyki i łzy przechodziły wszelkie pojęcie. Objawy mego uniesienia były takie, że obecni, nie znając ich przyczyny, spoglądali po sobie z równą grozą jak zdumieniem.

Przez ten czas, G*** M*** doprowadzał do porządku perukę i żabot; po czym, wściekły, nakazał superiorowi

[1] Osławione więzienie dla kobiet.



aby mnie zamknął surowiej jeszcze niż wprzódy, oraz skarał wszelkimi środkami jakie klasztor ma do rozporządzenia. „Nie, panie, rzekł superior, z osobami tego urodzenia co pan kawaler nie zwykliśmy się uciekać do podobnych sposobów. Jest zresztą tak łagodny i tak na miejscu, że trudno mi przypuścić, aby się dopuścił tego wybryku bez ważnych przyczyn". Ta odpowiedź do reszty zbiła z tropu pana de G*** M***. Wyszedł, oznajmiając iż potrafi ugiąć i superiora i mnie, i wszystkich którzy ośmielą mu się opierać.

Superior, nakazawszy zakonnikom odprowadzić gościa, został ze mną. Zaklął mnie, abym wytłumaczył przyczynę wybryku. „O mój ojcze! rzekłem nie przesta-

jąc łkać jak dziecko, wyobraź sobie najstraszliwsze okrucieństwo, najohydniejszą niegodziwość, a będziesz miał pojęcie o czynie, jakiego dopuścił się niegodny G*** M***. Och! przeszył mi serce. Nigdy nie podniosę się z tego ciosu. Opowiem ci, ojcze, wszystko. Tyś dobry, ty ulitujesz się nade mną".

Opowiedziałem w krótkości dzieje niezwyciężonej miłości do Manon, kwitnący stan naszego mienia nim nas obrabowała własna służba, propozycje jakie G*** M*** czynił mej kochance, układ między nimi i sposób zerwania. „Oto, z jakiego źródła płynie troska pana de G*** M*** o moje nawrócenie. Miał tyle wpływu, iż zdołał zamknąć mnie tutaj przez czystą zemstę. Przebaczam mu; ale, ojcze, to nie wszystko; ten łotr kazał uprowadzić okrutnie droższą połowę mnie samego; kazał ją wtrącić haniebnie do Szpitala; miał bezczelność oznajmić mi to dzisiaj. W Szpitalu, ojcze! O nieba, moja urocza kochanka, droga królowa, w Szpitalu, jak najostatniejsza z ladacznic! Gdzie znajdę siły, aby nie umrzeć z boleści i wstydu?"

Dobry ojciec, na widok tej rozpaczy, próbował mnie pocieszać. Rzekł, iż dotąd patrzał na mą przygodę w zupełnie odmiennym świetle. Wiedział, co prawda, że prowadziłem się źle, ale wyobrażał sobie, iż pobudką pana de G*** M*** był węzeł szacunku i przyjaźni łączący go z mą rodziną. Fakty, jakie przytaczam, zupełnie (mówił) odmieniają postać rzeczy: toteż nie wątpi, iż wierna relacja jaką zaniesie o tym naczelnikowi policji przyczyni się do mego uwolnienia.

Spytał następnie, czemu dotąd nie pomyślałem o tym, aby przesłać rodzinie wiadomość o mym uwięzieniu, skoro nie miała w nim ona udziału. Tłumaczyłem się obawą sprawienia boleści ojcu i wstydem o jaki mnie przyprawia ta smutna przygoda. Ostatecznie, superior przyrzekł iż uda się bezzwłocznie do naczelnika policji: „Chociażby tylko po to, dodał, aby ubiec pana de G*** M***, który wyszedł bardzo rozsierdzony i który posiada dość wpływu, aby się stać niebezpiecznym".

Czekałem powrotu dobrego ojca, przechodząc wszystkie wzruszenia skazańca który oczekuje wyroku. Wyobrażając sobie Manon w Szpitalu, cierpiałem niewypowiedziane męczarnie. Poza całą hańbą tego więzienia, nie wiedziałem jak się z nią tam obchodzą; wspomnienie zaś pewnych szczegółów słyszanych nieraz o tym domu ohydy wznawiało co chwilę wybuchy mej rozpaczy. Byłem gotów ratować ją, za wszelką cenę i jakim bądź sposobem; byłbym podłożył ogień pod św. Łazarza, gdybym nie mógł wydostać się inaczej.

Zastanawiałem się tedy nad drogami, jakie należało obrać, w razie gdyby naczelnik policji w dalszym ciągu więził mnie wbrew mej woli. Wprawiłem w ruch cały spryt, przebiegłem wyobraźnią wszystkie możliwości. Nie widziałem nic, co by mi mogło zabezpieczyć pewność ucieczki, a lękałem się, iż, w razie daremnego usiłowania, czeka mnie jeszcze ściślejsze zamknięcie. Przypomniałem sobie przyjaciół od których mógłbym spodziewać się pomocy: ale jak uwiadomić ich o mym położeniu? Wreszcie, ułożyłem plan tak zręczny, iż, jak mniemałem, mógł się udać; szczegóły odłożyłem na później, w razie gdyby niepowodzenie kroków superiora uczyniło środek ten potrzebnym.

Wrócił niebawem. Nie dostrzegłem na jego twarzy radości, jaka towarzyszy dobrej nowinie. „Mówiłem, rzekł, z naczelnikiem policji, ale przybyłem za późno. G*** M*** udał się doń prosto stąd i tak go uprze-

dził, iż właśnie gotowano się wysłać nowe rozkazy z zaostrzeniem twego zamknięcia.

„Mimo to, skoro przedstawiłem istotne tło sprawy, pan naczelnik ułagodził się widocznie; śmiejąc się nieco z wybryków starego de G*** M***, rzekł iż trzeba cię potrzymać z jakie pół roku aby go zadowolić; tym bardziej, dodał, iż pobyt ten nie będzie bez pożytku. Zalecił mi obchodzić się z tobą przyzwoicie i ręczę że nie będziesz miał powodu skarżyć się w tej mierze".

Wyjaśnienia dobrego superiora trwały dość długo, aby mi dać czas na zastanowienie się. Pomyślałem, iż naraziłbym moje zamiary na pewną zgubę, gdybym okazywał zbyt gwałtowną żądzę wolności. Oświadczyłem, przeciwnie, iż, wobec konieczności zostania tu dłużej, pociechą jest dla mnie, że zyskałem sobie prawa do szacunku mych stróżów. Prosiłem następnie, bez nacisku, aby mi użyczono łaski, która nie może dla nikogo mieć wagi, przyczyniłaby się zaś do mego spokoju: chodzi o uwiadomienie jednego z przyjaciół, świątobliwego kapłana w Saint-Sulpice, iż znajduję się u św. Łazarza, oraz pozwolenie, aby, od czasu do czasu, mógł mnie odwiedzać. Uzyskałem to bez trudności.

Osobą, o którą chodziło, był Tybercy; nie iżbym się spodziewał odeń pomocy w uwolnieniu się, ale chciałem się nim posłużyć w tym celu jako narzędziem, bez świadomości nawet z jego strony. Projekt mój był taki: napisać do Lescauta, i polecić wspólnym naszym przyjaciołom troskę o oswobodzenie mnie. Pierwszą trudnością było przesłać list: to miało być zadaniem Tybercego. Ponieważ znał Lescauta jako brata mej kochanki, obawiałem się że się nie zechce podjąć. Zamiarem moim było umieścić list do Lescauta w innym liście, zaadresowanym do któregoś z mych znajomych, z prośbą o doręczenie przesyłki pod wskazanym adresem. Trzeba mi było koniecznie widzieć się z Lescautem, porozumieć się co do naszych planów; otóż, chciałem mu polecić, aby mnie odwiedził u św. Łazarza, żądając widzenia jako mój starszy brat, rzekomo przybyły do Paryża w moich sprawach. Rozważenie środków, które nam się wydadzą najpewniejsze i najrychlej wiodące do celu, odkładałem do ustnego porozumienia. Superior uwiadomił Tybercego o mym życzeniu. Wierny przyjaciel nie stracił mnie z oczu do tego stopnia, aby nie był świadom mej przygody. Wiedział, że jestem u św. Łazarza; może nie był zbyt strapiony tym nieszczęściem, zdolnym, jak sądził, sprowadzić mnie na drogę obowiązku. Przybiegł natychmiast.

Rozmowa nasza była przyjacielska. Tybercy wypytywał o mój stan duszy. Otwarłem mu serce bez zastrzeżeń, z wyjątkiem zamiaru ucieczki. „W twoich oczach, drogi przyjacielu nie chcę uchodzić za to czym nie jestem. Gdybyś mniemał że znajdujesz swego przyjaciela statecznym i bez pragnień, że masz przed sobą grzesznika oświeconego karami nieba, serce wyzwolone z pęt miłości i z uroków Manon, sądziłbyś zbyt pochlebnie. Widzisz mnie takim, jakim mnie opuściłeś cztery miesiące temu; wciąż rozkochanym i wciąż nieszczęśliwym przez tę żałosną miłość, w której, mimo to, nie przestaję szukać swego szczęścia".

Odpowiedział, że wyznanie moje przedstawia mnie w smutnym świetle. Widuje się grzeszników (mówił), którzy upajają się złudną słodyczą występku do tego stopnia, iż wynoszą ją ponad prawdziwe szczęście cnoty; ci dają się spętać bodaj obrazowi szczęścia i ulegają pozorom; ale, uznawać, jak ja, iż przedmiot przywiązania może mnie uczynić jedynie występnym i nieszczęśliwym,

a mimo to trwać w tym przywiązaniu i rzucać się dobrowolnie w nieszczęście i zbrodnię, to sprzeczność, nie przynosząca zaszczytu memu rozsądkowi.

„Tybercy, odparłem, jakże ci łatwo zwyciężać, skoro twój oręż nie napotyka oporu! Pozwól mnie z kolei rozumować. Czy możesz twierdzić, iż to, co nazywasz szczęściem cnoty, wolne jest od cierpień i niepokojów? Jakież miano dasz więzieniu, krzyżom, męczarniom i torturom tyranów? Czy powiesz jak mistycy, iż to, co dręczy ciało, stanowi szczęście duszy? Nie odważyłbyś się tego powiedzieć; to sofizmat. Owo szczęście, które tak sławisz, łączy się z tysiącem cierpień, lub, aby rzec słuszniej, jest pasmem nieszczęść, przez które zmierza się ku szczęśliwości. Otóż, jeśli siła wyobraźni pozwala znajdować rozkosz zgoła w utrapieniach, gdy wiodą do szczęśliwego kresu, czemu, w moim postępowaniu, podobne stanowisko uznajesz za sprzeczność i szaleństwo? Kocham Manon; dążę, przez tysiączne cierpienia, ku temu aby żyć szczęśliwie i spokojnie obok niej. Droga, którą idę, jest opłakana; ale nadzieja celu łagodzi ją swoją słodyczą; jedna chwila przy Manon opłaci, w moim przekonaniu, wszystkie utrapienia. Stawka, o którą gramy obaj, zdaje mi się tedy równa, lub, jeśli jest różnica, to raczej na moją korzyść; szczęście bowiem którego ja się spodziewam jest bliskie, tamto zaś dalekie; moje jest tej samej natury co cierpienie, to znaczy dostępne ciału, tamto zaś jest przyrody nieznanej i pewne jedynie mocą wiary".

Tybercy wzdrygnął się na to. Cofnął się o dwa kroki, oświadczając najpoważniej, że to co mówię nie tylko obraża zdrowy rozum, ale jest nieszczęśliwym sofizmatem bezbożności i niedowiarstwa. „Porównanie (dodał) kresu twoich utrapień z kresem, jaki ukazuje nam religia,

jest jednym z najzuchwalszych pomysłów, jakie kiedykolwiek wylęgły się w ludzkiej głowie".

— Przyznaję, odparłem, że nie jest trafne; ale zważ, że nie ono stanowi cel mego rozumowania. Zamiarem moim było wytłumaczyć to, co ci się wydaje sprzecznością w wytrwałej a nieszczęśliwej miłości. Udowodniłem, zdaje mi się, jasno, że, jeśli jest sprzeczność, istnieje ona zarówno w twoich jak w moich poglądach. Jedynie z tego punktu widzenia traktowałem owe rzeczy jako równe, i zawsze gotów jestem bronić słuszności mej tezy.

„Odpowiesz, że cel cnoty jest nieskończenie wyższy od celu miłości? Któż przeczy? Ale czy o tym mowa? Czyż nie chodzi tu o siłę, jaką oba te cele dają w znoszeniu utrapień? Osądźmy ze skutków: jak wielu znajdziesz zbiegów z drogi surowej cnoty, a jak niewielu tych, którzy by się sprzeniewierzyli powabom miłości!

Odpowiesz może, iż, jeśli są przykrości w czynieniu dobrego, nie są one nieuchronne i konieczne: nie spotyka się już tyranów ani krzyżów, a widzi się mnóstwo cnotliwych osób, wiodących miłe i spokojne życie. Powiem ci tak samo, że bywa i spokojna i szczęśliwa miłość, i dodam (jeszcze jedna różnica na mą korzyść), iż miłość, mimo że zwodzi dość często, daje same zadowolenia i rozkosze, gdy religia żąda smutku i umartwień.

Nie obawiaj się, dodałem, widząc iż Tybercy słucha mnie z widoczną przykrością. Jedyny wniosek jaki chcę wyciągnąć, to iż, jeśli się chce zrazić kogoś do miłości, nie ma gorszej metody niż zohydzać jej słodycze i obiecywać więcej szczęścia w cnocie. Natura, z jaką przychodzimy na świat, każe przyjąć za pewnik, iż szczęście spoczywa w rozkoszy: wyzywam kogokolwiek, niech stworzy inne jego wyobrażenie. Otóż, serce nie potrzebuje długo się namyślać, aby odczuć, iż, ze wszystkich

rozkoszy, najsłodsze są te, które płyną z miłości. Spostrzega niebawem iż mami je, kto mu obiecuje inne, rzekomo powabniejsze; to oszukaństwo budzi w nim nieufność do najponętniejszych obietnic.

Kaznodzieje, którzy chcecie przywieść mnie do cnoty, powiedzcie że jest konieczna; ale nie ukrywajcie że jest surowa i uciążliwa. Wykażcie, że rozkosze miłości są nietrwałe, że są zabronione, że pociągają za sobą wiekuiste kary, i — co może większe uczyni na mnie wrażenie — że, im słodsze i bardziej urocze, tym niebo będzie hojniejsze w nagrodzeniu takiego poświęcenia; ale przyznajcie, iż dla serc naszych, takich jakie nam dano, stanowią one na ziemi najwyższą szczęśliwość".

To zakończenie wróciło Tybercemu dobry humor. Zgodził się, że to co mówię nie jest zupełnie pozbawione rozsądku. Jedynym jego zarzutem było pytanie, czemu nie trzymam się tych zasad i nie umiem poświęcić mej miłości w zamian za nagrodę o której mam tak wysokie pojęcie. „Ach, przyjacielu! odparłem, w tym właśnie uznaję swą słabość i nędzę. Niestety! obowiązkiem moim byłoby postępować tak jak rozumuję; ale czy mam siłę? jakiejż pomocy potrzebowałbym, aby zapomnieć o uroku Manon! — Niech mi Bóg odpuści, rzekł Tybercy, mam uczucie, że się w tobie odrodził duch panów jansenistów. — Nie wiem czym jestem, odparłem, i nie widzę zbyt jasno czym bym powinien być; ale stwierdzam na sobie aż nadto prawdę tego co oni powiadają".

Rozmowa ta zdała się bodaj na tyle, iż odświeżyła w Tybercym współczucie. Zrozumiał, że w moich wybrykach więcej jest słabości niż złej woli. W dalszym biegu wydarzeń, zacny przyjaciel okazał się tym skłonniejszy do udzielenia mi pomocy, bez której byłbym niezawodnie zginął z nędzy. Jednak niczym nie zdradziłem zamiaru

ucieczki. Prosiłem tylko, aby doręczył list; przygotowałem ten list jeszcze przed przybyciem Tybercego, a nietrudno było wynaleźć pretekst, usprawiedliwiający to zlecenie. Dopełnił go z całą sumiennością; jeszcze tego dnia Lescaut otrzymał moje pismo.

Odwiedził mnie nazajutrz i przemycił się szczęśliwie pod imieniem brata. Ucieszyłem się jego widokiem. Zamknąłem starannie drzwi. „Nie traćmy ani chwili, rzekłem; mów przede wszystkim co wiesz o Manon, a później daj radę jak skruszyć moje łańcuchy". Upewnił, że nie widział siostry od chwili mego uwięzienia; dopiero po wielu trudach dowiedział się o jej i moim losie; parę razy zgłaszał się do Szpitala, ale odmówiono mu wstępu. „Nieszczęsny G*** M***, wykrzyknąłem, jakże mi drogo zapłacisz!"

— Co się tyczy twego oswobodzenia, ciągnął Lescaut, jest to mniej łatwe, niż sobie wyobrażasz. Spędziłem, z dwoma przyjaciółmi, wczorajszy dzień na oględzinach tego domu; doszliśmy do wniosku, iż, skoro okna twoje (jak doniosłeś) wychodzą na podwórze otoczone budynkami, bardzo trudno będzie cię wydobyć. Cela twoja mieści się zresztą na trzecim piętrze, a nie możemy wprowadzić tu drabin ani sznurów. Od zewnątrz, nie widzę tedy sposobu. Trzeba by chyba postarać się o pomoc w samym klasztorze.

— Nie, odparłem; rozpatrzyłem wszystko, zwłaszcza od czasu, gdy, dzięki pobłażliwości superiora, więzienie moje jest mniej ściśle. Nie zamykają mnie już na klucz; przechadzam się swobodnie po krużgankach; cały szkopuł stanowią ciężkie wrota, tak pilnie zamykane w dzień i w nocy, że niepodobieństwem jest, aby prosta zręczność mogła mnie ocalić.

„Poczekaj, rzekłem podumawszy chwilę, czy mógłbyś przynieść mi pistolet? — Bardzo łatwo, odparł Lescaut; czyżbyś miał zamiar zabijać kogo?“ Upewniłem, że zamiar ten tak bardzo jest ode mnie daleki, iż zbyteczne jest nawet aby pistolet był nabity. „Przynieś jutro, dodałem, i czekaj o jedenastej wieczór, na wprost bramy, z paroma przyjaciółmi; mam nadzieję, że uda mi się wydostać". Próżno nalegał, abym mu powiedział więcej. Rzekłem, iż tego rodzaju zamiar nabiera cech rozsądku dopiero wówczas, gdy go uwieńczy powodzenie. Prosiłem, by skrócił swą bytność, iżby tym łatwiej pozwolono mu odwiedzić mnie nazajutrz. Wpuszczono go bez trudności, jak za pierwszym razem. Wyglądał poważnie, tak że nie było człowieka, który by go nie wziął za jakąś szanowną osobistość.

Skoro posiadłem narzędzie mej wolności, prawie nie wątpiłem już o powodzeniu. Pomysł był oryginalny i śmiały; ale do czegóż nie byłem zdolny wobec ożywiających mnie pobudek? Od czasu jak mi było wolno wychodzić z pokoju i przechadzać się po krużgankach, zauważyłem, iż odźwierny odnosi co wieczór klucz superiorowi; po czym, w całym domu zalega głęboka cisza, świadcząca że wszyscy udali się na spoczynek. Mogłem, bez przeszkody, dostać się do celi przełożonego. Zamiarem moim było wydrzeć mu klucze, strasząc pistoletem w razie gdyby się wzdragał; następnie zaś posłużyć się nimi, aby się dostać na ulicę. Niecierpliwie oczekiwałem chwili. Odźwierny przyszedł o zwykłej porze, nieco po dziewiątej. Przeczekałem jeszcze godzinę, aby się upewnić że zakonnicy i służba śpią. Ruszyłem wreszcie, trzymając broń i świecę. Zapukałem do drzwi, zrazu łagodnie aby obudzić ojca bez hałasu. Usłyszał za drugim pukaniem; myśląc że to jakiś zakonnik zasłabł i potrzebuje pomocy,

wstał aby mi otworzyć. Był, mimo to, na tyle ostrożny, iż spytał przez drzwi kto to taki i czego żąda. Musiałem wymienić imię; przybrałem ton boleściwy, aby dać do poznania iż czuję się niedobrze. „Ach, to ty, drogi synu? rzekł otwierając; cóż cię sprowadza tak późno?“ Wszedłem, i, pociągnąwszy zakonnika w kąt celi, oświadczyłem, iż nie podobna mi zostać tu dłużej. „Noc (rzekłem) jest bardzo sposobną porą aby wyjść nie będąc widzianym; spodziewam się, ojcze, po twej życzliwości, że zgodzisz się otworzyć mi drzwi, albo użyczysz klucza abym je sam otworzył".

Zdumiał się wyraźnie. Stał chwilę nieruchomo, patrząc na mnie. Ponieważ nie miałem czasu do stracenia, dodałem zwięźle, iż jestem wzruszony dowodami jego dobroci, ale że swoboda jest najcenniejszym z dóbr, zwłaszcza dla mnie, któremu wydarto ją tak niesprawiedliwie. Postanowiłem tedy (ciągnąłem) odzyskać ją tej nocy, za wszelką cenę; z obawy zaś aby mu nie przyszła ochota wołać o pomoc, ukazałem dość przyzwoitą rację milczenia, którą miałem za pasem: „Pistolet! rzekł. Jak to! synu, chcesz mi odebrać życie, w zamian za względy które miałem dla ciebie! — Niech Bóg broni! odparłem. Przypuszczam iż ojciec ma zbyt wiele rozsądku, aby mnie zmuszać do tej ostateczności; ale chcę być wolny, i jestem gotów na wszystko. Jeśli zamiar chybi z twej winy, wybiła twoja ostatnia godzina. — Ależ, drogi synu, odparł blady, z wylękłą twarzą, co ja ci zrobiłem? jaką masz przyczynę pragnąć mojej śmierci? — Ech, nie! odparłem zniecierpliwiony. Nie mam zamiaru zabijać cię, ojcze: jeśli chcesz żyć, otwórz bramę, a zostaniemy najlepszymi przyjaciółmi". Spostrzegłem na stole klucze; wziąłem je, i poprosiłem superiora, aby się udał ze mną, zachowując się możliwie najciszej.

Trzeba mu było pogodzić się z losem. W miarę jak posuwaliśmy się naprzód, otwierał kolejno drzwi, powtarzając z westchnieniem: „Ach, synu, któż by się spodziewał? — Bez hałasów ojcze", powtarzałem. Wreszcie doszliśmy do silnych wrót, grodzących przystęp do bramy. Sądziłem, że nic już nie broni mi drogi do wolności; stałem tuż za superiorem, trzymając świecę w jednej ręce a pistolet w drugiej.

Gdy się siłował z zamkiem, służący, który sypiał w izdebce obok, słysząc hałas otwieranych wrzeciądzy, wstaje i wystawia głowę. Dobry ojciec mniemał snać, iż z tą pomocą zdoła mnie zatrzymać. Bardzo nieroztropnie zawołał na sługę o ratunek. Był to tęgi drab, który rzucił się na mnie bez wahania. Nie bawiłem się w ceremonie, wymierzyłem strzał w samą pierś. „Oto, czego jesteś przyczyną, ojcze, rzekłem dość hardo. Ale niech ci to nie przeszkadza kończyć swą robotę", dodałem, popychając go ku bramie. Nie śmiał odmówić. Wyszedłem szczęśliwie; o cztery kroki, znalazłem Lescauta, który, wedle obietnicy, czekał na mnie z przyjaciółmi.

Oddaliliśmy się śpiesznie. Lescaut pytał, czy mu się dobrze zdawało, iż słyszał wystrzał z pistoletu. „To twoja wina, odparłem, po cóż przyniosłeś nabity!" Mimo to, podziękowałem mu za tę ostrożność, bez której znalazłbym się niewątpliwie na długo za kratą. Poszliśmy spędzić noc w oberży, gdzie pokrzepiłem się nieco, po lichej strawie na której trzymano mnie od trzech miesięcy. Nie mogłem wszakże oddać się swobodnie radości: cierpiałem okrutnie na myśl o Manon. „Trzeba ją uwolnić, powtarzałem. Pragnąłem wolności jedynie w tym celu. Liczę na waszą przemyślność; co do mnie, gotów jestem postawić na kartę bodaj życie".

Lescaut, któremu nie zbywało na rozsądku i sprycie, zwrócił uwagę iż trzeba postępować bardzo ostrożnie. Ucieczka moja i nieszczęście jakie zdarzyło mi się przy wyjściu narobią niezawodnie hałasu; naczelnik policji każe mnie szukać, a ma on długie ręce. Słowem, jeśli nie chcę być narażony na coś gorszego niż pobyt u św. Łazarza, byłoby wskazane przycupnąć na kilka dni, aby pozwolić ostygnąć pierwszym ogniom. Rada była roztropna, ale trzeba było być równie roztropnym aby jej posłuchać. Tyle zwlekań i względów nie godziło się z mą namiętnością. Cała moja ustępliwość ograniczała się do przyrzeczenia, iż spędzę następny dzień w ukryciu. Lescaut zamknął mnie w swoim pokoju, gdzie zostałem do wieczora.

Czas ten obróciłem na projekty oswobodzenia Manon. Byłem przekonany, że jej więzienie musi być jeszcze niedostępniejsze niż moje. Nie było mowy o sile i gwałcie, trzeba tu było sztuki; ale sama bogini przemyślności nie wiedziałaby, jak się wziąć do dzieła. Sprawa przedstawiała się tak ciemno, iż odłożyłem plany do czasu kiedy zdobędę jakieś wiadomości co do urządzenia Szpitala.

Skoro tylko noc wróciła mi wolność, poprosiłem Lescauta aby mi towarzyszył. Nawiązaliśmy rozmowę z jednym z odźwiernych, który zdawał się człowiekiem do rzeczy. Udałem, że jestem cudzoziemcem, który słyszał wiele cudów o Szpitalu i o porządku jaki tam panuje. Wypytywałem o najdrobniejsze szczegóły. Od słowa do słowa, zeszliśmy na osoby dyrektorów; wywiadywałem się skwapliwie o ich nazwiska i charakter. Odpowiedzi, jakich mi udzielił, obudziły we mnie myśl, którą uznałem za nader szczęśliwą i którą postanowiłem co rychlej wprowadzić w czyn. Spytałem odźwiernego (rzecz była zasadnicza dla mych zamiarów), czy ci panowie mają

dzieci. Odpowiedział, że nie może mi udzielić ścisłych wiadomości; jedynie co się tyczy pana de T***, jednego z głównych dyrektorów, wie iż ma dorosłego syna, który często zachodzi tu z ojcem. To mi wystarczyło.

Zakończyłem rozmowę i wróciwszy do domu zwierzyłem się Lescautowi z powziętego zamiaru. „Wyobrażam sobie, rzekłem, iż młody de T***, chłopiec bogaty i z dobrej rodziny, musi być skłonny do uciech, jak większość ludzi w jego wieku. Nie może być wrogiem kobiet, ani też tak nieużyty aby odmówić usług w przygodzie miłosnej. Powziąłem plan: spróbuję zapewnić sobie jego pomoc w oswobodzeniu Manon. Jeśli jest człowiekiem serca i honoru, udzieli nam jej przez prostą wspaniałomyślność. Jeśli nie jest zdolny kierować się tą pobudką i tak może coś uczyni dla dziewczyny pełnej powabów, chociażby tylko w nadziei zyskania udziału w jej względach. Nie będę odkładał widzenia się z nim, dodałem, dłużej niż do jutra. Zamiar ten napełnił me serce taką otuchą, że uważam to za dobrą wróżbę".

Sam Lescaut musiał się zgodzić, że pomysł ma widoki powodzenia i że można spodziewać się czegoś na tej drodze. Spędziłem noc raźniej.

Rankiem, ubrałem się przyzwoicie, o ile pozwalała na to moja obecna nędza, i kazałem się zawieźć do pana de T***. Zdziwiony był wizytą nieznajomego człowieka. Otwarta i uprzejma jego fizjognomia natchnęła mnie nadzieją. Wyłożyłem rzecz po prostu; pragnąc rozgrzać jego uczucia, przedstawiłem siłę mej miłości oraz przymioty ubóstwianej jako dwie rzeczy, z których jedną porównać można jedynie z drugą. Odparł, iż, mimo że nigdy nie widział Manon, słyszał wiele o niej, przynajmniej o ile chodzi o osobę która była kochanką starego G*** M***. Nie wątpiłem, że pan de T*** świadom jest mego

udziału w tej przygodzie; pragnąc tedy pozyskać go otwartością, opowiedziałem szczegółowo losy Manon i moje. „Widzi pan, ciągnąłem, iż sprawa mego życia i serca jest w pańskich rękach: obie są mi jednako drogie. Nie zachowuję wobec pana żadnych ostrożności, znana mi jest jego szlachetność; zgodność zaś naszego wieku budzi we mnie nadzieję, że może się odnaleźć jakieś powinowactwo i w naszych charakterach".

Zacnego młodzieńca wyraźnie ujęła ta szczerość. Odpowiedź jego była odpowiedzią człowieka, w którym doświadczenie nie zmroziło jeszcze porywów serca. Rzekł, iż odwiedziny moje kładzie pomiędzy szczęśliwe chwile swego życia. Przyjaźń moją będzie uważał za jeden z najcenniejszych nabytków i będzie się starał zasłużyć na nią gorliwością swych usług. Nie przyrzeka oddać mi Manon, ponieważ, jak powiadał, wpływy jego są ograniczone i słabe; na razie ofiaruje się dostarczyć mi szczęścia widzenia jej i uczyni co w jego mocy, aby ją oddać z powrotem w moje ramiona. Oględna ta odpowiedź ucieszyła mnie bardziej niżby to mogły uczynić lekkomyślne obietnice. W umiarkowaniu przyrzeczeń widziałem znak szczerości; słowem, pokładałem w jego chęciach najlepsze nadzieje. Już to że będę mógł zobaczyć Manon, wystarczyłoby, abym wszystko uczynił dla mego dobroczyńcy. Objawiłem panu de T*** te uczucia w sposób, który przekonał go że przychylność jego nie trafiła na niewdzięcznika. Uściskaliśmy się serdecznie i staliśmy się przyjaciółmi, bez innej pobudki prócz dobroci naszych serc i owej prostej skłonności, która czułemu i szlachetnemu człowiekowi każe pokochać podobnego sobie.

Młody de T*** posunął o wiele dalej swoje względy: rozważywszy moje przygody i osądziwszy, iż człowiek, który świeżo opuścił św. Łazarza, nie musi opływać

w dostatki, ofiarował mi swą sakiewkę. Nie przyjąłem; rzekłem po prostu: „To nadto, drogi panie. Jeśli, dzięki pańskiej dobroci i przyjaźni, będę mógł ujrzeć drogą Manon, jestem panu oddany na całe życie. Jeśli wrócisz mi zupełnie tę lubą istotę, wówczas, nawet gdyby mi przyszło wylać wszystką krew w pańskich usługach, nie przestanę czuć się twoim dłużnikiem".

Rozstaliśmy się, ułożywszy czas i miejsce spotkania. Pan de T*** był na tyle uprzejmy, że wyznaczył jego porę na popołudnie tegoż dnia.

Oczekiwałem go w kawiarni, gdzie wstąpił po mnie koło czwartej; skierowaliśmy się w stronę Szpitala. Kolana drżały pode mną, kiedym przechodził przez dziedzińce. „Potęgo miłości! mówiłem, ujrzę zatem bóstwo mego serca, przedmiot tylu łez i niepokojów! Nieba! Zachowajcie mi dość życia, bym mógł jeszcze ją ujrzeć i rozporządzajcie potem moim losem; nie żądam już od was innej łaski".

Pan de T*** pomówił z odźwiernymi, którzy, we wszystkim co od nich zależało, skwapliwie ofiarowali swe usługi. Kazał sobie pokazać skrzydło w którym mieścił się pokój Manon. Zaprowadzono nas; olbrzymi klucz otworzył niebawem ciężkie drzwi. Spytałem służącego, który nas prowadził i któremu właśnie powierzono jej obsługę, jak Manon spędza czas. Powiedział iż z anielską słodyczą: nigdy nie usłyszał od niej szorstkiego słowa; przez pierwsze tygodnie lała nieustannie łzy; ale, od jakiegoś czasu, przyjmuje swoje nieszczęście z większą rezygnacją. Od rana do wieczora wypełnia sobie czas szyciem, z wyjątkiem kilku godzin które poświęca lekturze. Spytałem, czy otrzymała bodaj przyzwoite utrzymanie. Odpowiedział, iż przynajmniej na tym co niezbędne nigdy jej nie zbywa.



Zbliżaliśmy się do drzwi. Serce moje biło gwałtownie. Rzekłem do pana de T***. „Proszę, wejdź pan sam i uprzedź ją o mym przybyciu; lękam się, aby się nie wzruszyła nadto, ujrzawszy mnie nagle". Otworzono drzwi; zostałem w krużganku, słyszałem wszakże rozmowę. Pan de T*** rzekł, że pragnie przynieść jej nieco pociechy, że jest moim przyjacielem i bierze udział w trosce o nasze szczęście. Spytała żywo, czy może się dowiedzieć, co się ze mną stało. Oświadczył, iż jest w jego mocy przyprowadzić mnie do jej stóp, tak czułym i wiernym, jak tego mogłaby pragnąć. „Kiedy? spytała. — Dziś jeszcze, rzekł; ten błogosławiony moment nastąpi niebawem: kawaler stanie przed panią, jeśli zażądasz". Zrozumiała, że jestem tuż. Wszedłem gdy biegła ku drzwiom. Uścisnęliśmy się z wybuchem czuło-

ści, któremu trzymiesięczna rozłąka daje tyle uroku w oczach kochanków. Nasze westchnienia, okrzyki, tysiąc najtkliwszych imion powtarzanych raz po razu, tworzyły przez kwadrans scenę, na którą pan de T*** patrzał z rozczuleniem. „Zazdroszczę panu, rzekł sadzając nas; nie ma zaszczytów losu których bym nie oddał za tak piękną i wierną kochankę. — Toteż wzgardziłbym królestwami świata, odparłem, aby zyskać trwałe szczęście w jej ramionach".

Dalszy ciąg tak upragnionej rozmowy przybrał, jak można pojąć, ton bezgranicznej czułości. Biedna Manon opowiedziała swoje przygody, ja udzieliłem jej moich. Płakaliśmy gorzko, rozmawiając o losie jaki dotąd był jej udziałem, i o tym z którego ja ledwie zdołałem się wyzwolić. Pan de T*** pocieszył nas nowymi obietnicami. Radził, abyśmy nie przeciągali zbytnio pierwszego widzenia, a to ze względu na przyszłość. Wiele kosztowało go trudu, nim uznaliśmy słuszność tej rady. Manon zwłaszcza nie mogła się pogodzić z tym, że trzeba mi odejść. Sto razy sadzała mnie z powrotem; czepiała się moich rąk i odzieży. „Ach, w jakimż strasznym miejscu mnie zostawisz, mówiła. Kto zaręczy, czy ujrzę cię jeszcze!" Pan de T*** przyrzekł, iż często będzie zachodził tu ze mną. „Co do miejsca, dodał dwornie, nie trzeba go już nazywać *Szpitalem;* zmienił się w Wersal, odkąd osoba, godna królować we wszystkich sercach, bawi w jego murach".

Wychodząc, obdarowałem jak mogłem posługacza, aby go zachęcić. Chłopak ten miał duszę mniej podłą i twardą niż jemu podobni. Był świadkiem naszego przywitania, wzruszyło go. Dukat, którego mu dałem, zjednał go do reszty. Kiedy schodziliśmy w dziedziniec, wziął mnie na ubocze. „Panie, rzekł, jeśli pan zechce wziąć

mnie go służby, lub dać mi uczciwą sumkę aby wynagrodzić stratę miejsca, sądzę, iż nietrudno mi będzie uwolnić pannę Manon".

Chwyciłem się tej propozycji; mimo że pozbawiony środków, dałem obietnice o wiele przewyższające jego pragnienia. Liczyłem na to, iż zawsze będzie mi łatwo nagrodzić człowieka tego stanu. „Bądź przekonany, rzekłem, że nie ma rzeczy której bym dla ciebie nie uczynił; uważaj swój los za równie zapewniony jak mój własny". Chciałem wiedzieć, jakich środków ma zamiar użyć. „Nic nadzwyczajnego, odparł: po prostu otworzę wieczór drzwi i odprowadzę panienkę do bramy, gdzie musi ktoś czekać na jej przyjęcie". Spytałem, czy nie ma obawy aby ją poznano w drodze przez krużganki i dziedzińce. Przyznał, iż jest pewne niebezpieczeństwo; ale, dodał, trzeba coś postawić na kartę.

Mimo iż zachwycony jego determinacją, przywołałem pana de T***, aby mu przedstawić projekt i rozważyć jedyną rację która mogłaby go uczynić wątpliwym. Patrzył mniej różowo. Przyznał, że ucieczka tą drogą jest bezwarunkowo możebna. „Ale, jeśli ją poznają, ciągnął dalej, jeśli ją przytrzymają na chęci ucieczki, wówczas może być już stracona na zawsze. Przy tym, trzeba by natychmiast opuścić Paryż; żadna kryjówka nie będzie wam dość bezpieczna. Sam jeden, człowiek łatwo zdoła się wymknąć; ale niepodobieństwem jest nie zwrócić na siebie uwagi w towarzystwie ładnej kobiety".

Mimo słuszności tego rozumowania, nie mogło ono przeważyć tak bliskiej nadziei uwolnienia Manon. Oświadczyłem to panu de T***, prosząc aby wybaczył miłości nieco nierozwagi. Dodałem, iż zamiarem moim jest w istocie opuścić Paryż i osiedlić się, jak już raz uczyniłem, w sąsiedniej wiosce. Ułożyliśmy się tedy ze

służącym, że nie będziemy odkładać przedsięwzięcia dłużej niż do następnego dnia; aby je zaś uczynić możliwie pewnym, postanowiliśmy przynieść dla Manon męskie ubranie. Nie było łatwo przemycić je do Szpitala, ale nie zbywało mi na pomysłach. Prosiłem jedynie pana de T***, aby włożył nazajutrz dwa lekkie kaftany, jeden na drugi, ja zaś podjąłem się reszty.

Wróciliśmy do Szpitala rano. Miałem z sobą bieliznę, pończochy itd., na zwykłym zaś surducie płaszcz, który osłaniał zbyt wzdęte kieszenie. Bawiliśmy w pokoju Manon jedynie chwilę. Pan de T*** zostawił kaftan. Ja dałem surdut; płaszcz wystarczał mi do wyjścia z powrotem. Niczego nie brakowało do męskiego przebrania, z wyjątkiem spodni, których, na nieszczęście, zapomniałem.

Przeoczenie tej ważnej części garderoby byłoby nas z pewnością ubawiło, gdyby kłopot jaki stąd wynikł był mniej poważny. Byłem w rozpaczy, że drobiazg ten może wszystko powstrzymać. Powziąłem wszakże decyzję: postanowiłem wyjść bez spodni, moje zaś zostawiłem Manon. Płaszcz miałem dość długi, jakoż, za pomocą kilku szpilek, doprowadziłem garderobę do stanu w którym mogłem wydostać się za bramę.

Reszta dnia wydała mi się nieprawdopodobnie długa. Wreszcie, gdy noc zapadła, zajechaliśmy w karecie i przystanęliśmy opodal bram Szpitala. Niedługo czekaliśmy na zjawienie się Manon z przewodnikiem. Drzwiczki karety były otwarte, w jednej chwili tedy dostali się do wnętrza. Przyjąłem drogą kochankę w ramiona. Drżała jak listek. Woźnica spytał, dokąd ma jechać: „Jedź na kraj świata, rzekłem, i zawieź mnie tam, gdziebym nigdy nie potrzebował rozłączać się z Manon".

Wybuch ten, nad którym nie umiałem zapanować, omal nie sprowadził kłopotu. Woźnica rozważył sobie mój wykrzyknik i, skoro wymieniłem następnie ulicę, na którą kazałem się zawieźć, odparł iż lęka się abym go nie wplątał w jaką kabałę; widzi dobrze (powiadał), że ten młody człowiek, zwany przeze mnie Manon, to dziewczyna którą wykradam ze Szpitala; otóż, co do niego, nie ma ochoty narażać dla mnie karku.

Drażliwość hultaja płynęła jedynie z chciwości. Byliśmy zbyt blisko Szpitala, abym mógł stawić się ostro. „Cicho siedź, rzekłem, a zarobisz całego ludwika". Po tej obietnicy, byłby mi pomógł bodaj do podpalenia Szpitala.

Dobiliśmy do domu, gdzie mieszkał Lescaut. Ponieważ było późno, pan de T*** pożegnał nas w drodze, z obietnicą odwiedzenia nas jutro; jedynie służący został z nami.

Tuliłem Manon w ramionach tak, że zajmowaliśmy w powozie tylko jedno miejsce. Płakała z radości; czułem jej łzy, spływające mi po twarzy.

Skoro trzeba było wysiąść aby zapukać do mieszkania brata, wszedłem z woźnicą w nowy zatarg, którego skutki były dość opłakane. Żałowałem że mu przyrzekłem dukata, nie tylko dlatego, że cena ta była o wiele za wysoka, ale dla innej ważniejszej przyczyny, mianowicie niemożności wywiązania się z obietnicy. Kazałem zawołać Lescauta. Wychylił się z bramy. Szepnąłem mu w jakim kłopocie się znajduję. Ponieważ był to człowiek gwałtowny, nieskłonny bawić się w ceremonie z dorożkarzami, odparł żem chyba oszalał: „Ludwika! dodał, dwadzieścia kijów temu hultajowi!" Próżno przedstawiałem mu że może nas zgubić; wyrwał mi laskę, ruchem zdradzającym chęć wygarbowania skóry woźnicy. Ten, któremu zdarzyło się może niekiedy wpaść w ręce gwar-

dzisty lub muszkietera, uciekł z pojazdem, wołając iż oszukałem go, ale że jeszcze o nim usłyszę. Próżno starałem się go zatrzymać.

Ucieczka draba przejęła mnie niepokojem. Nie wątpiłem, że uprzedzi komisarza. „Gubisz mnie, rzekłem do Lescauta; nie będę bezpieczny tutaj, trzeba się nam najrychlej oddalić". Podałem rękę Manon, i opuściliśmy żywo podejrzaną ulicę. Lescaut towarzyszył nam.

Kawaler des Grieux opowiadał przeszło godzinę bez przerwy; skłoniłem go aby nieco wytchnął, dotrzymując nam towarzystwa przy wieczerzy. Z naszej wytężonej uwagi mógł osądzić, że słuchamy z przyjemnością. Upewnił, iż dalsza część zajmie nas jeszcze bardziej; jakoż skorośmy skończyli wieczerzę, ciągnął w te słowa:

C Z Ę Ś Ć D R U G A

Cudowne jest zaiste, jak Opatrzność wiąże z sobą wypadki. Ledwieśmy uszli kilkaset kroków, człowiek jakiś, którego twarzy nie widziałem, poznał Lescauta. Szukał go zapewne w pobliżu domu, w nieszczęsnym zamiarze który też wykonał. „To Lescaut, rzekł, paląc doń z pistoletu; pójdzie tej nocy wieczerzać z aniołami". Natychmiast potem umknął. Lescaut padł, nie dając śladu życia. Przynagliłem Manon do ucieczki; pomoc jej byłaby bezużyteczna trupowi, lękałem się zaś, abyśmy nie wpadli w ręce rontu, który mógł się zjawić lada chwila. Pomknąłem, wraz z nią i służącym, w przecznicę. Manon była tak wzruszona, że ledwie zdołałem ją podtrzymać. Wreszcie, spostrzegłem dorożkę na rogu. Wsiedliśmy. Ale, kiedy woźnica spytał dokąd ma nas zawieźć, znalazłem się w kłopocie. Nie miałem żadnego bezpiecznego schronienia, ani też zaufanego przyjaciela do którego ośmieliłbym się uciec. Byłem bez pieniędzy, miałem ledwie pół pistola w sakiewce. Przestrach i znużenie wyczerpały Manon do tego stopnia, iż wlokła się na wpół zemdlona. Wyobraźnię moją przepełniał smutny los Lescauta; wreszcie, nie byłem jeszcze wolny od obaw przed rontem. Co postanowić? Przypomniałem sobie szczęśliwie oberżę w Chaillot, gdzie spędziłem niegdyś kilka dni z Manon, nim znaleźliśmy stałe mieszkanie.



Spodziewałem się nie tylko iż znajdę tam bezpieczne schronienie, ale także iż będziemy mogli przebyć jakiś czas, nie nagleni o natychmiastową zapłatę. „Do Chaillot", rzekłem woźnicy. Ze względu na spóźnioną porę, nie chciał się zgodzić na mniej niż na pistola; nowy kłopot. Wreszcie, ułożyliśmy się na sześć franków: to było wszystko co mi zostało.

Pocieszałem w drodze Manon, ale w gruncie czułem rozpacz w sercu. Byłbym sobie zadał tysiąc razy śmierć, gdybym nie trzymał w ramionach jedynego dobra, które mnie wiązało do życia. Ta jedna myśl cuciła mnie. „Mam ją przynajmniej, mówiłem: kocha mnie, jest moją: darmo gada Tybercy, to nie jest majak. Mógłbym patrzeć na zagładę świata, nie troszcząc się o to; czemu? Bo w niej wyczerpałem cały zasób czucia".

To była prawda: w chwili wszakże gdy wyrażałem taką obojętność dla dóbr tego świata, czułem że potrzebowałbym posiadać ich bodaj cząstkę, aby tym skuteczniej gardzić resztą. Miłość silniejsza jest niż dostatek, silniejsza niż skarby i bogactwa, ale potrzebuje ich pomocy; nic rozpaczliwszego dla kochanka, jak gdy czuje się, wbrew woli, sprowadzony tą drogą do uczuć najpodlejszego gminu.

Była jedenasta, kiedyśmy przybyli do Chaillot. Przyjęto nas jak dobrych znajomych. Nie dziwiono się widząc Manon w męskim stroju; w Paryżu i jego okolicach ludzie przywykli do tego, iż kobiety biorą rozmaite postacie. Kazałem ją obsłużyć tak, jak gdybym był w najlepszym położeniu. Manon nie wiedziała, że jestem bez grosza. Strzegłem się wspomnieć o tym, zdecydowany wrócić nazajutrz do Paryża, aby szukać lekarstwa na tę przykrą chorobę

Kiedy siadłem do wieczerzy naprzeciw kochanki, zdała mi się blada i wychudła. Nie spostrzegłem tego w Szpitalu, pokój bowiem gdzieśmy się widzieli był dość ciemny. Spytałem, czy to nie są jeszcze następstwa przestrachu, jakiego doznała patrząc na śmierć brata. Upewniła mnie, iż, mimo wrażenia jakie na niej uczynił ten wypadek, bladość jej ma źródło w naszej trzechmiesięcznej rozłące. „Kochasz mnie tedy bardzo? rzekłem. — Tysiąc razy więcej, niż mogę wyrazić, odparła. — I nie opuścisz mnie nigdy? — Nie, nigdy", rzekła. Zapewnienie to znalazło porękę w tylu pieszczotach i zaklęciach, iż wydało się w istocie niemożliwe aby mogła o nich zapomnieć. Miałem zawsze to przekonanie, że Manon jest szczera; jakiż miałaby powód grać komedię? Ale jeszcze bardziej była lekka, lub raczej nie była niczym i nie poznawała sama siebie, kiedy, widząc kobiety otoczone dostatkiem, sama znajdowała się w potrzebie. W najbliższym czasie czekał mnie ostatni tego dowód, który przewyższył wszystkie inne i pociągnął za sobą przygodę najosobliwszą, jaka kiedykolwiek zdarzyła się człowiekowi mego stanu.

Ponieważ znałem to usposobienie Manon, pośpieszyłem nazajutrz do Paryża. Śmierć brata i konieczność postarania się o bieliznę i odzież stanowiły tak wymowną rację, że nie potrzebowałem uciekać się do pozorów. Wyszedłem w zamiarze — jak powiedziałem Manon i gospodarzowi — szukania koni; ale była to fanfaronada, wobec tego iż konieczność zmuszała mnie do podróżowania pieszo. Szedłem szybko aż do *Cours-la-Reine*, gdzie miałem się zatrzymać. Trzeba mi było chwili samotności i spokoju, dla opatrzenia się i zastanowienia nad krokami jakie mi należało przedsięwziąć w Paryżu.

Siadłem na trawniku. Zanurzyłem się w morzu refleksyj, które skupiły się w trzy punkty. Trzeba mi było rychłej pomocy wobec mnogości potrzeb; dalej trzeba mi było szukać jakiejś drogi na przyszłość; wreszcie — rzecz nie najmniejszej wagi — musiałem zasięgnąć informacyj i poczynić kroki dla bezpieczeństwa Manon i mego. Wyczerpawszy mnóstwo kombinacyj co do tych trzech punktów, uznałem za właściwe obciąć dwa ostatnie. Pokoik w Chaillot stanowił na razie niezgorsze schronienie; co zaś do przyszłych potrzeb, osądziłem iż będzie czas myśleć o nich, skoro uczynię zadość obecnym.

Chodziło na razie o to, aby zasilić próżną sakiewkę. Pan de T*** ofiarował niegdyś wspaniałomyślnie swą pomoc; ale osobliwie przykra była mi myśl abym sam miał przypominać mu jego ofiarę. Cóż za rola, przedstawiać obcemu człowiekowi swą nędzę i prosić o wsparcie! Jedynie nikczemna dusza zdolna jest do tego, a to przez brak ambicji; albo pokorny chrześcijanin, przez nadmiar szlachetności, która czyni go wyższym nad uczucie wstydu. Nie byłem ani jednym ani drugim: dałbym połowę krwi, aby tego uniknąć.

Tybercy, mówiłem sobie, dobry Tybercy, czyż odmówi mi tego co będzie w jego mocy? Nie, wzruszy się mą niedolą, ale zamorduje morałami. Trzeba będzie znieść wymówki, napomnienia, groźby; każe mi kupić swą pomoc tak drogo, iż znowuż wolałbym upuścić sobie krwi, niż narażać się na przykrą scenę, która mnie przyprawi o zgryzotę i wyrzuty. Ba! ciągnąłem, trzeba tedy wyrzec się nadziei, skoro nie zostaje mi żadna inna droga, te obie zaś są tak przykre, iż chętniej utoczyłbym połowę krwi, niżbym obrał jedną z nich, to znaczy wszystką krew raczej niżbym miał obrać obie. Tak, wszystką krew,

dodałem po chwili zastanowienia; tak, raczej to, niż zniżyć się do próśb i upokorzeń.

Ale dużo tu przyjdzie z mojej krwi! Chodzi o ratowanie Manon, chodzi o jej miłość i wiarę. Cóż mogę położyć na szalę wobec tej ceny? Dotąd nic; ona zastępuje mi miejsce sławy, szczęścia i fortuny. Jest wiele rzeczy, niewątpliwie, za których uzyskanie lub uniknięcie oddałbym chętnie życie; ale to iż cenię coś wyżej niż życie, to nie racja aby to cenić tyle co Manon. Determinacja stała się tedy rychłym owocem tej myśli. Puściłem się w drogę, postanawiając najpierw iść do Tybercego, a potem do pana de T***.

U bram Paryża wziąłem dorożkę, mimo że nie miałem czym zapłacić; liczyłem na pomoc po którą śpieszyłem. Kazałem się zawieźć do Luxemburgu, skąd posłałem do Tybercego z wiadomością, że go oczekuję. Szybkość z jaką przybył stała się balsamem dla mej niecierpliwości. Odsłoniłem bez ogródek ostateczność w jakiej się znalazłem. Spytał, czy sto pistolów, które mu swego czasu zwróciłem, wystarczą; po czym, bez słowa wyrzutu, poszedł wystarać się o nie w tejże chwili, z tą szczerą twarzą i z tą przyjemnością oddania przysługi, jaką zna tylko miłość i prawdziwa przyjaźń.

Mimo że nie wątpiłem o skutku mej prośby, zdziwiony byłem iż osiągnąłem go tak tanio, to znaczy bez połajanki za mą zatwardziałość. Ale myliłem się, sądząc iż uniknę wymówek Tybercego; skoro odliczył pieniądze, ja zaś gotowałem się go pożegnać, poprosił abym się z nim przeszedł nieco. Nie wspomniałem o Manon; nie wiedział że jest wolna: toteż morały jego miały za przedmiot jedynie lekkomyślną ucieczkę od św. Łazarza, oraz przyjacielską obawę, iż, miast skorzystać z lekcji rozsądku i cnoty, gotów jestem wrócić na drogę szaleństwa.

Objaśnił mnie, iż, zaszedłszy do św. Łazarza nazajutrz po mej ucieczce, przeraził się wiadomością, w jaki sposób się wydostałem. Widział się z przełożonym; zacny ojciec nie przyszedł jeszcze do siebie po nocnym przestrachu; okazał, mimo to, tę wspaniałomyślność, iż ukrył przed policją szczegóły mej ucieczki, jak również postarał się aby wiadomość o śmierci odźwiernego nie przedostała się na zewnątrz; nie mam przeto powodu (mówił Tybercy) niczego się obawiać z tej strony; ale, jeśli zachowałem ślad rozsądku, skorzystam z tego szczęśliwego obrotu aby napisać do ojca i pojednać się z nim. Wreszcie, o ile zechcę posłuchać jego rady, byłby zdania abym stanowczo opuścił Paryż i wrócił na łono rodziny.

Wysłuchałem Tybercego do końca. Było w tym dla mnie wiele pociechy. Przede wszystkim, byłem uszczęśliwiony, że nie mam się czego obawiać ze strony św. Łazarza; ulice Paryża stały się dla mnie wolną krainą. Po wtóre, cieszyłem się w duchu, że Tybercy nic nie wie o ucieczce Manon i o naszym połączeniu. Zauważyłem nawet, że unika w rozmowie wzmianki o niej, sądząc zapewne iż stała mi się obojętna, skoro zdawałem się tak spokojny na tym punkcie. Postanowiłem, jeśli nie pośpieszyć do rodziny, to przynajmniej napisać, jak radzi, do ojca i oznajmić, że jestem skłonny wrócić w karby obowiązków i ojcowskiej woli. Żywiłem nadzieję, iż w ten sposób skłonię go do przesłania mi pieniędzy, pod pozorem studiów w Akademii; trudno by mi bowiem złudzić kogo, iż noszę się z zamiarem powrotu do stanu duchownego. W gruncie nie miałem odrazy do tego com przyrzekł ojcu; przeciwnie, rad byłbym wziąć się do uczciwej pracy, o ile bym mógł ten zamiar pogodzić ze swą miłością. Liczyłem że będę mógł żyć z ukochaną,

a równocześnie prowadzić studia. Obie te rzeczy doskonale można było połączyć.

Niezmiernie rad z całego obrotu, przyrzekłem Tybercemu, że jeszcze tego dnia wyprawię list do ojca. W istocie, rozszedłszy się z nim, wstąpiłem na pocztę i napisałem w sposób tak czuły i uległy, iż, odczytując list, pochlebiałem sobie że zdołam trafić do ojcowskiego serca.

Mimo, iż rozstawszy się z Tybercym, mogłem się zdobyć na dorożkę, zrobiłem sobie tę przyjemność aby iść dumnie pieszo do pana de T***. Uciechę sprawiało mi napawać się wolnością, wobec zapewnień przyjaciela że nie mam przyczyny do obaw. Rychło jednak przyszło mi na myśl, że to się tyczy jedynie św. Łazarza, poza tym wisiała nade mną sprawa Szpitala, nie licząc śmierci Lescauta, w którą też byłem zamieszany, co najmniej jako świadek. Przypomnienie to przestraszyło mnie tak żywo, że schroniłem się w najbliższą aleję, skąd zawołałem dorożkę. Udałem się prosto do pana de T***, którego rozśmieszyłem swoim przerażeniem. Wydało się ono śmieszne i mnie, skoro mi zaręczył że nie mam się czego obawiać z powodu Szpitala, ani też z przyczyny Lescauta. Powiedział mi, iż, pragnąc uprzedzić podejrzenia co do udziału w ucieczce Manon, udał się rano do Szpitala i zażądał widzenia się z nią, udając nieświadomość tego co się stało. Tak dalece nikomu nie przychodziło do głowy oskarżać nas, bądź jego bądź mnie, iż, przeciwnie, odźwierni opowiedzieli mu skwapliwie całą przygodę, przy czym dziwili się, iż dziewczyna tak ładna jak Manon zgodziła się uciec z lokajem. Pan de T*** zadowolił się chłodną odpowiedzią, że wcale go to nie dziwi i że wiele się czyni dla uzyskania wolności.

Opowiedział dalej, że stamtąd udał się do Lescauta, w nadziei, iż mnie zastanie z uroczą kochanką. Gospodarz domu, powroźnik, zapewnił że nie widział ani jej ani mnie; ale, dodał, nie ma w tym nic dziwnego: musieliśmy się widocznie dowiedzieć o morderstwie. Naglony pytaniami, nie wzdragał się udzielić własnych zapatrywań na przyczyny i okoliczności śmierci. Na dwie godziny wprzód, pewien gwardzista, z przyjaciół Lescauta, zaszedł doń i zaproponował partyjkę. Lescaut wygrywał tak gwałtownie, iż w godzinę partner postradał blisko sto talarów, to znaczy wszystko co miał. Nieszczęśliwy, bez grosza, prosił Lescauta aby mu pożyczył połowę przegranej; przyszło do cierpkich wyjaśnień, następnie do kłótni. Lescaut odrzucił wyzwanie kompana, tamten zaś, wychodząc, przysiągł że mu strzeli w łeb; co też wykonał jeszcze tego wieczora. Pan de T*** objawił żywą troskę o nasze losy i w dalszym ciągu ofiarował swoje usługi. Nie wahałem się zdradzić mu miejsca naszego schronienia. Zaprosił się do nas na wieczerzę.

Ponieważ pozostało mi jedynie postarać się o bieliznę i odzież dla Manon, rzekłem, że możemy jechać choćby zaraz, jeśli będzie na tyle uprzejmy, aby wstąpić ze mną do magazynów. Nie wiem czy ujrzał w tej propozycji zamiar pobudzenia jego hojności, czy też był to odruch szlachetnej duszy; dość, iż, zgodziwszy się jechać natychmiast, zaprowadził mnie do kilku swoich dostawców; kazał mi wybrać materie, znacznie kosztowniejsze niż zamierzałem, kiedy zaś chciałem płacić, zabronił kupcom przyjąć bodaj szeląga. Uprzejmość tę umiał zaprawić takim wdziękiem, iż zdało mi się że mogę skorzystać z niej bez wstydu. Puściliśmy się do Chaillot, dokąd przybyłem znacznie spokojnieszy niż kiedym opuszczał dom rano.

Obecność moja i grzeczności pana de T*** rozprószyły resztkę smutku Manon. „Zapomnijmy o minionych

niedolach, ukochana moja, rzekłem, i zacznijmy żyć szczęśliwsi niż kiedykolwiek. Ostatecznie, miłość jest dobrym panem; los nie potrafiłby nam sprawić tyle przykrości ile ona daje kosztować rozkoszy". Wieczerza była istną ucztą weselną.

Byłem bardziej dumny i zadowolony z Manon i z moich stu pistolów, niż najbogatszy finansista Paryża z nagromadzonych skarbów. Trzeba obliczać bogactwo wedle możności zaspokajania pragnień. Ja miałem tylko jedno. Przyszłość nawet nie kłopotała mnie zbytnio. Byłem prawie pewny, że ojciec nie będzie czynił trudności i dostarczy mi środków na to, abym mógł żyć przyzwoicie w Paryżu; zresztą, kończąc właśnie dwudziesty rok, miałem prawo do schedy po matce. Nie ukrywałem przed Manon, że cały mój dobytek składa się ze stu pistolów. Było to dosyć aby czekać spokojnie lepszej doli, która, sądziłem, nie może mnie minąć, bądź mocą mych praw naturalnych, bądź też z pomocą gry.

Tak więc, przez pierwsze tygodnie, cieszyłem się bez troski szczęściem. Skrupuły honoru, jak również resztka obawy przed policją, sprawiły, że z dnia na dzień odkładałem nawiązanie stosunków ze wspólnikami *Pałacu transylwańskiego.* Ograniczyłem się do grywania w mniej osławionych kółkach, gdzie życzliwość losu oszczędziła mi hańby uciekania się do swych talentów. Spędzałem w mieście popołudnie i wracałem na wieczerzę do Chaillot, często w towarzystwie pana de T***, którego przyjaźń wzrastała z każdym dniem.

Manon znalazła sposoby przeciw nudom. Nawiązała stosunki z paroma młodymi kobietami, które wiosna ściągnęła na wieś. Przechadzka i właściwe ich płci zatrudnienia wypełniały dzień. Partyjka, której granice ściśle określiły między sobą, dostarczała funduszów na ko-



szta pojazdu. Jeździły odetchnąć powietrzem do lasku, i wieczór, za powrotem, zastawałem Manon ładniejszą, bardziej zadowoloną i tkliwszą niż kiedykolwiek.

Pojawiły się wszakże drobne chmurki, które zdawały się grozić budowli mego szczęścia; ale rozprószyły się

niebawem, pustota zaś i wesołość Manon uczyniły epilog tej przygody tak zabawnym, że dziś jeszcze znajduję słodycz we wspomnieniu, które żywo maluje mi jej czułość i uroki.

Jedyny służący, który stanowił nasz dwór, wziął mnie pewnego dnia na stronę, aby, po długich ociąganiach, zwierzyć mi ważną — jak twierdził — tajemnicę. Zachęciłem go aby mówił swobodnie. Po długich korowodach dał mi do zrozumienia, iż pewien obcy pan rozkochał się w Manon. Krew mi się ścięła w żyłach. „A ona?" przerwałem gwałtowniej niżby kazała przezorność i chęć dowiedzenia się prawdy.

Wybuch mój przestraszył go. Odparł spłoszony, że przenikliwość jego nie sięga tak daleko. Zauważył po prostu od kilku dni, iż obcy jegomość przybywa codziennie do lasku, wysiada z karety, i, zapuszczając się w boczne aleje szuka jak gdyby rozmowy z Manon. Przyszło mu na myśl zawrzeć znajomość z jego ludźmi, aby się dowiedzieć nazwiska pana. Tytułowali go włoskim księciem i sami węszyli jakąś awanturkę miłosną; nie zdołał wszakże uzyskać innych wskazówek (dodał drżąc cały). Książę, wyszedłszy z lasku, zbliżył się poufale i spytał go o imię; po czym, odgadując że chłopak znajduje się w naszej służbie, powinszował że ma szczęście służyć najbardziej uroczej istocie pod słońcem.

Czekałem niecierpliwie dalszego ciągu. Zakończył trwożliwymi wykrętami, które przypisywałem memu niebacznemu uniesieniu. Próżno nalegałem aby mówił bez ogródek. Zaklął się, że nie wie nic więcej: ponieważ to co mi powiedział zdarzyło się wczoraj, nie widział od tego czasu ludzi księcia. Dodałem mu odwagi, nie tylko pochwałą ale i napiwkiem; nie zdradzając cienia nieufności, zaleciłem spokojnie by śledził kroki nieznajomego.

W gruncie, strach tego chłopaka zostawił we mnie okrutne wątpliwości; łatwo mogłem się obawiać, iż zataił przede mną część prawdy. Ale po chwili zastanowienia ochłonąłem; wstyd mi było objawów mej słabości. Nie mogłem poczytywać mojej Manon za zbrodnię, że się komuś podoba. Prawdopodobne było, iż nie wie nawet o swej zdobyczy. I jakież życie mnie czekało, gdybym tak łatwo dawał przystęp zazdrości?

Wróciłem następnego dnia do Paryża, postanowiwszy jedynie przyśpieszyć postępy fortuny przez podniesienie stopy gry, aby, w danym razie, móc opuścić Chaillot w wypadku alarmu. Wieczorem, nie dowiedziałem się niczego groźnego. Cudzoziemiec zjawił się w lasku; biorąc wczorajszą rozmowę za pozór do dalszych zbliżeń, zwierzył się memu sługusowi ze swą miłością, ale w sposób nie wskazujący porozumienia z Manon. Wypytywał o tysiączne szczegóły. Wreszcie, próbował go zjednać obietnicami i, wydobywszy przygotowany list, ofiarował daremnie kilka ludwików za doręczenie go pani.

Dwa dni upłynęły bez dalszych wydarzeń. Trzeci był burzliwszy. Wróciwszy dość późno z miasta, dowiedziałem się, że, podczas przechadzki, Manon oddaliła się nieco od towarzyszek i że cudzoziemiec, który szedł za nią w niewielkiej odległości, zbliżył się na jej znak: wręczyła mu list, przyjęty z oznakami najżywszej radości. Nie miał czasu wyrazić swego uniesienia inaczej jak tylko całując jej pismo; Manon oddaliła się natychmiast. Przez resztę dnia zdawała się niezwykle wesoła; po powrocie do domu nie opuścił jej ten humor.

Wyobrażam sobie, że musiałem drżeć przy każdym słowie. „Czy pewny jesteś, rzekłem smutno do służącego, że oczy cię nie omyliły?" Wziął niebo za świadka swej uczciwości.

Nie wiem do czego byłyby mnie przywiodły męczarnie serca, gdyby Manon, która słyszała żem wrócił, nie wybiegła z wyrazami zniecierpliwienia i skargi na mą opieszałość. Nie czekając odpowiedzi, obsypała mnie pieszczotami; kiedy zaś znaleźliśmy się sam na sam, uczyniła mi wymówki za mój zwyczaj wracania tak późno. Milczałem, nie przerywając potoku jej słów. Rzekła, iż od trzech tygodni, ani dnia nie spędziłem z nią wyłącznie; otóż, ona nie może znieść tak długiej rozłąki, żąda dla siebie bodaj jednej doby od czasu do czasu, i zaraz jutro chce mnie widzieć przy sobie od rana do wieczora.

„Zostanę, możesz być pewna", odparłem dość szorstko. Nie zwróciła zbytniej uwagi na mą chmurną minę; w przystępie wesołości, która w istocie zdała mi się uderzająca, zaczęła, wśród mnóstwa zabawnych figlów, opowiadać jak spędziła dzień. Dziwna dziewczyna, mówiłem sobie, czegóż się spodziewać po tym wstępie? Przypomniały mi się okoliczności pierwszego rozstania. Zdawało mi się wszakże, że radość jej i pieszczoty są szczere.

Przy wieczerzy nie mogłem się obronić smutkowi, ale nietrudno mi było zrzucić go na straty, które, jak się skarżyłem, poniosłem w grze. Uważałem to za nader korzystne, że myśl zatrzymania mnie nazajutrz w Chaillot wyszła od Manon. Zyskiwałem na czasie; mogłem rozważyć jak mi się należy zachować. Obecność moja oddalała wszelkie doraźne obawy; o ile zaś przez ten czas podejrzenia moje nie rozprószyłyby się w zupełności, byłem zdecydowany, zaraz następnego dnia, przenieść się do miasta, w jakąś dzielnicę gdzie byłbym wolny od natręctwa włoskich książąt. Postanowienie to sprawiło, że spędziłem noc spokojnie; ale nie odjęło bólu myśli, iż,

mimo wszystko, trzeba mi wciąż drżeć przed niewiernością.

Skorośmy się obudzili, Manon oświadczyła, iż, jakkolwiek mamy cały dzień zostać w domu, nie chce aby wykwint mej toalety miał na tym ucierpieć. Naparła się utrefić mi włosy. Miałem włosy bardzo piękne, i nieraz już czyniła sobie tę zabawę. Tym razem rozwinęła więcej starań niż zwykle. Aby uczynić jej zadość, musiałem siąść przy gotowalni i poddać się wymysłom, jakimi zapragnęła pomnożyć me naturalne powaby. W czasie tej pracy, często kazała mi obracać twarz ku sobie i, opierając mi ręce na ramionach, wpatrywała się we mnie z namiętną ciekawością. Następnie, wyrażając zadowolenie pocałunkami, kazała mi wracać do pierwotnej pozycji aby dalej prowadzić swe dzieło.

Zabawka ta zajęła nas do obiadu. Upodobanie, jakie znajdowała w niej Manon, wydało mi się tak naturalne, wesołość jej tak nic nie trąciła sztuką, że, nie mogąc pogodzić tego obrazu wierności i przywiązania z zamiarem czarnej zdrady, kilka razy chciałem otworzyć me serce i zbyć się brzemienia które zaczynało mi ciężyć. Ale łudziłem się co chwilę, że zwierzenie przyjdzie z jej strony i napawałem się rozkoszą tego tryumfu.

Przeszliśmy do alkierza. Manon znów wzięła się do poprawiania mi włosów, przy czym ja znów poddawałem się we wszystkim jej woli. Nagle, oznajmiono iż książę de*** pragnie jej złożyć uszanowanie. Nazwisko to wzburzyło mnie do szału: „Jak to? krzyknąłem odtrącając ją, kto? jaki książę?" Nie odpowiedziała na moje pytania. „Kochanku drogi! Ubóstwiany mój, rzekła czarującym tonem, proszę o chwilę cierpliwości; chwilę, chwilkę jedną! będę cię za to kochała tysiąc razy więcej, wdzięczna ci będę całe życie".



Oburzenie i zdumienie spętały mi język. Manon powtarzała swoje prośby, ja zaś szukałem słów by je odtrącić ze wzgardą. Wreszcie, Manon, słysząc iż drzwi od przedpokoju otwierają się, chwyciła jedną ręką moje włosy, które rozsypały się na ramiona, drugą ujęła zwierciadło; następnie, używając całej siły aby mnie zawlec w tym stanie do drzwi i otwierając je kolanem,

ukazała przybyszowi, którego hałas ten zatrzymał na środku pokoju, widowisko, zdolne zaiste wprawić w zdumienie. Ujrzałem człowieka wykwintnie ubranego, dość niepozornej postaci.

Mimo zakłopotania w jakie wtrąciła go ta scena, zdobył się na głęboki ukłon. Manon, nie zostawiając mu czasu na otworzenie ust, podsunęła zwierciadło: „Ot, spójrz pan, rzekła; przypatrz się sobie dobrze i przyznaj mi rację. Żądasz ode mnie miłości: oto człowiek którego kocham i którego przysięgłam kochać całe życie. Sam pan porównaj: jeśli zamierzasz wydrzeć mu moje serce, racz mnie pouczyć na jakiej podstawie; oznajmiam panu bowiem, iż, w oczach twej uniżonej sługi, wszyscy książęta całych Włoch nie są warci jednego z tych włosków które trzymam w ręku".

Podczas tej wariackiej przemowy, którą widocznie przygotowała sobie, czyniłem daremne starania aby się uwolnić. Litując się nad szanowną osobistością, czułem się skłonny wynagrodzić tę drobną zniewagę mymi uprzejmościami. Ale Jego Ekscelencja przyszła dość łatwo do siebie, odpowiedź zaś Jej, dość niegrzeczna, spłoszyła mą ochotę. „Panienko, panienko, rzekł z wymuszonym uśmiechem, otwieram w istocie oczy i widzę, że jesteś mniejszą nowicjuszką niż mniemałem".

Oddalił się nie patrząc na Manon, i dodając ciszej że kobiety we Francji nie więcej są warte niż we Włoszech. Nie miałem, w danych okolicznościach, przyczyny prostowania jego sądów o płci pięknej.

Manon puściła moje włosy, padła na fotel i napełniła pokój wybuchami śmiechu. Nie będę ukrywał, że uczułem się do głębi wzruszony ofiarą, którą mogłem przypisać jedynie miłości. Żart wydał mi się wszakże zbyt daleko posunięty. Próbowałem połajać ją lekko. Opowie-

działa wszystko. Rywal mój oblegał ją kilka dni z rzędu w Lasku Bulońskim i dawał na migi wyraz swym uczuciom; wreszcie postanowił je wyznać. W liście, doręczonym przez woźnicę, wypalił oświadczyny zdobne w pełne nazwisko i tytuły; przyrzekał jej, het, za górami, świetny los i wiekuistą adorację. Wróciwszy do Chaillot, Manon miała zamiar opowiedzieć mi całą przygodę; ale, pomyślawszy że moglibyśmy się zabawić nieco kosztem księcia-pana, nie umiała się wyrzec swego konceptu. W nader uprzejmym liście, pozwoliła dudkowi aby ją odwiedził; po czym zrobiła sobie przyjemność z tego aby mnie wciągnąć do swego planu bez najmniejszego podejrzenia z mej strony. Nie powiedziałem ani słowa o wiadomościach jakie posiadałem skądinąd: upojenie i tryumf miłości sprawiły iż wszystko wydało mi się czarujące.

Zauważyłem, w ciągu całego życia, iż, aby mi wymierzać najdotkliwsze ciosy, niebo wybierało zawsze porę, w której los mój zdawał się najbezpieczniejszy. Czułem się tak szczęśliwy przyjaźnią pana de T*** i miłością Manon, że nikt by mnie nie zdołał przekonać iż grozi mi nowe nieszczęście; tymczasem wisiało ono nade mną, i to tak złowrogie, że doprowadziło mnie do stanu w jakim mnie pan widział w Passy. Ze stopnia na stopień, wtrąciło nas w tak żałosne ostateczności, iż niełatwo przyjdzie panu uwierzyć w prawdę mego opowiadania.

Jednego dnia, kiedyśmy gościli pana de T***, usłyszeliśmy turkot karety, która zatrzymała się pod bramą. Ciekawość obudziła w nas chęć dowiedzenia się kto mógłby przybywać o tej porze. Powiedziano nam, że to młody G*** M***, to znaczy syn naszego najzaciętszego wroga, starego rozpustnika, który wtrącił mnie do św.

Łazarza, a Manon do Szpitala. Nazwisko to oblało mą twarz rumieńcem. „Niebo samo go sprowadza, rzekłem do pana de T***, aby go skarać za nikczemność ojca. Nie wymknie mi się zanim nie skrzyżujemy szpad". Pan de T***, który go znał i należał nawet do jego przyjaciół, silił się obudzić we mnie życzliwsze uczucia. Upewnił że to jest młody człowiek pełen zalet, tak dalece niezdolny do udziału w postępku ojca, iż wystarczy mi zobaczyć go na chwilę, aby powziąć doń sympatię i obudzić ją wzajem. Dodawszy tysiąc rzeczy na jego pochwałę, prosił abym pozwolił zaprosić go i podzielić z nim resztę wieczerzy. Uchylił obawę niebezpieczeństwa, na jakie mogliśmy się narazić odsłaniając synowi wroga miejsce naszego schronienia; klął się honorem i czcią, iż skoro młody G*** M*** nas pozna, nie będziemy mieli żarliwszego obrońcy. Wobec takich zapewnień, nie czyniłem trudności.

Zanim pan de T*** przyprowadził gościa, nie omieszkał uprzedzić go kim jesteśmy. Zachowanie jego usposobiło nas w istocie przychylniej. Uściskał mnie; siedliśmy; zdawał się zachwycony Manon, mną, wszystkim co nas tyczyło, i jadł z apetytem który przynosił zaszczyt naszej wieczerzy.

Skoro sprzątnięto ze stołu, rozmowa stała się poważniejsza. G*** M*** spuścił oczy, mówiąc o wybryku jakiego ojciec dopuścił się względem nas. Przedłożył nam swoje najpowolniejsze usprawiedliwienie. „Skracam je, rzekł, aby nie odnawiać wspomnienia, którego się wstydzę". Jeśli uczucia gościa były szczere już z początku, stały się o wiele szczersze później; nie minęło pół godziny, kiedy spostrzegłem wrażenie jakie czyni na nim Manon. Spojrzenia jego i obejście stawały się coraz

czulsze. Nie zdradził się ani słowem, ale, nawet gdyby nie wspomagała mnie zazdrość, zbyt wiele miałem doświadczenia w miłości, aby w lot nie rozpoznać wszystkiego co pochodzi z tego źródła. Zabawił z nami do późna; żegnając się, wyraził radość z powodu tej znajomości i prosił o pozwolenie przedłożenia służb swoich od czasu do czasu. Odjechał nad ranem z panem de T***, który skorzystał z miejsca w karecie.

Nie byłem z natury, jak rzekłem, skłonny do zazdrości. Ufałem ślepo, bardziej niż kiedykolwiek, zaklęciom Manon. Urocza istota stała się tak bezwarunkowo panią mej duszy, że nie było we mnie najdrobniejszego uczucia które by nie tchnęło szacunkiem i przyjaźnią. Daleki od zarzucenia jej zbrodni z tego że spodobała się młodemu G*** M***, zachwycony byłem potęgą jej uroku; czułem się dumny z posiadania istoty, którą każdy musiał być oczarowany. Nie uważałem nawet za właściwe dzielić się z nią mymi podejrzeniami. Przez kilka dni byliśmy zajęci krzątaniem się koło garderoby Manon, i debatą czy możemy się wybrać do teatru, bez obawy aby nas poznano. Pan de T*** odwiedził nas znowu przed upływem tygodnia; zasięgnęliśmy jego rady. Widział, że trzeba powiedzieć *tak,* aby zrobić przyjemność Manon. Postanowiliśmy tedy wybrać się jeszcze tego dnia z nim razem.

Mimo to, zamiar nie doszedł do skutku; de T*** bowiem, odciągnąwszy mnie na stronę, rzekł: „Jestem, od ostatniego naszego widzenia, w straszliwym kłopocie, a dzisiejsza bytność jest jego następstwem. G*** M*** rozkochał się w Manon; zwierzył mi się. Jestem jego dobrym przyjacielem, gotowym mu we wszystkim służyć, ale niemniej jestem i twoim. Przekonałem się, że zamiary jego są nieczyste; odmówiłem pomocy. Byłbym

zachował tajemnicę, gdyby G*** M*** miał zamiar ubiegać się o względy twej kochanki zwykłą drogą; ale on zna charakter Manon. Dowiedział się, nie wiem skąd, o jej słabostce do dostatku i zabaw; że zaś młody G*** M*** posiada już dziś znaczny majątek, oświadczył mi, iż chce ją skusić okazałym podarkiem, oraz propozycją dziesięciu tysięcy funtów pensji. Gdyby szanse były równe, z cięższym sercem przyszłoby mi go zdradzić; ale w tym wypadku, poczucie sprawiedliwości złączyło się z przyjaźnią aby przemówić na twoją korzyść. Wprowadziwszy tu pana G*** M***, stałem się, przez nierozwagę przyczyną jego namiętności; mam tedy obowiązek uprzedzić skutki złego".

Podziękowałem panu de T*** za tak ważną usługę. Odpłacając w zupełności jego zaufanie, wyznałem, że w istocie charakter Manon zgodny jest z pojęciami jakie sobie wytworzył o nim G*** M***, to znaczy że nie jest zdolna cierpieć zgoła nazwy ubóstwa. „Jednakże, rzekłem, o ile chodzi tylko o stopień dostatku, nie sądzę aby była skłonna porzucić mnie dla kogo innego. Mogę już dziś sprawić aby jej nie zbywało na niczym, a mam nadzieję, że środki moje będą wzrastały z każdym dniem. Obawiam się tylko jednej rzeczy, dodałem: a to, aby G*** M***, korzystając iż poznał miejsce naszego schronienia, nie wyzyskał tego w jakiś niegodziwy sposób".

Pan de T*** upewnił mnie, że z tej strony mogę być bez obawy; G*** M*** zdolny jest do szaleństwa z miłości, ale nie do czegoś nikczemnego: w razie gdyby okazał się tak podły, on pierwszy, jak tu stoi, gotów byłby skarać go i tym samym naprawić nieszczęście którego stał się mimo woli przyczyną. „Wdzięczen ci jestem za te uczucia, odparłem, ale cóż? zło już by się stało, a le-

karstwo pozostałoby mocno niepewne. Toteż, najroztropniejszą drogą jest uprzedzić go, opuszczając Chaillot i szukając innego pomieszczenia. — Tak, odparł de T***, ale trudno to będzie wykonać dość szybko. G*** M*** ma tu być w południe; oznajmił mi to wczoraj, co skłoniło mnie, że przybyłem tak wcześnie aby cię ostrzec. Może się zjawić lada chwila".

Ostrzeżenie tak naglące kazało mi patrzeć na sprawę poważniej. Ponieważ nie podobna było uniknąć odwiedzin G*** M***, a równie trudno byłoby mi z pewnością zapobiec jego oświadczynom, postanowiłem sam uprzedzić kochankę o zamiarach rywala. Wyobraziłem sobie, iż Manon, wiedząc że jestem świadom propozycyj jakie ją mają spotkać i otrzymując je niemal w moich oczach, będzie miała dość siły aby je odrzucić. Odkryłem swoją myśl panu de T***. Odparł, iż sprawa zdaje mu się drażliwa. „Przyznaję, rzekłem; ale, jeśli istnieją racje pozwalające komuś być pewnym serca kochanki, posiadam je wszystkie. Mogłaby ją olśnić chyba świetność propozycji; ale, powtarzam, Manon nie jest interesowna. Kocha swoje wygody, ale kocha i mnie; jakoż, wobec dzisiejszego stanu moich interesów, trudno by mi przypuścić, aby przełożyła nade mnie syna człowieka, który ją wtrącił do Szpitala". Słowem, uparłem się przy swoim zamiarze; odszedłszy na ubocze z Manon, opowiedziałem jej po prostu czegom się dowiedział.

Podziękowała za dobre mniemanie o niej i przyrzekła przyjąć propozycje G*** M*** w sposób który odbierze mu na zawsze ochotę do ich ponawiania. „Nie, rzekłem, nie trzeba drażnić go szorstką odprawą, mógłby nam szkodzić. Ale ty znasz dość sposobów, szelmeczko, dodałem śmiejąc się, aby się gładko pozbyć niemiłego zalotnika". Zamyśliwszy się chwilę, odparła: „Przychodzi

mi wspaniały plan, dumna jestem z mego wynalazku. G*** M*** jest synem naszego najokrutniejszego wroga; trzeba nam zemścić się za ojca, nie na synu ale na jego sakiewce. Wysłucham go życzliwie, przyjmę podarki i zadrwię sobie z niego.

— Plan jest ładny, rzekłem; ale zapominasz, drogie dziecko, że to jest właśnie droga, która nas zawiodła do Szpitala". Daremnie podkreślałem niebezpieczeństwo; odparła, iż chodzi tylko o to aby się dobrze mieć na baczności; słowem, znalazła odpowiedź na wszystko. Pokaż mi pan kochanka, który by nie ulegał ślepo kaprysom ubóstwianej, a przyznam iż źle uczyniłem ustępując tak łatwo. Zapadło tedy postanowienie, aby wystrychnąć na dudka G*** M***; tymczasem, dziwnym zrządzeniem losu, mnie to przypadło, dzięki niemu, znaleźć się w tej roli.

Około jedenastej, ujrzeliśmy zbliżającą się karetę. G*** M*** rozwiódł się w dwornych ekskuzach, przepraszając za swobodę z jaką ośmiela się przybyć w porze obiadowej. Nie zdziwił się że zastał pana de T***, który, poprzedniego dnia, również przyrzekł się tu zjawić i zmyślił parę spraw aby się wymówić od przybycia tym samym powozem. Mimo iż nie było wśród nas ani jednej osoby, która by nie kryła zdrady w sercu, siedliśmy do stołu z pozorami zaufania i przyjaźni. G*** M*** znalazł łatwo sposób wyrażenia swych uczuć Manon. Nie musiałem mu się wydać zbyt kłopotliwym stróżem, usunąłem się bowiem umyślnie na chwilę.

Spostrzegłem za powrotem, że nie przywiedziono go do rozpaczy nadmiarem srogości. Był w najlepszym humorze; ja udałem toż samo: on śmiał się w duchu z mojej naiwności, ja z jego. Całe popołudnie graliśmy dla siebie wzajem nader ucieszną komedię. Nim odjechał, uła-

twiłem mu jeszcze sam na sam z Manon; tak iż miał wszelkie prawo czuć się równie zadowolony z mej uprzejmości co z gościnności naszego stołu.

Zaledwie wsiadł do karety z panem de T***, Manon pobiegła z otwartymi ramionami i uściskała mnie wybuchając śmiechem. Powtórzyła mi jego propozycje, nie zmieniając ani słowa. Sprowadzały się do tego: ubóstwia ją, chce podzielić z nią czterdzieści tysięcy renty jakie już posiada, nie licząc tego czego spodziewa się po ojcu. Manon będzie panią jego serca i majątku, jako zakład zaś przyszłej hojności, gotów jest dać jej karetę, pałacyk, pokojową, trzech lokai i kucharza.

„To mi syn, rzekłem do Manon, nieco hojniejszy niż ojciec! Mówmy szczerze; czy cię ta ofiara nie kusi? — Mnie? odparła, stosując do swej myśli wiersze Racine'a:

> Mnie możesz podejrzewać o tak czarną zdradę?
> Jak to! mniemasz, iż zdoła pozyskać mą duszę,
> Ten, czyj widok Szpitala odnawia katusze?

— Nie, podjąłem, ciągnąc dalej parodię,

> Trudno mi sądzić, aby wspomnienie Szpitala,
> Było z tych, z których miłość w sercu się rozpala

„Ale, mimo wszystko, kusząca to rzecz pałacyk z pokojową i kucharzem, kareta i trzech lokajów; miłość niełatwo zdoła coś przeciwstawić takim pokusom".

Zaklęła się, że jej serce jest moje na zawsze, i że nigdy nie będzie tkliwa na inne groty. „Propozycje jakie mi uczynił, rzekła, są dla mnie raczej ostrogą zemsty, niż strzałą miłości". Spytałem, czy nosi się z myślą przyjęcia pałacyku i karety. Odparła, że ma zamiary jedynie na gotowiznę.

Cała trudność była w tym, jak uzyskać jedno bez drugiego. Postanowiliśmy czekać, aż G*** M*** zupełnie jasno określi swe propozycje, w liście który zapowiedział. Przesłał go w istocie nazajutrz, przez służącego, który bardzo zręcznie postarał się o sposobność mówienia z Manon bez świadków. Kazała zaczekać i przyszła natychmiast pokazać mi list. Otworzyliśmy go razem.

Poza zwykłymi zaklęciami, list zawierał szczegóły oferty mego rywala. Nie stawiał granic potrzebom Manon; zobowiązywał się wyliczyć dziesięć tysięcy franków przy objęciu w posiadanie pałacyku i wyrównywać tę sumę w miarę jak będzie się uszczuplać, tak by Manon miała ją stale pod ręką. Dzień inauguracji nie miał być zbyt odległy. G*** M*** prosił jedynie o dwa dni czasu na wszystko; wymieniał ulicę i dom, gdzie przyrzekał oczekiwać jej od jutra, jeśli zdoła się na chwilę wymknąć. Był to jedyny punkt, co do którego błagał aby rozprószyła jego niepewność; reszty zdawał się pewny; ale, dodawał, gdyby Manon przewidywała trudności w wyrwaniu się spod mego dozoru, podejmuje się znaleźć sposób ucieczki.

G*** M*** był sprytniejszy od ojca. Chciał mieć w ręku ofiarę, nim wyłoży pieniądze. Naradziliśmy się nad drogą, jaką należy obrać. Czyniłem jeszcze wysiłki aby jej ten zamiar wybić z głowy; przedstawiałem niebezpieczeństwa; nic nie było w stanie zachwiać szalonego pomysłu Manon.

Skreśliła krótką odpowiedź, upewniając że nie będzie miała trudności z tym aby się dostać w oznaczonym dniu do Paryża i że G*** M*** może oczekiwać jej z pewnością.

Ułożyliśmy się następnie, że ja postaram się wynająć domek za miastem po przeciwnej stronie Paryża i prze-

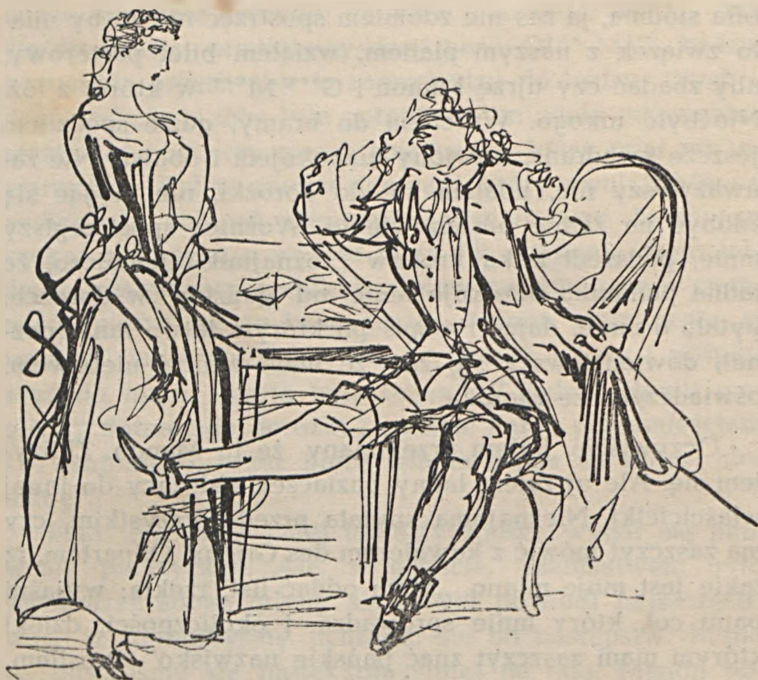
wiozę tam nasz szczupły dobytek. Nazajutrz Manon uda się do miasta; przyjąwszy dary pana G*** M***, będzie go usilnie prosić, aby ją zaprowadził do teatru. Wychodząc weźmie z sobą tyle gotowizny ile zdoła udźwignąć, resztę zaś powierzy memu służącemu, który miał jej towarzyszyć. Był to zawsze ten sam, który uwolnił Manon ze Szpitala, chłopak niezmiernie przywiązany. Ja miałem czekać z dorożką u wylotu ulicy św. Andrzeja; koło siódmej, zostawiwszy wehikuł, miałem podsunąć się w ciemności, pieszo, aż do bram teatru. Manon przyrzekała, iż wymyśli jakiś pozór aby się wyśliznąć z loży i pośpieszyć do mnie. Reszta była łatwa. W jednej chwili mogliśmy dotrzeć do dorożki i opuścić Paryż przedmieściem św. Antoniego, przez które wiodła droga do nowej siedziby.

Plan ten, mimo całej fantastyczności, wydał się nam wcale praktyczny. Ale, w gruncie, szaleństwem było wyobrażać sobie, gdyby się nawet powiódł najszczęśliwiej, iż zdołalibyśmy uchronić się od następstw. Mimo to, puściliśmy się najlekkomyślniej na falę. Manon pojechała z Marcelem; to było imię służącego. Patrzałem na jej odjazd z bólem. Ściskając ją, rzekłem: „Manon, nie zwodzisz ty mnie? będziesz mi wierna?" Użaliła się tkliwie na mą nieufność i ponowiła zaklęcia.

Zamiarem jej było stanąć w Paryżu na trzecią. Ruszyłem wnet po niej. Resztę dnia strawiłem smutno w kawiarni de Feré, w podle mostu św. Michała. Siedziałem tam do nocy. Wyszedłem aby wziąć dorożkę, którą, zgodnie z planem, zostawiłem u wylotu ulicy św. Andrzeja; następnie dotarłem pieszo do bram teatru. Zdziwiłem się, nie znalazłszy Marcela, który miał mnie oczekiwać. Wytrwałem godzinę, wmieszany w tłum lokajów, z okiem otwartym na przechodniów. Wreszcie, skoro wybiła siódma, ja zaś nie zdołałem spostrzec nic co by miało związek z naszym planem, wziąłem bilet parterowy, aby zbadać czy ujrzę Manon i G*** M*** w której z lóż. Nie było nikogo. Wróciłem do bramy, gdzie spędziłem jeszcze kwadrans, trawiony niepokojem i obawą. Nie zauważywszy nic, udałem się do dorożki, nie mogąc się zdobyć na żadne postanowienie. Woźnica spostrzegłszy mnie, podszedł kilka kroków i oznajmił tajemniczo, że ładna panienka oczekuje mnie od godziny w dorożce; pytała o mnie, dając rysopis po którym łatwo mnie poznał; dowiedziawszy się zaś że mam wrócić niebawem, oświadczyła że zaczeka.

Oczywiście, byłem przekonany że to Manon. Zbliżyłem się. Ale ujrzałem ładny buziaczek należący do innej właścicielki. Nieznajoma spytała przede wszystkim, czy ma zaszczyt mówić z kawalerem des Grieux. Odparłem, iż takie jest moje miano. „Mam oddać list, rzekła: wyjaśni panu cel, który mnie sprowadza, i okoliczności, dzięki którym mam zaszczyt znać pańskie nazwisko". Prosiłem, aby mi pozwoliła odczytać list w sąsiedniej traktierni. Ofiarowała się pójść tam ze mną i poradziła wziąć oddzielny pokój. „Od kogo ten list?' spytałem po drodze. Odparła, iż dowiem się z treści.

Poznałem rękę Manon. Oto, mniej więcej, co mi donosiła: G*** M*** przyjął ją z dwornością i przepychem przechodzącym wszelkie wyobrażenie. Obsypał ją podarunkami. Ukazał jej oczom los godny królowej. Upewniała wszelako, że nie zapomni o mnie w nowej świetności; ale, nie zdoławszy skłonić G*** M*** aby ją tego wieczora zaprowadził do teatru, odkłada na inny dzień przyjemność widzenia się ze mną. Pragnąc mnie pocieszyć po drobnej przykrości jaką ta wiadomość może mi



sprawić, postarała się przesłać mi jedną z najładniejszych dziewcząt w Paryżu, oddawczynię tego listu.

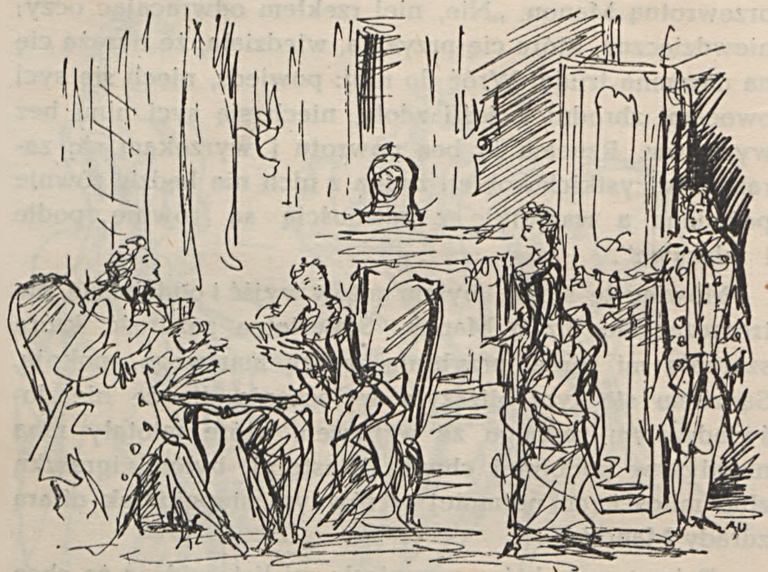
„Twoja wierna Manon".

Było coś tak okrutnego i obrażającego dla mnie w tym liście, iż, szarpany jakiś czas gniewem i bólem, postanowiłem wreszcie zapomnieć na wieki niewdzięczną i wiarołomną kochankę. Spojrzałem na dziewczynę, którą miałem przed sobą. Była bardzo ładna; pragnąłbym aby nią była na tyle, by mnie wzajem uczynić niewiernym. Ale nie znajdowałem w niej owych sprytnych i tkliwych oczu, boskiej kibici, rozkosznej cery, słowem, niewyczerpanego zasobu uroków, jakimi natura obsypała

przewrotną Manon. „Nie, nie! rzekłem odwracając oczy; niewdzięczna, która cię przysyła, wiedziała, że naraża cię na daremne trudy. Wróć do niej: powiedz, niech się syci owocami zbrodni i, jeśli zdoła, niech się syci nimi bez wyrzutów. Rzucam ją bez powrotu i wyrzekam się zarazem wszystkich kobiet; żadna z nich nie będzie równie pożądana a wszystkie z pewnością są równie podłe i fałszywe".

Mówiąc te słowa, byłem gotów wyjść i oddalić się, nie troszcząc się już o Manon. Śmiertelna zazdrość, która szarpała mi serce, przybrała maskę martwego spokoju. Sądziłem się tym bliższym wyleczenia, ile że nie doświadczałem żadnego ze wzruszeń, które miotały mną niegdyś w podobnej chwili. Niestety! byłem igraszką złud miłości, co najmniej w równym stopniu jak ofiarą zdrady Manon.

Dziewczyna, która przyniosła mi list, widząc że chcę odejść, spytała co ma powiedzieć panu de G*** M*** i damie, która była w jego towarzystwie. Na to wróciłem i, w nagłej odmianie, nieprawdopodobnej dla tych którzy nigdy nie znali namiętności, przeszedłem z mniemanego spokoju do straszliwego wybuchu. „Idź, rzekłem; odmaluj zdradzieckiemu G*** M*** i jego przewrotnej kochance rozpacz w jaką wtrącił mnie przeklęty list; ale powiedz że niedługo będą się bawili mym kosztem: zasztyletuję oboje własną ręką". Rzuciłem się na krzesło. Kapelusz i laska wysunęły mi się z dłoni. Strumienie gorzkich łez puściły mi się z oczu. Szaleństwo, któremu uległem przed chwilą, zmieniło się w głęboką boleść. Byłem zdolny już tylko płakać, wydając jęki i westchnienia. „Zbliż się, dziecko, zbliż się, skoro cię przysłano abyś mnie pocieszyła. Powiedz czy znasz lekarstwo przeciw wściekłości i rozpaczy, przeciw żądzy zadania sobie



śmierci, zgładziwszy wprzód dwoje niewiernych nie zasługujących na życie. Tak, zbliż się, ciągnąłem, widząc że czyni ku mnie parę trwożliwych i niepewnych kroków. Pójdź osuszyć moje łzy; wróć pokój memu sercu, powiedz że mnie kochasz, iżbym się przyzwyczaił do słów miłości z innych ust niż tamtej niewiernej! Jesteś ładna; może zdołam cię pokochać". Biedna dziewczyna, która liczyła niespełna siedemnaście lat i zdawała się mieć więcej wstydu niż miewają podobne istoty, była zdumiona tą osobliwą sceną. Zbliżyła się, mimo to, z pieszczotą; odtrąciłem ją gwałtownie. „Czego chcesz? rzekłem. Ha! jesteś kobietą, należysz do płci której nienawidzę i której nie zdołałbym już ścierpieć. Słodycz twoja zwiastuje mi nową zdradę. Idź precz, zostaw mnie". Skłoniła się, nie śmiejąc nic powiedzieć, i zwróciła się

ku wyjściu. Krzyknąłem za nią: „Powiedz przynajmniej, czemu, jak i w jakim celu przysłano cię tutaj? Jak dowiedziałaś się o mym nazwisku i o miejscu gdzie spodziewałaś się mnie znaleźć?"

Powiedziała, że znała od dłuższego czasu pana de G*** M***; posłał po nią około piątej. Idąc za służącym który jej przyniósł wezwanie, dostała się do dużego domu, gdzie zastała go grającego w pikietę z ładną panią. Polecili jej oboje oddać wiadomy list, objaśniając równocześnie iż zastanie mnie w karecie u wylotu ulicy św. Andrzeja. Spytałem, czy nie mówili nic więcej. Odparła, rumieniąc się, iż pozwolili jej mieć nadzieję, że ją zatrzymam przy sobie. „Oszukano cię, rzekłem; tak, biedne dziecko, oszukano cię. Jesteś kobietą, trzeba ci mężczyzny; ale trzeba aby to był człowiek bogaty i szczęśliwy; nie tutaj ci go szukać. Wracaj, wracaj do dawnego pana. Ma wszystko co trzeba aby zdobywać serca kobiet, rozdaje pałace i pojazdy. Co do mnie, który mogę ofiarować jedynie miłość i wiarę, kobiety gardzą mą nędzą i czynią sobie zabawkę z mej naiwności".

Dodałem jeszcze tysiąc rzeczy, gwałtownych lub smutnych, wedle tego jak namiętności me ustępowały lub brały górę. W miarę wszakże jak przedłużałem własną udrękę, gniew mój ostygł na tyle, aby dać miejsce zastanowieniu. Porównałem ostatnie nieszczęście z tymi, których już doznałem; pomyślałem, że nie ma powodu rozpaczać więcej niż innym razem. Znałem Manon: czemu się tak martwię klęską, którą winienem był przewidzieć? czemu nie szukać raczej lekarstwa? Był jeszcze czas; należało bodaj zrobić co w mej mocy, aby nie mieć sobie do wyrzucenia, iż, przez zaniedbanie, przyczyniłem się do własnej niedoli. Zacząłem tedy rozważać sposoby, które mogły mi otworzyć furtkę nadziei.

Próbować wydrzeć Manon gwałtem z rąk G*** M***, był to krok rozpaczliwy, zdolny jedynie mnie zgubić, i to bez widoków powodzenia. Ale zdawało mi się, iż, gdybym mógł uzyskać bodaj chwilę rozmowy, zdołałbym poruszyć jej serce. Tak dobrze znałem jego tkliwe zakątki! Byłem tak pewny, że ona mnie kocha! Nawet ten szalony pomysł aby mi przysłać ładną dziewczynę dla pocieszenia mnie po stracie, założyłbym się że jest jej dziełem, współczuciem dla mych cierpień.

Postanowiłem wytężyć całą przemyślność, aby uzyskać rozmowę z Manon. Pośród rozmaitych dróg które rozpatrywałem kolejno, zatrzymałem się przy tej. Pan de T*** ofiarował mi swoje usługi zbyt serdecznie, abym mógł wątpić o jego szczerości i przyjaźni. Umyśliłem udać się doń i prosić aby zechciał wezwać pana de G*** M*** pod pozorem ważnej sprawy. Wystarczyło mi pół godziny aby mówić z Manon. Zamiarem moim było dostać się wprost do jej pokoju: sądziłem, że, w nieobecności pana de G*** M***, przyjdzie mi to bez trudu.

Postanowienie to uspokoiło mnie nieco. Wynagrodziłem hojnie dziewczynę; aby zaś odjąć jej ochotę wracania do tych którzy ją posłali, wziąłem jej adres, czyniąc nadzieję iż przyjdę spędzić noc u niej. Wsiadłem do dorożki i kazałem się wieźć co koń wyskoczy do pana de T***. Szczęściem zastałem go w domu. Jedno słowo objaśniło go o mych niedolach i o usłudze jakiej odeń żądam.

Był tak zdumiony wiadomością o panu de G*** M*** i Manon, iż, nie wiedząc że ja sam przyczyniłem się do mego nieszczęścia, ofiarował wspaniałomyślnie zebrać przyjaciół, aby użyć ich ramienia i szpady dla uwolnienia mej kochanki. Przedstawiłem, iż rozgłos ten może być zgubny dla nas obojga. „Zachowajmy krew naszą, rzekłem, na ostateczny wypadek. Obmyśliłem łagodniejszą drogę, po której spodziewam się nie mniej powodzenia". Ofiarował się, bez zastrzeżeń, uczynić czego zażądam; gdym zaś oświadczył że chodzi jedynie o odwołanie pana de G*** M*** w ważnej rzekomo sprawie i zatrzymanie go godzinę lub dwie poza domem, ruszył natychmiast ze mną aby spełnić me życzenie.

Zastanawialiśmy się, jakiego sposobu użyć, aby go zatrzymać tak długo. Poradziłem, aby napisał doń po prostu bilecik z traktierni, z prośbą o natychmiastowe przybycie w sprawie nie cierpiącej zwłoki. „Będę śledził, dodałem, chwilę jego wyjścia i dostanę się łatwo do domu, gdzie nikt mnie nie zna z wyjątkiem Manon i Marcela. Ty, który spotkasz się tymczasem z G*** M***, możesz powiedzieć, że sprawa o którą chodzi, to nagły kłopot pieniężny; żeś przegrał wszystko co miałeś, żeś postawił o wiele więcej na słowo, równie nieszczęśliwie. Trzeba mu będzie czasu, nim się dostanie do swej szkatuły; mnie zaś ten czas wystarczy najzupełniej".

Pan de T*** przeprowadził projekt najściślej. Zostawiłem go w traktierni, gdzie śpiesznie skreślił list. Przyczaiłem się o kilka kroków od pałacyku. Ujrzałem posłańca z listem, a w chwilę potem pana de G*** M***, który wyszedł pieszo w towarzystwie lokaja. Odczekawszy chwilę aż wejdzie w sąsiednią ulicę, podszedłem do bram niewiernej kochanki. Mimo gniewu, jaki wrzał w mej piersi, zapukałem z szacunkiem niby do wrót świątyni. Szczęściem, otworzył mi sam Marceli. Dałem znak, aby milczał. Jakkolwiek nie miałem powodu niczego się lękać, spytałem szeptem, czy może mnie zaprowadzić niepostrzeżenie do Manon. Odparł, iż rzecz jest łatwa, o ile się przesuniemy po cichu głównymi schodami. „Chodźmyż tedy co rychlej, rzekłem, i, póki ja

tam będę, staraj się aby nikt nie wszedł". Dostałem się bez przeszkód do jej pokoju.

Manon siedziała z książką. I znowuż miałem sposobność podziwiać charakter tej osobliwej dziewczyny! Bynajmniej nie przerażona i nie onieśmielona mym widokiem, wydała się zaledwie lekko zdziwiona, jak na widok osoby o której sądzi się że jest daleko. „Ach, to ty, kochanie? rzekła, podchodząc aby mnie uścisnąć ze zwykłą troskliwością. Dobry Boże! jakiś ty śmiały! Kto by się ciebie dziś spodziewał tutaj?" Uwolniłem się z jej ramion; nie odwzajemniwszy pieszczot, odepchnąłem ją ze wzgardą i cofnąłem się o parę kroków. Ten gest zmieszał ją. Zatrzymała się i spojrzała na mnie mieniąc się na twarzy.

Byłem w gruncie, tak szczęśliwy, że ją oglądam, iż, mimo tylu słusznych powodów do gniewu, ledwie miałem siłę otworzyć usta aby jej czynić wyrzuty. Serce moje broczyło wszakże od okrutnej zniewagi. Przywodziłem sobie na pamięć mą urazę, starając się ją podsycić i rozniecić w mych oczach inny żar niż żar miłości. Trwałem jakiś czas w milczeniu. Manon zauważyła mój stan; ujrzałem że drży, zapewne z obawy. Nie mogłem znieść tego widoku. „Ach, Manon, rzekłem tkliwie, niewierna, wiarołomna Manon! od czegóż mam zacząć skargi? Widzę cię bladą i drżącą; i jestem jeszcze tak czuły na twą najmniejszą przykrość, że lękam się dręczyć cię mymi wyrzutami. Ale, powiadam ci, Manon, zdrada twoja przeszyła mi serce; takich ciosów nie zadaje się kochankowi, o ile nie chce się jego śmierci. To już trzeci raz, Manon; pamiętam dobrze, nie podobna zapomnieć takich godzin. Twoją rzeczą rozważyć w tej chwili co chcesz czynić, moje smętne serce nie przeniesie tak okrutnej próby; czuję, że już omdlewa, gotowe pęknąć



z bólu. Już nie mogę, dodałem padając na krzesło; ledwie mam siłę mówić i utrzymać się na nogach".

Nie odpowiedziała nic, ale, kiedy usiadłem, osunęła się na ziemię i oparła na mych kolanach głowę, kryjąc twarz w mych dłoniach. Czułem, iż zwilżyła je łzami. Bogowie! jakież wzruszenia miotały mym sercem! „Ach! Manon, Manon! podjąłem z westchnieniem, późno dawać mi łzy, skoro stałaś się przyczyną mej śmierci. Udajesz smutek, którego nie możesz czuć. Największą udręką dla ciebie jest z pewnością moja obecność, która zawsze była przeszkodą dla twych przyjemności. Otwórz oczy, przyjrzyj się kim jestem! nie wylewa się tak czułych łez dla nieszczęśliwca którego się zdradziło i którego się rzuca tak okrutnie".

Całowała mi ręce, nie zmieniając postawy.

„Niewierna Manon, ciągnąłem, dziewczyno niewdzięczna i bez sumienia, gdzież twoje przyrzeczenia, zaklęcia? Kochanko po stokroć lekka i okrutna, coś uczyniła z miłością, którą przysięgałaś dziś jeszcze? Sprawiedliwe nieba! dodałem, więc tak drwi sobie z was niewierna, wezwawszy was uroczyście na świadków? Tak więc krzywoprzysięstwo spotyka się z nagrodą? Rozpacz i opuszczenie są zapłatą przywiązania i wiary!"

Słowa te obudziły we mnie tak smutne wspomnienia, że mimo woli uroniłem kilka łez. Manon spostrzegła to po zmianie głosu. Przerwała wreszcie milczenie. „Muszę być bardzo winna, rzekła smutno, skoro mogłam cię przyprawić o tyle bólu i wzruszeń; ale niech mnie niebo skarze, jeślim chciała być niewierną lub jeśli miałam zamiar nią zostać!".

Słowa te zdały mi się tak pozbawione rozsądku i dobrej wiary, że nie mogłem się wstrzymać aby nie wybuchnąć. „Wstrętna obłuda!! krzyknąłem; widzę jaśniej niż kiedykolwiek że jesteś hultajką i zdrajczynią. Teraz dopiero poznaję twój nędzny charakter. Żegnaj, nikczemna, dodałem wstając; wolę umrzeć tysiąc razy, niż znać cię jeszcze. Niech mnie niebo skarze, jeśli cię zaszczycę najlżejszym spojrzeniem. Zostań z nowym kochankiem, kochaj go, nienawidź mnie, wyrzecz się honoru, rozumu; drwię z tego, wszystko mi już obojętne".

Wybuch ten przeraził ją tak, iż, wciąż klęcząc w pobliżu krzesła z którego wstałem, patrzała na mnie drżąc i nie śmiejąc oddychać. Uczyniłem kilka kroków ku drzwiom, odwracając głowę i nie odrywając oczu od Manon. Ale trzeba by stracić wszelkie uczucia ludzkości, aby być z kamienia wobec tylu uroków.

Byłem tak daleki od tej barbarzyńskiej siły, iż, przerzucając się w drugą ostateczność, zwróciłem się do Manon lub raczej skoczyłem ku niej bez zastanowienia. Wziąłem ją w ramiona, obsypałem tysiącem pocałunków; przepraszałem, mówiłem że jestem brutal, niegodny tego szczęścia aby być kochanym przez istotę taką jak ona.

Zmusiłem ją by siadła; ukląkłszy obok, zaklinałem aby mnie wysłuchała. Co tylko namiętny kochanek może wymyślić pełnego szacunku i tkliwości, wszystko to zamknąłem w niewielu słowach. Błagałem aby powiedziała że mi przebacza. Okoliła mi szyję ramionami, mówiąc że to ona potrzebuje mojej dobroci, aby mogła próbować zatrzeć w mej pamięci zgryzoty jakie mi sprawiła; boi się zaś, że nie będzie mi w smak to co powie aby się usprawiedliwić. „Przede mną! przerwałem, och, nie chcę usprawiedliwień, uznaję wszystko. Nie do mnie należy żądać rachunku od ciebie; zbyt rad jestem, zbyt szczęśliwy, jeśli droga Manon nie odbierze mi swej tkliwości! Ale, dodałem nie pamiętając ani o miejscu w jakim się znajdowaliśmy ani o naszym położeniu, ty, wszechpotężna Manon, ty która stanowisz do woli o mym cierpieniu i radości, teraz, skorom ci dość okazał mą skruchę, czy wolno mi mówić o mym smutku i udręce? Czy dowiem się od ciebie, co ma się dziś stać ze mną i czy bez ratunku chcesz podpisać wyrok na swego kochanka spędzając noc z jego rywalem?"

Zastanawiała się chwilę nad odpowiedzią.

„Mój kawalerze, rzekła odzyskawszy spokój, gdybyś od razu wypowiedział się tak jasno, byłbyś sobie oszczędził wielu wzruszeń a mnie bardzo przykrej sceny. Skoro strapienia twoje płyną tylko z zazdrości, byłabym je uleczyła natychmiast, ofiarując się iść za tobą, choćby na kraj świata. Ale wyobraziłam sobie, że to list, jaki napisałam do ciebie pod okiem pana de G*** M***, i ta



dziewczyna którąśmy ci posłali, stały się przyczyną twej zgryzoty. Sądziłam, że mogłeś wziąć mój list za szyderstwo, tę zaś dziewczynę (wyobraziwszy sobie, że to ja ją posyłam) za dowód iż wyrzekam się ciebie dla pana de G*** M***. To właśnie wprawiło mnie przed chwilą w pomieszanie; mimo całej mej niewinności, czułam że pozory są przeciw mnie. Chcę wszakże, ciągnęła, abyś był mym sędzią, skoro ci wytłumaczę, jak się rzeczy miały".

Opowiedziała wszystko, co zaszło od chwili spotkania z G*** M***, który oczekiwał jej w tym domu. Przyjął ją w istocie jak królowę. Pokazał całe mieszkanie, cudowne wykończeniem i smakiem. Wypłacił jej dziesięć tysięcy franków w jej własnym saloniku, nie licząc klejnotów, wśród których znajdował się naszyjnik i bransolety z pereł, te same które dostała niegdyś od starego

G*** M***. Następnie zaprowadził ją do jadalni, gdzie zastała wspaniały podwieczorek: przedstawił jej służbę, nakazując uważać odtąd Manon za panią domu; pokazał karocę, konie i inne podarki; po czym zaproponował partię pikiety w oczekiwaniu wieczerzy.

„Wyznaję, ciągnęła, iż przepych ten zrobił na mnie wrażenie. Przyszło mi na myśl, że szkoda by było pozbawiać nas za jednym zamachem tylu dostatków, zadowalając się zgarnięciem dziesięciu tysięcy franków i kosztowności. Pomyślałam, że oto mamy w ręku los i że moglibyśmy żyć przyjemnie na koszt pana de G*** M***.

Zamiast proponować teatr, umyśliłam wybadać mego wielbiciela co do twej osoby, rozpatrzyć się czy byłoby nam łatwo się widywać, w razie gdyby rzeczy obróciły się po mojej myśli. Przekonałam się, że posiada dość szerokie pojęcia w tej mierze. Spytał co myślę o tobie i czy nie żal mi było cię rzucić. Odparłam, że jesteś tak miły i postępowałeś ze mną tak szlachetnie, iż nie byłoby naturalne abym cię miała nienawidzić. Przyznał, że również szacuje cię wysoko i rad by zachować twą przyjaźń.

Pragnął wiedzieć, w jaki sposób, wedle mego rozumienia, przyjmiesz tę ucieczkę, zwłaszcza kiedy się dowiesz że znajduję się w jego rękach. Odparłam, iż miłość nasza trwa od tak dawna, że miała czas ostygnąć nieco; znajdujesz się poza tym w nieświetnych stosunkach, może tedy ta strata nie będzie ci wielkim nieszczęściem, gdyż zwolni cię od ciężaru. Dodałam, iż będąc przekonana, że zachowasz się spokojnie, opowiedziałam ci po prostu że udaję się do Paryża dla paru sprawunków; zgodziłeś się i, przybywszy ze mną do miasta, nie zdawałeś się nadto zaniepokojony gdy cię opuściłam."

Gdybym przypuszczał, rzekł G*** M***, że kawaler byłby skłonny żyć ze mną bez urazy, pierwszy jestem gotów ofiarować mu swoje usługi i przyjaźń". Upewniłam, że, o ile cię znam, z pewnością przyjmiesz wdzięcznym sercem tę grzeczność; zwłaszcza, dodałam, gdyby ci chciał dopomóc w twoich interesach, które są w wielkim nieładzie od czasu jak się poróżniłeś z rodziną. Przerwał, upewniając iż gotów jest oddać ci wszelkie usługi i że, gdybyś nawet chciał szukać szczęścia w innej miłości, przekazałby ci ładną kochankę, którą świeżo dla mnie opuścił.

Pochwaliłam — ciągnęła Manon — tę myśl, aby jeszcze lepiej uśpić podejrzenia. Utwierdzając się w zamiarze, szukałam jeno sposobu uprzedzenia cię o tym, w obawie abyś nie przestraszył się zbytnio nie zastawszy mnie wieczór w umówionym miejscu. W tej intencji, podsunęłam myśl, aby ci posłać nową kochankę jeszcze tego wieczora. Dzięki temu, zyskiwałam sposobność napisania do ciebie; musiałam uciec się do tego podstępu, w nadziei iż G*** M*** zostawi mnie samą przez chwilę.

Rozśmiał się z mego projektu, zawołał lokaja, i, spytawszy czy może natychmiast odnaleźć jego dawną kochankę, wysłał go na poszukiwanie. Wyobrażał sobie, że trzeba ci ją będzie wysłać do Chaillot; objaśniłam, iż, rozstając się z tobą, przyrzekłam znaleźć się w teatrze, lub też, gdybym z jakiej przyczyny nie mogła się tam udać, miałeś mnie oczekiwać w karecie na rogu; lepiej tedy będzie tam posłać ci ową dziewczynę, choćby dla tego aby nie dać ci czekać na zimnie całą noc. Rzekłam jeszcze, że należałoby też napisać słówko o tej zamianie, którą inaczej trudno ci będzie zrozumieć. Zgodził się; ale trzeba mi było pisać w jego obecności; strzegłam się tedy tłumaczyć zbyt jasno.

Oto, rzekła Manon, jak rzeczy się miały. Nie ukrywam ci nic, ani mego postępowania ani planów. Zjawiła się owa młoda dziewczyna: wydała mi się ujmująca. Ponieważ nie wątpiłam że mój brak sprawi ci przykrość, szczerze życzyłam aby ci mogła posłużyć przez chwilę za rozrywkę; jedyna bowiem wierność której pragnę od ciebie, to wierność serca. Byłabym uszczęśliwiona, gdybym mogła posłać ci Marcela; ale nie podobna mi było dopaść chwili, aby mu dać zlecenie z jakim chciałam go wyprawić". Zakończyła wreszcie, mówiąc w jakim kłopocie znalazł się G*** M*** otrzymawszy bilecik pana de T***. „Wahał się, rzekła, czy mnie ma opuścić, i upewnił że wróci niebawem: to jest przyczyna, że oglądam cię tu nie bez niepokoju i że okazałam zdziwienie na twój widok".

Słuchałem tego opowiadania bardzo cierpliwie. To pewna, że znajdowałem w nim wiele okrutnych i upokarzających szczegółów; zamiar bowiem złamania wiary ze strony Manon był tak jasny, że nie starała się go nawet pokrywać. Nie mogła się spodziewać, że G*** M*** zostawi ją przez całą noc jak westalkę. Z nim zatem miała zamiar tę noc spędzić. Cóż za wyznanie dla kochanka! Mimo to, uważałem, iż po części ja sam byłem powodem win Manon, najpierw przez to że objaśniłem ją o uczuciach G*** M***, a następnie przez słabość z jaką zgodziłem się ślepo na jej zuchwałe plany. Zresztą, dzięki właściwości mego charakteru, wzruszyła mnie jej prostota i ten szczery, poczciwy sposób, w jaki opowiadała mi wszystko, aż do najbardziej dla mnie drażniących szczegółów. Grzeszy bez złej intencji, mówiłem sobie; jest lekka i nierozważna, ale prosta i szczera. Dodajmy, że sama miłość wystarczała, aby mi zamknąć oczy na wszystkie błędy ukochanej. Byłem zbyt szczęśliwy nadzieją

uprowadzenia jej rywalowi jeszcze tego wieczora. Rzekłem wszakże: „A noc, z kim miałaś zamiar spędzić?" To pytanie, wypowiedziane boleściwym tonem, zakłopotało Manon. Odpowiedziała mętnymi wykrętami.

Zlitowałem się nad jej zmartwieniem i, przerywając, wyraziłem nadzieję, że się uda ze mną w tejże chwili. „Bardzo chętnie, rzekła; ale to znaczy, że nie godzisz się z moim planem? — Ha! czyż to nie dość, odparłem, że godzę się ze wszystkim coś uczyniła dotąd? — Jak to! nie zabierzemy nawet dziesięciu tysięcy franków? odparła: dał mi je, są moje". Radziłem rzucić wszystko i myśleć jedynie o tym aby się oddalić; mimo bowiem że bawiłem z Manon ledwie pół godziny, obawiałem się powrotu pana de G*** M***. Nalegała wszelako tak usilnie, abym jej nie kazał opuszczać domu z próżnymi rękami, iż sądziłem, że należy w czymś ustąpić, uzyskawszy tyle z jej strony.

W chwili gdyśmy się gotowali do ucieczki, usłyszałem pukanie do bramy. Nie wątpiłem, że to G*** M***. Wzburzony samą myślą o tym, rzekłem do Manon, że o ile G*** M*** pokaże się w tej chwili, przypłaci to życiem. W istocie, zbyt byłem jeszcze wzburzony, aby zapanować nad sobą na jego widok. Marceli położył kres mej udręce, przynosząc bilecik, który odebrał: był od pana de T***.

Donosi mi, iż, ponieważ G*** M*** udał się do domu po pieniądze, korzysta z jego nieobecności aby mi udzielić bardzo zabawnego pomysłu; sądzi mianowicie, że nie mógłbym się milej zemścić na rywalu, niż zjadając jego wieczerzę i spędzając noc w tym łóżku, które on miał zamiar zająć z mą kochanką. Rzecz — pisał de T*** — jest łatwa, o ile bym miał paru ludzi dość śmiałych, aby zatrzymać pana G*** M*** w drodze i unieruchomić go

do rana; co do siebie, przyrzeka zabawić go jeszcze co najmniej godzinę.

Pokazałem Manon bilecik i opowiedziałem jaką sztuczką posłużyłem się aby dotrzeć do niej. Pomysł zarówno mój jak i pana de T*** wydał się jej cudowny. Uśmieliśmy się do syta: ale, kiedy wspomniałem o ostatniej części figla jak o prostym żarcie, ujrzałem ze zdumieniem, że Manon, zachwycona planem, upiera się przy wykonaniu go do końca. Na próżno pytałem, gdzie, wedle niej, mam znaleźć na poczekaniu ludzi zdolnych zaskoczyć pana de G*** M*** i przytrzymać go pod strażą. Odparła, że trzeba bodaj próbować, skoro pan de T*** zapewnia nam jeszcze godzinę; jako odpowiedź wreszcie na inne zarzuty, rzekła że bawię się w tyrana i że nie chcę jej zrobić najmniejszej przyjemności. Projekt ten oczarował ją jak jeszcze nic w życiu. „Zjesz jego kolację, powtarzała; prześpisz się w jego łóżku, nazajutrz zaś, skoro świt, uwieziesz mu kochankę i pieniądze. To się nazywa pomścić się za ojca i za syna".

Ustąpiłem naleganiom Manon, mimo tajemnych przeczuć, które zdawały się wróżyć katastrofę. Wyszedłem, w zamiarze uproszenia paru gwardzistów, z którymi Lescaut zapoznał mnie był swego czasu, aby wzięli na siebie przytrzymanie pana de G*** M***. Zastałem tylko jednego; zuch ledwie usłyszał o co chodzi, zaręczył mi za powodzenie; żądał jedynie dziesięciu pistoli dla trzech żołnierzy, których postanowił użyć. Prosiłem aby działał jak najśpieszniej. Zebrał ich w niespełna kwadrans. Czekałem u niego; skoro wrócił ze wspólnikami, zaprowadziłem ich na róg ulicy, którą G*** M*** musiał wracać. Zaleciłem, aby nie czynili mu krzywdy, ale aby go trzymali do siódmej rano, pod silną strażą, dającą pewność że się nie wymknie. Dowódca małej armii rzekł, że za-

prowadzi więźnia do swego pokoju, zmusi go aby się rozebrał lub nawet położył do łóżka, gdy on sam i trzech zuchów spędzą noc na kartach i kieliszku.

Zostałem z nimi do chwili gdym ujrzał zbliżającego się; wówczas cofnąłem się w ciemny kąt, aby być świadkiem niezwykłej sceny. Gwardzista, z pistoletem w garści, wytłumaczył panu de G*** M*** grzecznie, że nie godzi na jego życie ani pieniądze; ale, jeśli będzie się wzdragał bodaj trochę, lub wyda najlżejszy krzyk, czeka go kulka w łeb. G*** M***, widząc iż groźba poparta jest obecnością trzech żołnierzy, nie stawił oporu. W moich oczach uprowadzili go jak baranka.

Pośpieszyłem natychmiast do Manon. Aby usunąć w oczach służby wszelkie podejrzenie, rzekłem wchodząc, że nie mają co czekać swego pana; zaszły mianowicie ważne sprawy, które zatrzymały go mimo chęci: polecił mi wtedy, abym przeprosił pannę Manon w jego imieniu i dotrzymał jej towarzystwa, co przyjąłem jako wielki zaszczyt, wobec tego iż chodzi o tak piękną damę. Manon poparła zręcznie moje plany. Siedliśmy do stołu; jak długo usługiwali nam obcy lokaje, zachowaliśmy poważne miny. Wreszcie, odprawiwszy służbę, spędziliśmy jeden z najbardziej uroczych wieczorów w życiu. Szepnąłem po kryjomu Marcelemu, aby poszukał dorożki i kazał woźnicy znaleźć się pod bramą o szóstej. Udałem, że się żegnam z Manon koło północy; ale wśliznąwszy się zręcznie przy pomocy Marcelego z powrotem, gotowałem się zająć łóżko pana de G*** M***, tak jak zająłem miejsce jego przy stole.

Przez ten czas, zły los pracował nad tym, aby nas zgubić. Tonęliśmy w rozkoszy a miecz wisiał już nad naszymi głowami. Nitka, która go trzymała, miała się

zerwać; ale, aby lepiej przedstawić wszystkie okoliczności naszej zguby, trzeba wyjaśnić jej przyczynę.

Kiedy gwardziści zaatakowali młodego G*** M***, miał on z sobą służącego. Chłopiec, przerażony przygodą pana, umknął co tchu, a pierwszym jego krokiem było uprzedzić starego G*** M*** o tym co zaszło.

Tak groźna wiadomość musiała go poruszyć do głębi. Miał tylko jednego syna, toteż wziął rzecz z żywością niezwykłą jego wiekowi. Starał się przede wszystkim wydostać ze służącego wiadomość o wszystkim co młody pan robił całe popołudnie: czy się pokłócił z kim, czy brał udział w czyjejś zwadzie, czy zachodził do podejrzanego domu. Służący, który sądził że pan jego znajduje się w ciężkim niebezpieczeństwie, uważał za właściwe nie taić niczego. Wyśpiewał wszystko co wiedział o miłości do Manon i wydatkach dla niej: opowiedział jak młody G*** M*** spędził czas do dziewiątej, okoliczności w jakich wyszedł, oraz nieszczęście które go spotkało za powrotem. Wystarczyło to, aby obudzić w starym podejrzenie, iż sprawa syna ma źródło w intryżce miłosnej. Mimo iż było co najmniej wpół do jedenastej, nie wahał się udać do naczelnika policji. Prosił, aby wydano rozkazy straży nocnej; i, poprosiwszy o jeden oddział dla eskorty, pośpieszył sam na ulicę gdzie przytrzymano młodego G*** M***. Przetrząsnął wszystkie miejsca gdzie spodziewał się go znaleźć; wreszcie, nie mogąc odkryć śladów, kazał się prowadzić do domu jego kochanki, wyobrażając sobie że go już może zastanie z powrotem.

Miałem się kłaść do łóżka, kiedy zjawił się stary G*** M***. Drzwi były zamknięte; nie słyszałem tedy pukania do bramy. Wszedł w towarzystwie dwóch strażników i, po daremnych usiłowaniach dowiedzenia się



o losach syna, powziął chęć zobaczenia się z jego kochanką, aby od niej uzyskać słowo objaśnienia. Wchodzi, wciąż w asyście straży. Mieliśmy się właśnie kłaść do łóżka; G*** M*** otwiera drzwi i widokiem swoim ścina nam krew w żyłach. „Boże! to stary G*** M***", rzekłem do Manon. Skoczyłem do szpady; nieszczęściem zaplątała się w ubraniu. Strażnicy, którzy spostrzegli mój gest, zbliżyli się natychmiast aby mi ją wydrzeć. Człowiek w koszuli nie jest zdolny do oporu; odjęli mi wszystkie środki obrony!

G*** M***, mimo iż zaskoczony, przypomniał sobie niebawem moje rysy, jeszcze łatwiej przyszło mu poznać Manon. „Czy to złuda? rzekł surowo, czy to nie kawalera des Grieux i Manon mam przed sobą?" Byłem tak wściekły ze wstydu i bólu, że nie dałem żadnej odpowiedzi. Zdawał się toczyć jakiś czas w głowie rozmaite myśli;

po czym rozpalony nagłym gniewem, wykrzyknął: „Ha! nędzny! pewien jestem że zabiłeś mi syna!" Ta zniewaga dotknęła mnie żywo. „Stary zbrodniarzu, odparłem z dumą, gdybym kogo miał zabić w twej rodzinie, zacząłbym z pewnością od ciebie. — Trzymajcie go dobrze, rzekł do strażników; musi mi powiedzieć co wie o synu; każę go powiesić, jeśli mi nie wyśpiewa natychmiast co z nim zrobił. — Ty mnie każesz powiesić? odparłem. Bezwstydny! tobie podobnych miejsce jest na szubienicy. Dowiedz się, że pochodzę z krwi szlachetniejszej i czystszej niż twoja. Tak, dodałem, wiem co się trafiło twemu synowi, i, jeśli mnie będziesz drażnił, każę go udusić nim słońce wejdzie, tobie zaś przyrzekam ten sam los rychło po nim".

Popełniłem nieostrożność, wyznając że wiem gdzie jest młody G*** M***, ale nadmiar oburzenia stał się przyczyną tej niedyskrecji. Stary zawołał natychmiast jeszcze kilku stróżów bezpieczeństwa, którzy czekali pod drzwiami, i kazał wziąć pod straż całą służbę. „Hoho, panie kawalerze, rzekł drwiąco; wiesz gdzie mój syn i każesz go udusić, powiadasz? Bądź pewien, że zrobimy z tym porządek". Uczułem natychmiast błąd, jaki popełniłem.

Zbliżył się do Manon, która siedziała na łóżku płacząc; rzucił jej parę ironicznych komplementów na temat władzy jaką ma nad ojcem i synem, oraz dobrego użytku jaki z niej czyni. Stary lubieżnik położył jej poufale rękę na ramieniu. „Strzeż się jej tknąć, krzyknąłem, nie ma nic tak świętego, co by cię zdołało ocalić z moich rąk". Wyszedł, zostawiając w pokoju strażników, którym polecił aby się nam kazali szybko ubrać.

Nie wiem, jakie były wówczas jego zamiary. Może bylibyśmy uzyskali wolność, odsłaniając miejsce pobytu

syna. Ubierając się, rozmyślałem czyby to nie była najlepsza droga; ale, jeśli takie było usposobienie starego G*** M*** w chwili gdy nas opuszczał, zmieniło się bardzo skoro wrócił. Poszedł wziąć na spytki służących Manon, których strażnicy przytrzymali. Nie mógł się dowiedzieć niczego od świeżo przyjętej służby; ale usłyszawszy, że Marceli był u nas już poprzednio, postanowił, nastraszywszy go, pociągnąć chłopca za język.

Był to chłopak wierny, ale nierozgarnięty i prosty... Pamięć o tym co uczynił aby uwolnić Manon ze Szpitala, złączona z postrachem jaki budził w nim G*** M***, wywarła takie wrażenie na jego słabym umyśle, iż wyobraził sobie że zawiodą go prosto na szubienicę lub na tortury. Przyrzekł wyjawić wszystko, byle mu darowano życie. G*** M*** wysnuł stąd wniosek, iż sprawy nasze musiały zawierać coś poważniejszego niż dotąd przypuszczał. Ofiarował Marcelemu nie tylko życie, ale i pieniądze w zamian za szczere zeznania.

Nieszczęśnik opowiedział nasz cały plan, o którym nie wahaliśmy się otwarcie mówić w jego obecności, ponieważ miał w nim udział. Prawda, iż zupełnie nieświadom był zmian jakim poddaliśmy nasze zamysły w Paryżu; ale, wyjeżdżając z Chaillot, uprzedziliśmy go o głównych zarysach przedsięwzięcia i o roli jaką miał w nim odegrać. Oświadczył tedy, że zamiarem naszym było wystrychnąć na dudka młodego G*** M*** i że Manon miała otrzymać, albo już otrzymała, dziesięć tysięcy franków, które, wedle naszego zamysłu, nie wróciłyby nigdy do spadkobierców tego szlachetnego domu.

Po tym odkryciu, wzburzony starzec wpadł czym prędzej do pokoju. Przeszedł, nic nie mówiąc, do alkierza, gdzie bez trudu przyszło mu znaleźć pieniądze i klejnoty. Wrócił z rozpłomienioną twarzą i pokazując to co

ośmielał się nazywać „naszą grabieżą", obsypał nas obelgami. Podsunął przed oczy Manon sznur pereł i bransolety. „Poznajesz? rzekł z drwiącym uśmiechem. Nie pierwszy raz przyszło ci je oglądać. Te same, na honor! Trafiły ci do smaku, ślicznotko, nic mnie to nie dziwi. Biedne dzieci! dodał, miluchni są oboje, ale troszkę rzezimieszki..."

Serce wzdymało mi się wściekłością, kiedym słuchał tych obelg. Aby być wolnym na chwilę, byłbym dał... sprawiedliwe nieba! czegóż nie dałbym za to! Wreszcie zadałem sobie ten gwałt, aby odpowiedzieć ze spokojem który był jedynie szczytem wściekłości: „Skończmy, panie, te zuchwałe drwiny. O co chodzi? proszę, co zamierzasz z nami uczynić? — Chodzi o to, panie kawalerze, odparł, że natychmiast przewiozą cię do Châtelet. Jutro, za dnia, jaśniej będziemy się mogli rozpatrzeć w naszych sprawach: mam nadzieję, iż wreszcie uczynisz mi tę łaskę aby mi powiedzieć gdzie jest mój syn".

Nie potrzebowałem wiele się namyślać, aby zrozumieć, że znaleźć się raz w murach Châtelet, było dla nas rzeczą straszliwie niebezpieczną. Mimo całej dumy, uznałem, iż trzeba się ugiąć pod brzemieniem losu i ugłaskać mego najokrutniejszego wroga, aby coś zyskać uległością. Poprosiłem grzecznie aby zechciał wysłuchać mnie chwilę. „Sądzę sprawiedliwie moje postępowanie, rzekłem; wyznaję, iż młodość popchnęła mnie do wielkich błędów; dość one pana drasnęły abyś miał prawo się użalać. Ale, jeśli pan znasz potęgę miłości, jeśli możesz osądzić co cierpi nieszczęśliwy młodzieniec, któremu odbierają wszystko co kocha, zdołasz może wybaczyć mi niewinną zemstę, lub bodaj uznasz że dosyć jestem ukarany hańbą jaka mnie spotkała. Nie trzeba ani więzienia, ani kaźni, aby mnie zmusić do wyjawienia gdzie jest

pański syn. Jest w bezpiecznym miejscu; nie było moim zamiarem ani jemu czynić krzywdę, ani pana obrażać. Jestem gotów wskazać miejsce gdzie spędza spokojnie noc, jeśli mi pan uczyni tę łaskę aby nam wrócić wolność".

Stary tygrys, daleki od tego aby się wzruszyć, odwrócił się ze śmiechem: rzucił jedynie kilka słów, aby dać poznać, iż świadom jest w najdrobniejszych szczegółach naszego planu. „Co się tyczy syna, dodał brutalnie, znajdzie się na czas, skoroś go nie zamordował. Odwieźcie ich do Châtelet, rzekł do strażników, i pilnujcie aby wam pan kawaler nie uciekł. To wyga, który wydobył się już od św. Łazarza".

Wyszedł i zostawił mnie w stanie który łatwo sobie wyobrazić. „O Boże! wykrzyknąłem, przyjmę z poddaniem wszystkie twoje ciosy; ale żeby ten łotr śmiał się obchodzić ze mną tak brutalnie, to mnie pogrąża w ostatecznej rozpaczy!" Strażnicy nalegali, abyśmy nie kazali czekać im dłużej. Mieli karetę u bramy. Podałem rękę Manon, aby ją sprowadzić. „Pójdź, droga królowo, rzekłem, pójdź poddać się nieubłaganej srogości losu. Może spodoba się niebu odmienić go kiedyś".

Jechaliśmy w jednej karecie: wtuliła się w moje ramiona. Od chwili zjawienia się G*** M***, nie usłyszałem z jej ust ani jednego słowa, ale, skoro znalazła się ze mną, obsypała mnie tysiącem czułości, wyrzucając sobie iż stała się przyczyną mego nieszczęścia. Upewniłem, że nie będę się nigdy skarżył na los, póki ona nie przestanie mnie kochać.

„Nie nade mną trzeba się użalać, ciągnąłem: kilka miesięcy więzienia nie przeraża mnie wcale, i zawsze będę wolał Châtelet od św. Łazarza; ale o ciebie, najdroższa, niepokoi się me serce. Cóż za los dla tak uroczej

istoty! O, niebo, jak możesz tak surowo obchodzić się z najdoskonalszym swym dziełem! Czemu nie urodziliśmy się oboje z przymiotami zgodnymi z naszym nędznym stanem? Otrzymaliśmy dowcip, smak, uczucia: niestety! jakże smutny czynimy z nich użytek, gdy tyle dusz podłych i godnych naszego losu cieszy się łaską fortuny!"

Refleksje te przepełniały mnie boleścią; ale były one niczym w porównaniu z tymi które tyczyły przyszłości. Umierałem z lęku o Manon. Była już raz w Szpitalu: gdyby nawet wydostała się zeń prawą drogą, wiedziałem że takie nawroty mają groźne następstwa. Byłbym chciał wynurzyć jej swoje obawy, a lękałem się że ją zanadto przestraszę. Drżałem o nią, nie śmiejąc ostrzec jej o niebezpieczeństwie. Tuliłem ją, wzdychając, w ramionach, aby ją upewnić bodaj o swej miłości, jedynym uczuciu jakiemu ośmielałem się dać wyraz. „Manon, rzekłem: powiedz szczerze, będziesz mnie zawsze kochała?" Odpowiedziała, iż boli ją wielce me powątpiewanie. „Dobrze więc, odparłem, nie wątpię; mając tę pewność, gotów jestem stanąć do walki ze wszystkimi. Odwołam się do mej rodziny aby się wydostać z Châtelet; a cała moja krew nie przyda się snać na nic, jeśli nie wydobędę cię natychmiast po mym uwolnieniu".

Przybyliśmy do więzienia: umieszczono każde z nas oddzielnie. Cios ten był mi mniej bolesny, bo go przewidziałem. Poleciłem Manon odźwiernemu, oznajmiając że jestem z dobrej rodziny i przyrzekając sowite wynagrodzenie. Uściskałem drogą kochankę przy rozstaniu; zakląłem ją aby się nie poddawała rozpaczy i nie obawiała się niczego, póki ja żyję. Nie byłem bez pieniędzy: część oddałem Manon; z tego co mi zostało, wypłaciłem odźwiernemu, za miesiąc z góry, znaczną pensję za nią

i za siebie. Hojność moja wywarła dobry skutek. Umieszczono mnie w przyzwoicie umeblowanym pokoju i upewniono że Manon otrzyma podobny.

Zająłem się natychmiast środkami przyśpieszenia mej wolności. Było jasne, że sprawa nie przedstawia cech zbrodni. Przypuściwszy nawet, iż, przy pomocy zeznań Marcelego, stwierdzono by zamiar kradzieży, wiedziałem że nie karze się za proste chęci. Postanowiłem co rychlej napisać do ojca, z prośbą aby zechciał przybyć. Jak już wspomniałem, mniej wstydziło mnie być w Châtelet, niż u św. Łazarza. Zresztą, mimo że zachowałem cały szacunek dla powagi ojcowskiej, wiek i doświadczenie znacznie zmniejszyły mą lękliwość. Napisałem tedy; nie czyniono trudności aby wysłać z Châtelet mój list; ale byłbym sobie oszczędził fatygi, gdybym wiedział że ojciec przybędzie nazajutrz.

Otrzymał list, który pisałem doń tydzień wprzódy. Ucieszył się niezmiernie; jednak, mimo zapewnień moich o chęci odmiany, nie sądził aby można na tym poprzestać. Postanowił przybyć, aby się upewnić własnymi oczami o poprawie i zastosować się do szczerości mej skruchy. Przybył nazajutrz. Pierwszą osobą, do której się udał, był Tybercy; tam bowiem prosiłem by skierował odpowiedź. Nie mógł się dowiedzieć od niego ani o mym mieszkaniu ani o ostatnim zajściu: dowiedział się jedynie o głównych przygodach, od czasu jak się wymknąłem z Saint-Sulpice. Tybercy mówił bardzo pochlebnie o postanowieniach jakie objawiłem w czasie ostatniego widzenia. Wyraził nadzieję, iż — o ile sądzi — wyzwoliłem się zupełnie od Manon; bądź co bądź, dziwił się, że przeszło tydzień nie daję o sobie wiadomości. Ojciec był mniej naiwny; zrozumiał że jest coś, co uchodzi przenikliwości Tybercego. Rozwinął tyle starań aby odnaleźć moje ślady, iż w dwa dni po przybyciu dowiedział się że jestem w Châtelet.

Jeszcze przed odwiedzinami ojca, których bynajmniej nie spodziewałem się tak rychło, przyjąłem wizytę naczelnika policji, lub, aby nazwać rzeczy po imieniu, przeszedłem jego śledztwo. Uczynił mi nieco wymówek, ale nie były one twarde ani upokarzające. Rzekł łagodnie, iż ubolewa nad mymi wybrykami; że postąpiłem nieroztropnie, narażając sobie człowieka takiego jak G*** M***; łatwo wprawdzie poznać, że w mojej sprawie więcej było lekkomyślności i nierozwagi niż występku, ale, bądź co bądź, już drugi raz staję przed jego trybunałem: spodziewał się — rzekł — iż, otrzymawszy kilkomiesięczną lekcję u św. Łazarza, nabiorę więcej rozsądku.

Uszczęśliwiony że mam do czynienia z wyrozumiałym sędzią, udzieliłem wyjaśnień w sposób tak pełen szacunku i godności, iż pan naczelnik wydał się bardzo rad z mych odpowiedzi. Rzekł, że nie powinienem zbytnio oddawać się zmartwieniu i okazał się skłonny załagodzić sprawę przez wzgląd na mą młodość i urodzenie. Odważyłem się polecić jego względom Manon, oddając najwyższe pochwały jej wrodzonej słodyczy i dobroci. Odpowiedział, śmiejąc się, że jeszcze jej nie widział, ale że mu ją przedstawiono jako osobę nader niebezpieczną. Słowo to obudziło tak żywo mą tkliwość, iż rzekłem tysiąc najgorętszych słów w obronie biednej kochanki; nie mogłem się wstrzymać, aby nie uronić kilku łez. Pan naczelnik nakazał aby mnie odprowadzono do pokoju. „O miłości, miłości! wykrzyknął poważny dygnitarz patrząc za mną, nigdyż nie będzie ci dane pogodzić się z rozsądkiem?"

Pogrążony w smutnych myślach, dumałem nad tą rozmową, kiedym usłyszał szelest otwieranych drzwi: był to ojciec. Mimo że powinienem był spodziewać się tego widoku, oczekiwałem bowiem ojca jedynie o kilka dni później, uczułem tak gwałtowny wstrząs, jak gdyby mi się otchłań rozstąpiła pod nogami. Uściskałem go z oznakami niezmiernego pomieszania. Usiadł naprzeciw mnie; długi czas upłynął a żaden z nas nie otworzył ust.

Stałem przed ojcem ze spuszczonymi oczami i odkrytą głową: „Usiądź, kawalerze, rzekł poważnie; usiądź. Dzięki rozgłosowi twej rozpusty i hultajstwa, dowiedziałem się o miejscu twego pobytu. Jest to przywilej darów które posiadasz, że nie mogą one zostać w ukryciu: idziesz do sławy niezawodną drogą. Spodziewam się, iż kresem jej będzie niebawem miejsce publicznej kaźni: w istocie, doczekasz się tej chwały, iż cały świat będzie cię tam podziwiał".

Nie odpowiedziałem nic. Ciągnął dalej: „Jakże nieszczęśliwy jest ojciec, który, kochając tkliwie syna i nie oszczędziwszy niczego aby zeń zrobić uczciwego człeka, doczeka się w końcu hultaja który go okrywa hańbą! Można się pocieszyć po nieszczęściach losu: czas zaciera je, zgryzota się zmniejsza; ale gdzie znaleźć lekarstwo przeciw złemu które zaostrza się z każdym dniem, przeciw wybrykom występnego syna, który zatracił wszelkie poczucie honoru? Nie odpowiadasz nic, niegodziwy! dodał: patrzcie mi tę udaną pokorę i ten pozór obłudnej słodyczy; czyżby go nie można wziąć, w istocie, za najzacniejszego chłopaka pod słońcem?"

Mimo iż zmuszony uznać że zasłużyłem poniekąd na te zniewagi, zdało mi się jednak iż ojciec posuwa je zbyt daleko. Sądziłem, że mam prawo wyrazić otwarcie mą myśl.

„Upewniam cię, ojcze, rzekłem, iż skromność z jaką stoję przed tobą nie jest bynajmniej udana: jest to naturalna postawa syna, świadomego swej powinności i przejętego nieskończonym szacunkiem dla ojca, zwłaszcza ojca którego obraził. Nie mam również pretensji uchodzić za nieskazitelnego. Wiem, że jestem godny twych wyrzutów; ale, zaklinam cię, ojcze, abyś zaprawił je nieco dobrocią i nie odnosił się do mnie jak do ostatniego z ludzi; nie zasłużyłem na to. To miłość, wiesz o tym, stała się przyczyną mych błędów. Nieszczęsna namiętność! Niestety! czy nie znasz, ojcze, jej siły? czy możebne jest, aby twoja krew, która jest źródłem mojej, nie zaznała nigdy tych samych pożarów? Miłość uczyniła mnie zbyt czułym, zbyt namiętnym, zbyt wiernym, może zbyt uległym wobec uroczej kochanki: oto moje zbrodnie. Czy widzisz w nich coś, co by cię okrywało hańbą? Ach, drogi ojcze, dodałem tkliwie, nieco litości dla syna, który zawsze był pełen szacunku i przywiązania, który nie wyrzekł się, jak to przypuszczasz, czci i obowiązku i który godzien jest współczucia tysiąc razy więcej, niż mógłbyś sobie, ojcze, wyobrazić". Kończąc te słowa, uroniłem parę łez.

Serce ojcowskie jest arcydziełem natury; włada w nim ona, można rzec, z upodobaniem i sama powoduje jego sprężynami. Ojciec, który był człowiekiem wielkich zalet umysłu i serca, uczuł się tak wzruszony obrotem jaki umiałem dać memu usprawiedliwieniu, że nie zdołał ukryć tej odmiany: „Pójdź, drogi kawalerze, rzekł, pójdź mnie uściskać; żal mi cię". Uściskałem go. Przygarnął mnie w sposób, który pozwolił mi odgadnąć co się dzieje w jego sercu. „Ale jak wziąć się do tego, dodał, aby cię stąd wydobyć? Przedstaw mi wszystkie swoje sprawy, nie ukrywając niczego".

Ogółem wziąwszy, nie było w mych dziejach nic, co by mogło być bezwarunkowo hańbiące, przynajmniej biorąc rzecz miarą młodych ludzi pewnego świata. Mieć kochankę nie uchodzi za hańbę w epoce w której żyjemy, tak samo jak nieco zręczności w kartach; wyznałem tedy szczegółowo ojcu moje życie. Za każdym błędem do któregom się przyznawał, skwapliwie dołączałem jakiś głośny przykład, aby zmniejszyć własną winę.

„Żyję z kochanką, rzekłem, nie związany z nią obrzędem małżeństwa: książę de *** utrzymuje dwie w oczach całego Paryża; pan de *** posiada jedną od dziesięciu lat i jest jej wierny tak, jak nigdy nie był wierny własnej żonie. Trzy czwarte najzacniejszych ludzi we Francji poczytuje sobie za zaszczyt takie związki. Oszukiwałem w kartach: margrabia de *** i hrabia *** stąd tylko czerpią swe dochody; książę de *** i diuk de *** są hersztami rycerzy tegoż samego zakonu". Co do zamiarów na sakiewkę obu panów G*** M***, mogłem równie łatwo udowodnić że nie jestem w tym bez wzorów; ale zostało mi zbyt wiele honoru, abym nie miał potępić samego siebie, wraz ze wszystkimi na których przykład mógłbym się powołać; prosiłem jeno ojca aby przebaczył tę słabość dwom namiętnościom, które mną poruszały: zemście i miłości.

Spytał, czy nie mógłbym mu udzielić wskazówek co do najszybszej drogi uzyskania wolności, o ile można bez rozgłosu. Opowiedziałem, jak życzliwie odniósł się do mnie pan naczelnik policji. Jeśliby miały zajść jakieś trudności, rzekłem, mogłyby one pochodzić jedynie ze strony panów de G*** M***; toteż sądzę, iż byłoby właściwe, ojcze, gdybyś raczył potrudzić się do nich". Przyrzekł.

Nie śmiałem prosić ojca za Manon. Nie był to z mej strony brak odwagi, ale obawa iż mogę tym obudzić jego gniew i zrodzić zamiar zgubny dla nas obojga. Dziś jeszcze nie wiem, czy ta obawa nie stała się przyczyną mych największych nieszczęść, przez to że przeszkodziła mi wybadać ojca i starać się go przychylniej nastroić dla mej nieszczęsnej kochanki. Byłbym może jeszcze raz zbudził jego litość i przeciwdziałał wrażeniom, jakich zbyt łatwo miał mu udzielić stary G*** M***. Kto wie? zły los byłby może unicestwił wszystkie me wysiłki; ale mógłbym wtedy winić za me nieszczęścia jedynie los i moich wrogów.

Rozstawszy się ze mną, ojciec udał się do pana de G*** M***. Zastał go w towarzystwie syna, któremu ów gwardzista wrócił uczciwie wolność. Nigdy nie dowiedziałem się szczegółów rozmowy; ale łatwo mogłem nabrać o nich pojęcia po strasznych skutkach. Udali się razem (mówię o obu ojcach) do naczelnika policji, którego prosili o dwie łaski: jedną, aby mnie wypuścił z Châtelet; drugą, aby zamknął Manon na resztę życia lub wysłał ją do Ameryki. W owym czasie, zaczynano przesiedlać wiele osób bez określonego zajęcia do Missisipi. Naczelnik policji dał słowo, że wyprawi Manon pierwszym okrętem.

Pan de G*** M*** i ojciec przyszli natychmiast razem, przynosząc wiadomość o mym uwolnieniu. Pan de G*** M*** znalazł dla mnie parę uprzejmych słów dla zatarcia przeszłości; powinszowawszy mi szczęścia posiadania takiego ojca, kazał mi się przeprosić za rzekomą zniewagę, wyrządzoną jego rodzinie, oraz podziękować że się przyczynił do mego uwolnienia.

Wyszliśmy razem, nie rzekłszy słowa o mej kochance. Nie śmiałem nawet odźwiernym wspomnieć o niej

w obecności tych panów. Niestety! moje smutne zlecenia byłyby zupełnie daremne: okrutny rozkaz przyszedł równocześnie z rozkazem mego oswobodzenia. Biedną dziewczynę zaprowadzono w godzinę później do Szpitala, gdzie dołączono ją do kilku nieszczęśliwych istot skazanych na tęż samą karę.

Ponieważ ojciec kazał mi się udać z sobą do domu w którym zamieszkał, była blisko szósta wieczór, gdy zdołałem się wymknąć aby wrócić do Châtelet. Miałem jedynie zamiar przesłać ubóstwianej jakiś posiłek i polecić ją jeszcze odźwiernemu; nie spodziewałem się bowiem, bym mógł uzyskać widzenie. Nie miałem również czasu zastanowić się jeszcze nad sposobami uwolnienia jej.

Kazałem sprowadzić odźwiernego. Hojność moja i uprzejme obejście zjednały mi jego życzliwość; zaczął mówić o losie Manon, jak o czymś w czym serdecznie współczuje ze mną. Nie zrozumiałem zrazu o czym mówi. Upłynęła dobra chwila, nim zdołaliśmy się porozumieć. Wreszcie, widząc że nie wiem o niczym, oznajmił mi o wyroku, którego brzmienie, dziś jeszcze kiedy go panu powtarzam, przejmuje mnie dreszczem zgrozy.

Wiadomość ta raziła mnie jak gromem. Osunąłem się wpółzemdlony i z tak bolesnym uciskiem serca, iż, w chwili utraty przytomności sądziłem, że już na zawsze wyzwalam się od życia. Nawet po odzyskaniu zmysłów zostało mi to uczucie. Wodziłem kolejno oczami po pokoju i zwracałem je na siebie, aby się upewnić, czy, na moje nieszczęście, liczę się jeszcze do żyjących. To pewna, iż, gdybym szedł za naturalnym popędem który każe nam szukać wyzwolenia od cierpień, nic nie mogło mi być ponętniejsze niż śmierć: tak wielka była moja rozpacz i przygnębienie. Mimo .to, cudem miłości, odnalazłem niebawem dość siły aby podziękować niebu że wróciło mi świadomość i rozum. Śmierć moja byłaby zbawcza jedynie dla mnie; Manon potrzebowała mego życia: trzeba ją oswobodzić, ratować, pomścić! Przysiągłem obrócić na to wszystkie siły.

Odźwierny udzielił mi ratunku, jakiego mógłbym oczekiwać od najlepszego przyjaciela. Przyjąłem jego starania z wdzięcznością. „Ach, rzekłem, współczujesz więc memu cierpieniu! Cały świat mnie opuszcza, własny ojciec staje się najokrutniejszym prześladowcą, nikt nie ma dla mnie litości! Ty jeden, w tym przybytku barbarzyństwa i przemocy, ty okazujesz współczucie najnieszczęśliwszemu z ludzi!" Odźwierny radził mi nie pokazywać się na ulicy, zanim ochłonę nieco. „Puść mnie, puść, odparłem; ujrzysz mnie z powrotem wcześniej niż mniemasz. Przygotuj najciemniejszą celę: dołożę starań aby na nią zasłużyć".

W istocie, pierwszą mą myślą było sprzątnąć obu G*** M*** i naczelnika policji; następnie, napaść na Szpital zbrojną ręką, ściągnąwszy kogo tylko się da ku pomocy. Własnego ojca ledwie zdołałbym oszczędzić w zemście, tak słusznej w moich oczach; odźwierny nie taił bowiem, że on i stary G*** M*** są sprawcami mej zguby.

Ale, skorom uczynił kilka kroków i skoro powietrze ochłodziło mnie nieco, wściekłość ustąpiła miejsca rozsądniejszym uczuciom. Śmierć wrogów byłaby słabą korzyścią dla Manon a naraziłaby mnie na to, żeby mi odjęto wszelki sposób śpieszenia jej z pomocą. Miałżebym zresztą uciec się do nikczemnego morderstwa? Jakaż inna droga mogłaby zadość uczynić mej zemście? Zebrałem całą przytomność, aby pracować przede wszystkim nad uwolnieniem Manon, odkładając resztę do chwi-

li w której to przedsięwzięcie będzie uwieńczone powodzeniem.

Miałem już bardzo niewiele pieniędzy; rzecz nader ważna, od której należało zacząć. Znałem jedynie trzy osoby zdolne mi użyczyć pomocy: pana de T***, ojca i Tybercego. Małe były widoki abym mógł coś uzyskać od tych dwóch, pierwszego zaś wstyd mi było nużyć natręctwem. Ale względy tak niewiele ważą, kiedy się jest w rozpaczy. Udałem się natychmiast do seminarium, nie troszcząc się o to czy mnie poznają. Kazałem zawołać Tybercego. Pierwsze jego słowa przekonały mnie, że nie zna jeszcze mych ostatnich przygód. Pierwotnie miałem zamiar rozczulić go i obudzić jego współczucie: ta okoliczność kazała mi odmienić drogę. Wspomniałem ogólnie o radości jaką sprawił mi widok ojca; następnie prosiłem aby mi pożyczył nieco pieniędzy, tłumacząc, iż pragnę, przed wyjazdem, umorzyć pewne długi których wolałbym nie wyjawiać ojcu. Ofiarował natychmiast swą sakiewkę. Z sześciuset franków jakie zawierała, wziąłem pięćset. Chciałem wystawić skrypt; ale Tybercy był zbyt szlachetny aby go przyjąć.

Rozstawszy się z zacnym przyjacielem, udałem się do pana de T***. Wobec niego nie kładłem maski. Przedstawiłem swoje nieszczęścia i zgryzoty; znał je do najdrobniejszych szczegółów, przez to samo iż starał się śledzić dalszy ciąg przygody młodego G*** M***. Wysłuchał mnie wszelako z serdecznym współczuciem. Skorom go poprosił o radę co do Manon, rzekł smutno że nie widzi żadnej niemal nadziei. Poza jakąś niespodzianą pomocą nieba, trzeba — jego zdaniem — uważać rzecz za straconą. Zachodził umyślnie do Szpitala od czasu do czasu gdy przywieziono tam Manon; nie mógł uzyskać nawet widzenia się z nią. Rozkazy naczelnika policji brzmiały

najsurowiej; na domiar zaś niedoli, nieszczęsna gromadka, do której przyłączono Manon, już pojutrze miała ruszyć w drogę.

Byłem tak zgnębiony, że mógł do mnie mówić godzinę, nie byłbym przerwał. Pan de T*** dodał, że nie starał się odwiedzić mnie w Châtelet, sądząc iż, skoro nikt nie będzie świadom naszej przyjaźni, łatwiej zdoła mi pośpieszyć z pomocą. Skorom opuścił więzienie, nie wiedział, ku swemu zmartwieniu, gdzie mnie szukać; pragnął mnie zaś rychło zobaczyć, aby udzielić jedynej rady która przedstawia pewne widoki. Rada jest dość niebezpieczna, dlatego prosi mnie o dyskrecję. Chodziło po prostu o to, aby zebrać kilku zuchów, dość śmiałych aby zaatakować stróżów Manon, skoro opuści miasto pod strażą. Nieoszacowany de T*** nie czekał aż sam zacznę mówić o swoich kłopotach. „Oto sto pistolów, rzekł podając sakiewkę, może ci się przydadzą. Oddasz mi, skoro losy twoje obrócą się pomyślniej". Dodał iż, gdyby wzgląd na własną reputację pozwolił mu wziąć w tym czynny udział, ofiarowałby mi ramię i szpadę.

Ta niezwykła szlachetność wzruszyła mnie do łez. Wyraziłem wdzięczność z całym zapałem, na jaki pozwalała mi moja zgryzota. Spytałem, czy niczego nie można by uzyskać u naczelnika policji. Rzekł, iż sam myślał o tym, ale uważa tę drogę za bezcelową. O łaskę taką nie można prosić bez ważnego powodu, nie widzi zaś na jakiej racji mógłby się oprzeć, aby wystąpić jako pośrednik wobec tak poważnego dygnitarza. Jeżeliby można mieć nadzieję z tej strony, to jedynie wpływając na pana de G*** M*** i ojca i skłaniając ich aby wyprosili u naczelnika odwołanie wyroku. Ofiarował się dołożyć starań u młodego G*** M***, mimo iż uważał w nim pewien chłód od czasu ostatniej przygody, w której rola

pana de T*** wydała mu się niejasna. Wreszcie, zachęcił mnie, abym, z mej strony, niczego nie zaniedbał dla poruszenia ojcowskiego serca.

Nie było to lekkie. Nie mówię jedynie o trudnościach tkwiących w samym przedmiocie prośby; i z innych przyczyn trzeba mi było lękać się spotkania z ojcem. Jak wspomniałem, wymknąłem się wbrew rozkazom i miałem zamiar nie wracać już, od czasu jak się dowiedziałem o losie Manon. Miałem powody obawiać się, iż ojciec zatrzyma mnie wbrew woli i zechce sam mnie odwieźć na wieś. Swego czasu brat użył tego sposobu. Prawda że teraz byłem starszy; ale wiek jest słabym argumentem wobec siły. Wreszcie znalazłem drogę, która ratowała mnie od niebezpieczeństwa: wezwać ojca w jakieś publiczne miejsce, oznajmiając się pod innym nazwiskiem. Natychmiast wprowadziłem w czyn ten zamiar. Pan de T*** udał się do młodego G*** M***, ja zaś do Luxemburgu, skąd posłałem do ojca z wiadomością, że jeden z dobrych znajomych pragnie go widzieć. Obawiałem się, że nie zechce przybyć, było późno: zjawił się jednak w asystencji lokaja. Poprosiłem aby się udał ze mną w aleję, gdziebyśmy mogli być sami. Uszliśmy jakie sto kroków bez słowa: ojciec domyślał się zapewne, że tyle ostrożności musi mieć na celu jakiś ważny zamiar. Czekał co powiem, ja zaś układałem w myśli mą przemowę.

Wreszcie, otwarłem usta. „Ojcze, rzekłem z drżeniem, okazałeś się dobrym rodzicem. Obsypałeś mnie łaskami, przebaczyłeś bezmiar błędów; toteż, niebo świadkiem, mam dla ciebie uczucia najtkliwszego i najpowolniejszego syna. Ale, zdaje mi się... srogość twoja... — Cóż moja srogość? przerwał ojciec, zniecierpliwiony tym wstępem. — Ach, ojcze, zdaje mi się, że srogość twoja

posunęła się za daleko wobec biednej Manon. Uległeś wpływowi pana de G*** M***. Nienawiść jego przedstawiła ci ją w najczarniejszych kolorach. Masz o niej najgorsze wyobrażenie. Tymczasem, jest to najsłodsza i najmilsza istota, jaka kiedykolwiek chodziła po ziemi. Czemuż niebo nie natchnęło cię chęcią ujrzenia jej na chwilę! Równie pewny jestem jej uroku, jak przekonany że i ciebie ująłby on za serce. Byłbyś przemówił w jej obronie; odtrąciłbyś knowania panów de G*** M***, ulitowałbyś się jej i mnie. Ach! pewien tego jestem. Serce twoje nie jest z głazu: dałbyś się zmiękczyć..."

Znowuż przerwał, widząc że wpadam w zapał. Spytał dokąd zmierzam. „Abyś mi wrócił życie, ojcze, rzekłem; życie, którego ciężaru nie zniosę ani chwili, gdy Manon odjedzie do Ameryki. — Nie, nie, rzekł surowo; wolę cię widzieć bez życia, niż bez cnoty i honoru. — Nie idźmyż więc dalej, wykrzyknąłem zatrzymując go; zabierz mi to wstrętne i nienawistne istnienie; w rozpaczy, w jaką mnie wtrącasz, śmierć będzie mi łaską. To dar, zaiste, godny ręki ojca.

— Dałbym ci to, na co zasługujesz, odparł. Niejeden ojciec nie czekałby tak długo, aby stać się twoim katem; nadmierna moja dobroć zgubiła cię".

Rzuciłem mu się do kolan: „Ach, ojcze, jeśli został jeszcze jaki ślad tej dobroci, nie zakamieniaj się przeciw mym łzom. Pomyśl, że jestem twym synem... Ach, wspomnij na mą matkę! Wszak kochałeś ją tak tkliwie! Czy byłbyś ścierpiał, aby ci ją wydarto? Broniłbyś jej do ostatniego tchu. Czyż inni również nie mają serca? Czy można stać się nieczułym barbarzyńcą, skoro się raz doświadczyło co tkliwość i ból?

— Nie mów mi o matce, odparł gniewnie; pamięć o niej podsyca jeszcze moje oburzenie. Twoje szaleń-

stwa byłyby jej kazały umrzeć z boleści, gdyby żyła dość długo aby je oglądać. Skończmy tę rozmowę, dodał; drażni mnie, a nie wpłynie na zmianę postanowień. Wracam do domu i nakazuję ci pójść za mną".

Suchy i twardy ton pozwolił mi zrozumieć że serce ojca jest nieugięte. Cofnąłem się o kilka kroków, w obawie aby nie zechciał mnie przytrzymać własnymi rękami. „Nie pomnażaj, rzekłem, ojcze, mej rozpaczy, zmuszając abym ci był nieposłuszny. Nie podobna mi udać się z tobą. Równym niepodobieństwem jest mi żyć, wobec srogości z jaką się ze mną obszedłeś: toteż żegnam cię, ojcze, na wieki. Śmierć moja, o której usłyszysz niebawem, dodałem smutno, obudzi może ojcowskie uczucia. — Wzdragasz się pójść ze mną? wykrzyknął gniewnie; idź więc, pędź ku zgubie. Żegnaj, niewdzięczny i zuchwały synu! — Żegnaj, odparłem w szale, żegnaj, ojcze okrutny i bez serca".

Wypadłem z ogrodu. Szedłem jak oszalały aż do domu pana de T***. Idąc, wznosiłem oczy i ręce ku górze, wzywając pomocy niebieskich. „O nieba! mówiłem, czy będziecie równie bezlitosne jak ludzie? Od was już tylko mogę spodziewać się pomocy!"

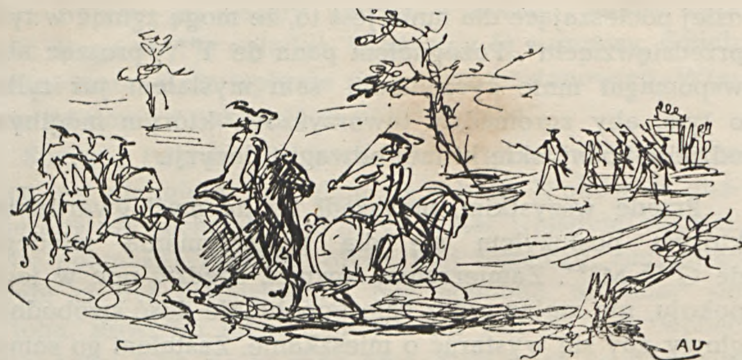
Pana de T*** nie zastałem w domu, ale doczekałem się go rychło. Misja jego nielepiej powiodła się niż moja; oznajmił mi to ze smutkiem. Młody G*** M***, mimo że mniej od ojca wściekły na Manon i na mnie, nie chciał niczego podjąć w naszej sprawie. Tłumaczył się obawą, jaką w nim samym budzi gniew mściwego starca, i tak już mocno wzburzonego na syna, któremu bardzo wziął za złe stosunki z Manon.

Pozostawała więc jedynie droga gwałtu, wedle planu pana de T***; skierowałem w tę stronę me nadzieje. „Są bardzo niepewne, rzekłem; ale najpewniejsze i najbardziej pocieszające dla mnie jest to, że mogę zginąć w tym przedsięwzięciu". Pożegnałem pana de T***, prosząc aby wspomagał mnie życzeniami; sam myślałem już tylko o tym, aby zgromadzić towarzyszów, którym mógłbym udzielić bodaj iskierki mej odwagi i decyzji.

Przede wszystkim, przyszedł mi na myśl gwardzista, którym posłużyłem się dla przytrzymania młodego de G*** M***. Zamierzałem również spędzić noc w jego pokoju, nie mając przez całe popołudnie dość swobodnej głowy aby się wystarać o mieszkanie. Zastałem go samego: ucieszył się, widząc że mi się udało wydostać z Châtelet. Ofiarował serdecznie usługi: wytłumaczyłem mu, w czym może mi być pomocny. Miał dość zdrowego rozsądku aby widzieć trudności; ale był zarazem na tyle rezolut, aby się pokusić o ich zwalczenie.

Spędziliśmy noc na roztrząsaniu mego planu. Wspomniał o trzech żołnierzach, którymi posłużył się w ostatniej potrzebie: rzekł, że to zuchy, na których można polegać. Pan de T*** podał mi dokładną liczbę strażników, którzy mieli towarzyszyć Manon; było ich tylko sześciu. Pięciu śmiałych i zdecydowanych ludzi wystarczało, aby napędzić strachu tym nędznikom, niezdolnym do zaszczytnej obrony, gdy mogą sobie oszczędzić walki tchórzostwem.

Ponieważ nie zbywało mi na pieniądzach, gwardzista poradził aby niczego nie oszczędzać. „Trzeba koni, rzekł, pistoletów i dla każdego po muszkiecie. Zakrzątnę się jutro koło tego. Trzeba będzie również cywilnych ubrań dla żołnierzy: baliby się puszczać w uniformie na taki interes". Dałem mu sto pistolów, otrzymanych od pana de T***; zużył je nazajutrz do szeląga. Trzej żołnierze pokazali mi się w swoim rynsztunku, starałem się ich za-



chęcić hojnymi przyrzeczeniami; aby zaś wzbudzić ich zaufanie, dałem każdemu po dziesięć pistolów.

Skoro nadszedł dzień ziszczenia planu, posłałem jednego z nich do Szpitala, iżby się własnymi oczami upewnił o chwili w której straż wyruszy ze swą ofiarą. Mimo iż ostrożność tę dyktował jedynie nadmiar niepokoju i przewidywania, okazało się że była nieodzowna. Opierałem się na fałszywych informacjach: w przekonaniu iż nieszczęsna gromadka ma wsiąść na statek w La Rochelle, byłbym próżno czatował przy gościńcu Orleańskim. Tymczasem, z raportu żołnierza, dowiedziałem się, że konwój ma się udać do Normandii, i że odjazd do Ameryki nastąpi z Havre-de-Grâce.

Pośpieszyliśmy natychmiast, każdy odmienną drogą, do bramy św. Honoriusza i zjechaliśmy się na skraju przedmieścia. Konie mieliśmy wypoczęte; niebawem też ujrzeliśmy sześciu strażników i dwa nędzne wehikuły, które widział pan w Passy przed dwoma laty. Widok ten omal nie odjął mi przytomności. „O losie, wykrzyknąłem, okrutny losie! użycz mi bodaj śmierci jeśli nie zwycięstwa!"

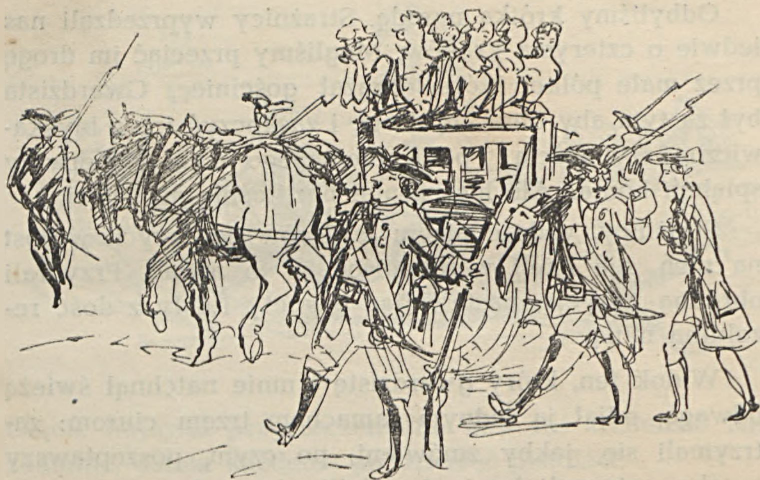
Odbyliśmy krótką naradę. Strażnicy wyprzedzali nas ledwie o czterysta kroków. Mogliśmy przeciąć im drogę przez małe pólko, które okrążał gościniec. Gwardzista był za tym aby obrać tę drogę i zaskoczyć ich z błyskawiczną szybkością. Pochwaliłem jego myśl i pierwszy spiąłem konia. Ale los zdeptał bezlitośnie me chęci.

Strażnicy, widząc pięciu jeźdźców pędzących wprost na nich, nie mieli wątpliwości, że to napad. Przybrali obronną pozycję, nastawiając bagnety i lufy z dość rezolutną miną.

Widok ten, który gwardzistę i mnie natchnął świeżą odwagą, odjął ją jednym zamachem trzem ciurom: zatrzymali się, jakby zmówieni; po czym, poszeptawszy z sobą, zatoczyli konie i puścili się pędem w stronę Paryża.

„Boże! rzekł gwardzista, równie jak ja zrozpaczony tą haniebną ucieczką, cóż teraz poczniemy? jest nas tylko dwóch". Straciłem głos z wściekłości i zdumienia. Zatrzymałem się, niepewny czy pierwszy pęd mej zemsty nie powinien by się obrócić na pościg tchórzów, którzy mnie opuścili. Patrzałem to za uciekającymi, to w stronę strażników; gdybym mógł się rozdwoić, byłbym ruszył na oba przedmioty mej wściekłości i pochłonął je równocześnie.

Gwardzista, który z mych obłędnych spojrzeń mógł odgadnąć moje uczucia, prosił bym posłuchał jego rady. „Jest nas dwóch, rzekł: szaleństwem byłoby atakować sześciu ludzi uzbrojonych niegorzej od nas i, jak się zdaje, gotowych do walki. Trzeba wracać do Paryża i starać się, z lepszym skutkiem, wyszukać nowych zuchów. Konwój z dwoma ciężkimi wozami nie może się posuwać zbyt szybko, dościgniemy ich jutro bez trudu".



Zastanowiłem się chwilę nad tą radą; ale, widząc ze wszech stron jedynie pobudki rozpaczy, powziąłem zamiar w istocie rozpaczliwy. Podziękowałem mu za usługi i, porzuciwszy myśl napaści, postanowiłem pokornie prosić strażników o przyjęcie mnie do swej gromady. Zamierzyłem towarzyszyć mojej Manon aż do Havre-de Grâce, następnie udać się z nią za morze. „Wszystko prześladuje mnie lub zdradza, rzekłem dzielnemu gwardziście; nie mogę liczyć na nikogo, nie spodziewam się już niczego, ani od losu ani od ludzi. Niedola moja dosięgła szczytu, pozostaje mi jedynie poddać się jej: zamykam oczy na wszelką nadzieję. Oby niebo mogło nagrodzić twą szlachetność! Żegnaj! pomogę złemu losowi w dziele zagłady, sam rzucając się w jej objęcia". Próżno starał się mnie nakłonić, abym wracał do Paryża. Prosiłem, aby mi pozwolił dopełnić zamiaru i aby mnie opuścił, z obawy by strażnicy nie myśleli że wciąż chcemy ich napadać.

Podjechałem ku nim zwolna i z twarzą tak zgnębioną, że nie mogli chyba dopatrzyć się niczego groźnego w tym zbliżeniu. Mimo to, trwali w obronnej postawie. „Uspokójcie się, panowie, rzekłem; nie przynoszę wojny, przychodzę błagać o łaskę". Prosiłem aby ruszyli dalej bez obawy i, jadąc obok, wyłuszczyłem, jakich względów od nich oczekuję.

Naradzili się z sobą, po czym naczelnik straży ozwał się w imieniu wszystkich. Odrzekł, iż rozkazy tyczące dozoru nad brankami są nader surowe; ale wydaję mu się tak godnym człowiekiem, że on i towarzysze gotowi są przymknąć oko; ale rozumie się, że to musi pociągnąć ofiary z mej strony. Zostało mi jeszcze około stu pistolów; powiedziałem otwarcie, jakie są moje zasoby. „Dobrze tedy, rzekł starszy, obejdziemy się z panem szlachetnie. Będzie to pana kosztowało tylko talara za godzinę: za tę cenę, masz prawo rozmawiać z dziewczyną która się panu najlepiej spodoba: to zwykła cena paryska".

Nie wspominałem dotąd o Manon, gdyż nie leżało w mym zamiarze aby znali mą namiętność. Wyobrażali sobie zrazu, że to jedynie kaprys młodego lamparta każe mi szukać rozrywki; ale skoro wymiarkowali że wchodzi w grę miłość, podnieśli bezwstydnie cenę. Kiedy ruszaliśmy z Mantes, gdzie spędziliśmy ostatni nocleg przed Passy, sakiewka moja okazała się próżna.

Mamż opowiadać, co było rozpaczliwym przedmiotem mych rozmów z Manon w tej drodze, lub jakie wrażenie uczynił na mnie jej widok, kiedy zyskałem pozwolenie zbliżenia się? Ach! czyliż słowa mogą oddać uczucia! ale wyobraź pan sobie mą biedną kochankę, skutą, rzuconą na garść słomy, z głową bezwładnie wspartą o ścianę wehikułu, z bladą twarzą zwilżoną strumieniem łez,

które wydzierały się spod powiek, mimo że oczy miała wciąż zamknięte. Nie miała nawet tyle ciekawości aby je otworzyć, kiedy usłyszała zgiełk przygotowań do odparcia napadu. Bieliznę miała brudną, podartą, delikatne rączki zsiniałe od zimna; słowem, to urocze zjawisko, ta twarz zdolna świat cały pogrążyć w bałwochwalstwie, jawiła oznaki niewysłowionej udręki.

Jakiś czas przyglądałem się jej, jadąc obok wozu. Nie wiedziałem co się ze mną dzieje; kilka razy omal nie runąłem z konia. Częste moje westchnienia i okrzyki ściągnęły wreszcie spojrzenia Manon. Poznała mnie; pierwszym jej ruchem było wyskoczyć aby pośpieszyć ku mnie; ale, przytrzymana łańcuchem, wróciła do dawnej pozycji.

Prosiłem strażników, aby się zatrzymali chwilę przez współczucie: zgodzili się przez chciwość. Zeskoczyłem z konia, aby się przysiąść do Manon. Była tak osłabiona, że długi czas nie mogła się odezwać ani poruszyć. Zraszałem tymczasem dłonie jej łzami, nie mogąc sam wyrzec słowa; byliśmy obrazem bezgranicznej rozpaczy. Skoro zdołaliśmy wreszcie przemówić, słowa nasze były niemniej smutne. Manon mówiła mało; zdawało się że wstyd i ból poraziły jej głos, był słaby i drżący.

Podziękowała mi, że nie zapomniałem o niej i że sprawiłem jej tę radość (dodała wzdychając), iż może mnie ujrzeć jeszcze raz i pożegnać się ze mną. Ale kiedym ją upewnił, że nic nie zdołałoby mnie od niej oderwać i że gotów jestem iść za nią na kraj świata, aby się nią opiekować, służyć jej, kochać ją i związać nierozerwalnie mój los z jej losem, biedną dziewczynę ogarnęło tak tkliwe i bolesne wzruszenie, że bałem się wręcz, aby go nie przypłaciła życiem. Wszystkie wrażenia duszy odbiły się w jej oczach. Utkwiła je we mnie

nieruchomo. Raz po raz otwierała usta, nie mając siły mówić. Od czasu do czasu, wymykało się jej jakieś słowo: podziw dla mej miłości, tkliwe skargi na nadmiar poświęcenia, wątpliwość czy mogła być na tyle szczęśliwa aby obudzić we mnie tak doskonałe uczucie, zaklęcia abym odstąpił od zamiaru, abym gdzie indziej szukał szczęścia, którego przy niej nie mogę się spodziewać.

Na przekór srogiemu losowi, znajdowałem szczęście w jej spojrzeniach, syciłem się dowodami jej przywiązania. Straciłem po prawdzie wszystko co ogół szanuje; ale byłem panem serca Manon, jedynego dobra na jakim mi zależało. Żyć w Europie czy w Ameryce, cóż mi znaczyło gdzie, skoro miałem pewność że będę tam szczęśliwy z ubóstwianą? Czyż wszechświat nie jest ojczyzną dla wiernych kochanków? Czyż nie znajdują w sobie wzajem ojca, matki, rodziny, przyjaciół, bogactw i szczęścia?

Jeśli co mnie niepokoiło, to obawa trudów i niedostatku jakie groziły Manon. Widziałem nas oboje w okolicy pustej i zamieszkałej przez dzikich. Pewien jestem, mówiłem sobie, że nie będą równie okrutni jak G*** M*** i jak mój ojciec. Pozwolą nam bodaj żyć w spokoju. Jeśli to, co o nich opowiadają, jest szczerą prawdą, trzymają się oni praw natury. Nie znają szału chciwości, któremu hołduje G*** M***, ani urojeń honoru które uczyniły mi wrogiem rodzonego ojca; nie będą niepokoić dwojga kochanków, skoro ujrzą ich równie prostymi jak oni. Byłem więc spokojny pod tym względem. Ale nie tworzyłem sobie romantycznych pojęć o codziennym życiu. Zanadto doświadczyłem, że istnieją braki wprost nie do zniesienia, zwłaszcza dla kobiety rozpieszczonej, przywykłej do wygód i dostatku. Byłem w rozpaczy, że daremnie wyczerpałem mą sakiewkę, a i tej resztce która mi została groziło że stanie się łupem strażników. Wy-



obrażałem sobie, iż, z niewielką kwotą, mógłbym liczyć nie tylko na utrzymanie się jakiś czas w Ameryce, gdzie pieniądz jest rzadki, ale nawet na chwycenie się tam jakiegoś rzemiosła zdolnego dać w rękę kawałek chleba.

Wzgląd ten przypomniał mi Tybercego, którego znajdowałem zawsze tak skorym do usług. Napisałem doń z pierwszego miasta po drodze. Nie przytoczyłem innego motywu, jak tylko naglącą potrzebę, która, wedle moich przewidywań, czeka mnie w Havre-de-Grâce, dokąd (wyznałem mu otwarcie) odprowadzam Manon. Zażądałem stu pistolów. „Prześlij je do Hawru, pisałem, na ręce naczelnika poczty. Widzisz, że to już ostatni raz nadużywam twej przyjaźni, i że, skoro mi wydzierają na zawsze nieszczęśliwą kochankę, nie mogę jej dać odjechać bez jakiejś pomocy, która by złagodziła jej los i mą śmiertelną żałość".

Skoro strażnicy poznali siłę mej namiętności, stali się coraz mniej przystępni. Zdwajając cenę najlżejszych faworów, doprowadzili mnie niebawem do ostatniej nędzy. Miłość zresztą nie pozwalała mi oszczędzać. Zapamiętywałem się od rana do wieczora przy Manon; już nie na godziny liczono mi czas, ale na całe dni. Wreszcie, skoro sakiewka wypróżniła się zupełnie, ujrzałem się pastwą sześciu nędzników, którzy obchodzili się ze mną z bezwstydnym zuchwalstwem. Był pan świadkiem tego w Passy. Spotkanie z panem było szczęśliwym momentem zesłanym przez los. Litość, obudzona widokiem mych mąk, była jedynym mym tytułem w pańskim szlachetnym sercu. Pomoc, której udzieliłeś mi tak szczodrze, pozwoliła mi dobić do Hawru, strażnicy zaś dotrzymali przyrzeczeń sumienniej niż się spodziewałem.

Przybyliśmy do Hawru. Pośpieszyłem na pocztę. Tybercy nie miał jeszcze czasu odpowiedzieć. Wywiedzia-

łem się dokładnie, którego dnia mogę spodziewać się listu. Poczta miała przybyć dopiero za dwa dni; osobliwym zaś zrządzeniem mego złego losu, okręt rozwijał żagle rano tegoż samego dnia, w którym oczekiwałem przesyłki. Nie podobna opisać mej rozpaczy. „Jak to! wykrzyknąłem, nawet i nieszczęście musi mnie wyróżniać!" Manon odparła: „Ach, czyż życie tak nędzne warte jest tylu zabiegów? Umrzyjmy w Hawrze, drogi kawalerze. Niechaj śmierć, od jednego zamachu, skończy nasze męki. Mamyż je wlec do nieznanego kraju, gdzie trzeba nam się lękać najstraszliwszej doli, skoro pobyt tam obrano mi za karę? Umrzyjmy, mówiła, albo przynajmniej mnie jednej zadaj śmierć i szukaj innego losu w objęciach szczęśliwszej kochanki. — Nie, nie, rzekłem: być nieszczęśliwym z tobą, to jeszcze dla mnie los godny zazdrości".

Słowa Manon przyprawiły mnie o drżenie. Widziałem, że nadmiar cierpień wyczerpał ją. Starałem się być spokojniejszy aby w niej stłumić złowrogie myśli. Postanowiłem trzymać się tego na przyszłość i przekonałem się rychło, że nic bardziej nie jest zdolne tchnąć odwagę w kobietę, co nieugiętość kochanego mężczyzny. Straciwszy nadzieję pomocy Tybercego, sprzedałem konia. Pieniądze jakie uzyskałem, połączone z tym co mi jeszcze zostało z pańskiej szczodrobliwości, dały siedemnaście pistolów. Obróciłem siedem na niezbędne potrzeby Manon, dziesięć zaś chowałem pilnie, jako podstawę naszego mienia i przyszłych nadziei. Dostałem się na okręt bez trudności. Szukano wówczas młodych ludzi, którzy by byli skłonni przyłączyć się do kolonistów. Podróż i życie dano mi bezpłatnie. Poczta do Paryża odchodziła nazajutrz; zostawiłem list do Tybercego. Musiał być wzruszający i musiał go roztkliwić, skoro zrodził w nim po-

stanowienie, zdolne wypłynąć jedynie z nieskończonych zasobów czułości i szlachetności wobec nieszczęśliwego przyjaciela.

Rozwinęliśmy żagle. Wiatr wciąż był pomyślny. Wyprosiłem u kapitana oddzielne miejsce dla nas dwojga. Był na tyle łaskaw, że zgodził się patrzeć na nas innym okiem niż na gromadkę naszych nędznych towarzyszy. Zaraz pierwszego dnia prosiłem go o chwilę rozmowy i, aby zyskać sobie nieco względów, odsłoniłem część swoich niedoli. Nie sądziłem bym się dopuścił hańbiącego kłamstwa, mówiąc, że jestem mężem Manon. Udał, że w to wierzy i użyczył nam swego poparcia. Przez cały czas przeprawy doznawaliśmy jego przychylności. Pamiętał abyśmy otrzymywali przyzwoite jadło, względy zaś, jakie nam okazywał, zjednały nam szacunek towarzyszy niedoli. Dokładałem starań, aby Manon nie cierpiała niewygody. Spostrzegła to: ta świadomość, połączona z odczuciem smutnego losu, na jaki wystawiłem się dla niej, czyniła ją tak tkliwą, tak oddaną, tak uważającą znowuż na moje potrzeby, iż, można rzec, istniało między nami ciągłe współzawodnictwo usług i miłości. Nie żałowałem Europy; przeciwnie, im bardziej zbliżaliśmy się do Ameryki, czułem jak moje serce odpoczywa i staje się spokojniejsze. Gdybym był pewny, że nie zbraknie nam tego co niezbędne, dziękowałbym losom za tak pomyślny obrót naszych niedoli.

Po dwumiesięcznej żegludze, przybyliśmy wreszcie do upragnionego brzegu. Na pierwszy rzut oka, kraina nie była powabna. Były to jałowe i niezamieszkałe pola, w których widać było ledwie nieco trzcin i parę drzew odartych przez wiatry. Żadnego śladu ludzi ani zwierząt. Skoro jednak kapitan kazał oddać parę strzałów, ujrzeliśmy niebawem gromadę mieszkańców Nowego Orlea-

nu, którzy zbliżyli się ku nam z oznakami radości. Nie spostrzegliśmy miasta, z tej strony bowiem zasłonięte jest pagórkiem. Przyjęto nas jak przybyszów z nieba.

Biedni zesłańcy obsypali nas tysiącem pytań o Francję i o rodzinne strony. Ściskali nas jak braci, jak towarzyszy, którzy mieli podzielić ich nędzę i samotność. Puściliśmy się z nimi ku miastu; ale zdumieliśmy się, widząc, że to, co nam wychwalano jako piękne miasto, było gromadką nędznych chałup. Zamieszkiwało je pięciuset do sześciuset ludzi. Dom gubernatora wyróżniał się nieco wysokością i położeniem. Był otoczony paroma szańcami, między którymi ciągnął się szeroki rów.

Przedstawiono nas samemu gubernatorowi. Rozmawiał długo z kapitanem; następnie, zwróciwszy się do nas, oglądał kolejno przybyłe dziewczęta. Było ich trzydzieści; zastaliśmy bowiem w Hawrze drugi konwój, który połączył się z naszym. Gubernator, przyjrzawszy się im dobrze, kazał wezwać odpowiednią ilość miejscowych młodych ludzi, którzy usychali w oczekiwaniu towarzyszki życia. Najładniejsze rozdał znamienitszym; resztę wyciągnięto losem. Do tej chwili nie odezwał się jeszcze do Manon; ale, dawszy znak innym by się oddalili, kazał nam zostać.

„Dowiaduję się od kapitana, rzekł, że jesteście małżeństwem, jak również że w drodze poznał was jako ludzi szlachetniejszego pokroju. Nie wchodzę w przyczyny, które spowodowały wasze nieszczęście; ale, jeżeli prawdą jest, że zasługujecie na tyle względów ile wróży wasza fizjognomia, nie oszczędzę niczego aby złagodzić wasz los, a wy nawzajem dostarczycie mi nieco rozrywki w tej dzikiej pustyni". Odpowiedziałem w sposób który mi się wydał najwłaściwszy aby utrwalić gubernatora w powziętej myśli. Dał rozkazy, aby nam przygotowano mieszkanie i zatrzymał nas na wieczerzę. Jak na naczelnika nieszczęśliwych wygnańców, wydał mi się bardzo uprzejmy. Póki byliśmy w liczniejszym towarzystwie, nie pytał o przyczyny naszej niedoli. Rozmowa była powszechna; mimo smutku, siliłiśmy się oboje przyczynić do jej ożywienia.

Wieczorem, gubernator kazał nas zaprowadzić do naszego domu. Zastaliśmy nędzną chałupę z desek i gliny, składającą się z paru izdebek na dole i stryszku nad nimi. Ustawiono tam sześć krzeseł i parę koniecznych sprzętów.

Manon zdawała się przerażona tak smutnym widokiem. Martwiła się tym o wiele więcej dla mnie niż dla siebie. Skoro znaleźliśmy się sami, siadła i zaczęła gorzko płakać. Próbowałem ją pocieszać; ale, kiedy mi wyznała, że trapi się tym jedynie przez wzgląd na mnie i że, w naszych wspólnych niedolach, myśli wyłącznie o tym co ja mam wycierpieć, starałem się udzielić jej mojej odwagi a nawet wesołości. „Na cóż miałbym się skarżyć, rzekłem; mam wszystko czego pragnę. Kochasz mnie, nieprawdaż? o jakimż innym szczęściu marzyłem? Zostawmy niebu troskę o naszą dolę. Nie wydaje mi się tak opłakana. Gubernator jest człowiek ludzki; okazał nam już pewne względy; nie pozwoli, aby nam zbrakło tego co niezbędne. Co się tyczy naszej chaty i jej niedostatku, mogłaś wszak zauważyć, że mało jest tu osób, które by posiadały lepsze. Zresztą, dodałem ściskając ją, ty, Manon, jesteś cudownym chemikiem, wszystko przemieniasz w złoto."

— Będziesz zatem najbogatszym człowiekiem pod słońcem, odparła; bo jeżeli nie było w świecie takiej miłości jak twoja, nie podobna też wzajem być tkliwiej kochanym. Patrzę na siebie trzeźwo, ciągnęła; czuję, że ni-

gdy nie zasługiwałam na twoje bezmierne przywiązanie. Sprawiłam ci zgryzoty, które jedynie dobroć twoja zdolna była przebaczyć. Byłam lekka i płocha; nawet kochając cię szalenie, jak zawsze cię kochałam, okazałam się niewdzięczną. Ale nie uwierzyłbyś, do jakiego stopnia ja się odmieniłam. Łzy moje, które widziałeś tak często od wyjazdu z Francji, ani razu nie płynęły z żalu nad własnym nieszczęściem. Przestałam je czuć w chwili gdy ty zacząłeś je dzielić. Płakałam jedynie z tkliwości i współczucia dla ciebie. Nie mogę się pocieszyć, iż bodaj przez chwilę mogłam ci sprawić zgryzotę. Nie przestaję sobie wyrzucać mej niestałości i roztkliwiać się nad tym na co się zdobyła twoja miłość dla nieszczęśnicy tak niegodnej ciebie, która wszystką krwią nie umiałaby spłacić (tu zalała się łzami) połowy zmartwień jakie ci sprawiła".

Łzy jej, słowa i ton uczyniły na mnie takie wrażenie, iż zdało mi się że serce mi omdlewa. „Uważaj, rzekłem, uważaj, droga Manon, nie mam dość siły aby znieść tyle przywiązania; nie przywykłem do takiego nadmiaru radości. O Boże! wykrzyknąłem, nie proszę cię już o nic. Jestem pewien serca Manon; jest takie, jakim go pragnąłem: to szczęście nie może już zaćmić się ani na chwilę; słodycz mego życia jest pewna. — Tak, odparła, o ile zależy ona ode mnie; i ja wiem również, gdzie mi szukać mego szczęścia".

Ułożyłem się do snu z tymi słodkimi myślami, które zmieniły mą chatkę w pałac królewski. Od tego dnia, Ameryka wydała mi się miejscem rozkoszy. „Do Nowego Orleanu trzeba śpieszyć tym, którzy chcą kosztować prawdziwych słodyczy, mówiłem często do Manon; tu można się kochać bez wyrachowania, bez zazdrości, bez

wahań. Rodacy nasi biegną tu szukać złota; nie wiedzą, że my znaleźliśmy o wiele cenniejsze skarby".

Pielęgnowaliśmy starannie przyjaźń gubernatora. Był na tyle dobry, że, w kilka tygodni po przybyciu, powierzył mi urząd, który wakował w zarządzie kolonii. Mimo iż urząd nie był zbyt wspaniały, przyjąłem go jak łaskę nieba; pozwolił mi pędzić życie nie będąc nikomu ciężarem. Przyjąłem służącego, a pokojową dla Manon. Nasz mały dobytek zaokrąglał się: byłem bardzo skrzętny, a Manon nie ustępowała mi w tym. Nie omijaliśmy żadnej sposobności oddania przysługi sąsiadom. Ta uczynność i uprzejmość zjednały nam zaufanie i sympatię kolonii; niedługo nabraliśmy takiego uważania, że uchodziliśmy po gubernatorze za pierwsze osoby.

Bogobojny tryb życia i spokój jakiegośmy kosztowali przywiodły nas nieznacznie do religii. Manon nie była nigdy bezbożna; ja również nie należałem do rzędu nicponiów, którzy czynią sobie chlubę z tego aby łączyć niewiarę z zepsuciem: miłość i młodość były źródłem naszych wybryków. Doświadczenia, któreśmy przeszli, starczyły za naukę lat; wywarły na nas ten sam wpływ co dojrzałość wieku. Rozmowy nasze, zawsze pełne statku, obudziły w nas smak miłości skojarzonej z cnotą. Ja pierwszy podsunąłem Manon tę myśl. Znałem jej zasady: była prosta i szczera we wszystkich uczuciach, co zawsze usposabia do cnoty. Wskazałem jej, że brak czegoś naszemu szczęściu: „Brakuje, rzekłem, przyzwolenia niebios. Mamy oboje dusze zbyt czyste i serca zbyt godne, aby żyć dobrowolnie w pogardzie obowiązków. Mogło to uchodzić we Francji, gdzie równie było nam niemożebne przestać się kochać, jak połączyć się na prawej drodze; ale w Ameryce, gdzie zależymy tylko od siebie, gdzie nie musimy liczyć się z narzuconymi prawami sta-

nu i przystojności, gdzie nas uważają nawet za małżeństwo, cóż stoi na przeszkodzie abyśmy się nim stali w istocie i uszlachetnili naszą miłość przez tak miłe religii śluby? Co do mnie, dodałem, nie ofiaruję ci nic nowego, oddając ci serce i rękę; ale gotów jestem ponowić tę ofiarę u stóp ołtarza".

Ujrzałem, iż słowa te przejęły Manon radością. „Czy uwierzyłbyś, odparła, że myślałam o tym tysiąc razy, od czasu jak jesteśmy w Ameryce? Obawa narażenia się tobie kazała mi zamknąć w sercu to pragnienie. Nie jestem dość zaślepiona, abym się uważała za godną miana twej małżonki. — Ach, Manon, odparłem, byłabyś wnet żoną samego króla, gdyby niebo dało mi się urodzić w koronie. Nie namyślajmy się: nie mamy przyczyn lękać się żadnej przeszkody. Pomówię z gubernatorem, wyznam żeśmy go oszukiwali. Zostawmy pospolitym kochankom, dodałem, obawę nierozerwalnych więzów; nie obawialiby się ich, gdyby byli pewni, jak my, iż zawsze będą dźwigać więzy miłości". Zostawiłem Manon uszczęśliwioną tym postanowieniem.

Jestem pewien, że nie ma na świecie uczciwego człowieka, który by, w danych okolicznościach, nie pochwalił tego com postanowił, dzierżony namiętnością której nie mogłem zwalczyć, a nękany wyrzutem którego nie godziło się dławić. Ale czy znajdzie się ten, kto by obwinił skargi moje o niesprawiedliwość, gdy jęczę nad srogością nieba, iż odrzuciło zamiar, powzięty jedynie dla podobania się jemu? Niestety, co mówię: odrzuciło? Ukarało go jak zbrodnię. Znosiło mnie cierpliwie tak długo, jak długo brnąłem na drodze występku; najsroższe zaś kary zachowało na chwilę, w której zwróciłem się ku cnocie. Obawiam się, iż zbraknie mi siły na dokoń-

czenie opowieści o najbardziej nieszczęsnym wydarzeniu pod słońcem.

Poszedłem tedy, jak postanowiliśmy z Manon, do gubernatora, aby prosić o pozwolenie małżeństwa. Byłbym się strzegł mówić o tym, i jemu i komukolwiek, gdybym się mógł spodziewać, iż kapelan, który był wówczas jedynym kapłanem w mieście, odda mi tę usługę bez zezwolenia władzy; ale, nie żywiąc nadziei aby zechciał przyrzec milczenie, postanowiłem działać otwarcie.

Gubernator miał siostrzeńca, nazwiskiem Synelet, którego bardzo kochał. Był to człowiek trzydziestoletni, dzielny, ale gwałtowny i porywczy. Był nieżonaty. Piękność Manon uderzyła go od chwili naszego przybycia, częsta zaś sposobność widywania jej do tego stopnia rozżarzyła jego namiętność, iż trawił się w milczeniu własnym ogniem. Mimo to, ponieważ, wraz z wujem i całym miastem, sądził, że jesteśmy istotnie małżeństwem, zapanował nad swą miłością do tego stopnia, że niczym nie zdradził się w tej mierze, a nawet, w okolicznościach w których miał sposobność oddać nam usługę, okazał nam wiele przyjaźni.

Zastałem go u wuja, skorom przybył do gubernatora. Nie miałem przyczyny robić tajemnicy z mego zamiaru; nie wahałem się zatem przedłożyć prośby w jego obecności. Gubernator przyjął mnie ze zwykłą dobrocią. Opowiedziałem mu część mojej historii, której wysłuchał z przyjemnością, i, skoro poprosiłem aby zechciał być obecny przy obrzędzie, był na tyle wspaniałomyślny iż wziął na siebie wszystkie koszta. Oddaliłem się uszczęśliwiony.

W godzinę potem, zjawił się u mnie kapelan. Myślałem że przyszedł udzielić jakichś wskazówek tyczących ceremonii, ale on, pozdrowiwszy mnie chłodno, oświad-



czył w krótkich słowach, że gubernator zabrania mi myśleć o ślubie i że ma inne widoki na Manon. „Na Manon? rzekłem ze śmiertelnym skurczem serca; jakież to widoki, księże kapelanie?" Odparł, iż, jak mi wiadomo, gubernator jest tu panem; skoro Manon przysłano z Francji do kolonii, on ma prawo nią rozrządzać. Nie uczynił tego dotąd, sądził bowiem że jest zamężna; ale, dowiedziawszy się z mych ust, że nią nie jest, uważa za właściwe dać ją panu Synelet, swemu siostrzeńcowi.

Gwałtowność moja wzięła górę nad rozsądkiem. Kazałem dumnie kapelanowi opuścić dom, przysięgając, iż gubernator, Synelet i całe miasto nie ośmielą się podnieść ręki na mą żonę czy kochankę, jak im się spodoba ją nazywać.

Uprzedziłem natychmiast Manon o złowrogim poselstwie. Doszliśmy do przekonania, że to Synelet, po mym odejściu, opanował wuja i że to był owoc z dawna obmyślanego planu. Byli silniejsi. Znajdowaliśmy się w Nowym Orleanie niby na pełnym morzu, oddzieleni olbrzymimi przestrzeniami od świata. Dokąd uciekać, w kraju nieznajomym, bezludnym, lub zamieszkałym przez dzikie zwierzęta i ludzi dzikich jak one? Szanowano mnie w mieście; ale nie mogłem się spodziewać abym zdołał poruszyć lud w naszej sprawie; trzeba by pieniędzy, ja byłem biedny. Zresztą wynik takiego buntu był mocno niepewny; gdyby się nam nie poszczęściło, klęska stawała się bez ratunku.

Toczyłem w głowie te myśli, dzieliłem się nimi z Manon, tworzyłem plany nie słuchając odpowiedzi; obierałem postanowienie, odrzucałem je aby się chwytać innego; mówiłem, odpowiadałem głośno sam sobie; słowem, byłem w stanie, którego bym nie umiał porównać z niczym. Manon wpatrywała się we mnie i oceniała z mego wzruszenia niebezpieczeństwo; drżąc więcej o mnie niż o samą siebie, serdeczna dziewczyna nie śmiała nawet ust otworzyć aby wyrazić swe obawy.

Po mnóstwie wahań i projektów, postanowiłem wreszcie iść do gubernatora i starać się go wzruszyć względami honoru oraz wspomnieniem mego szacunku i jego przyjaźni. Manon chciała się sprzeciwić; mówiła ze łzami: „Idziesz na śmierć; oni cię zabiją; nie ujrzę cię już; chcę umrzeć przed tobą". Trzeba było wielu wysiłków aby ją przekonać o konieczności mego kroku, jak również nakłonić do zostania w domu. Upewniłem, że mnie ujrzy z powrotem za chwilę. Nie wiedziała, jak i ja, że na nią miał spaść cały gniew niebios i wściekłość naszych wrogów.

Udałem się do zamku; gubernator był w towarzystwie kapelana. Aby go wzruszyć, zniżyłem się do błagań, które by mi kazały umrzeć ze wstydu, gdyby pobudka ich była inna. Użyłem argumentów, zdolnych wzruszyć serce każdego kto nie jest dzikim i okrutnym tygrysem.

Barbarzyńca dał mi na to wszystko tylko dwie repliki, które powtórzył sto razy. Manon, rzekł, zależy od niego; on zaś dał słowo siostrzeńcowi. Byłem zdecydowany powściągać się do ostatka; rzekłem tylko, iż, doświadczywszy tylekroć jego życzliwości, nie pomawiam go o to aby chciał mej śmierci, a raczej zgodzę się na śmierć, niż na stratę kochanki.

Byłem, po tej rozmowie, aż nadto przekonany, że nie mogę się niczego spodziewać po upartym starcu, który byłby tysiąc razy sprzedał duszę diabłu dla swego siostrzeńca. Mimo to, pragnąłem zachować do końca pozór umiarkowania, gotów, gdyby doszło do ostateczności, dać Ameryce jedną z najkrwawszych i najstraszliwszych scen jakie kiedykolwiek miłość ukazała światu.

Wracałem do domu, rozmyślając nad tym projektem, kiedy los, który snać chciał przyśpieszyć mą zgubę, sprowadził na mą drogę Syneleta. Synelet umiał wyczytać w oczach moje myśli. Wspomniałem, że był odważny; podszedł: „Czy nie mnie szukasz? zapytał. Wiem, że moje zamiary ranią cię; przewidywałem że trzeba nam będzie skrzyżować broń: chodźmyż się przekonać, kto będzie szczęśliwszy". Odparłem, że ma słuszność i że jedynie śmierć moja może zakończyć nasze spory.

Wyszliśmy jakie sto kroków za miasto. Szpady nasze zwarły się; zraniłem go i rozbroiłem prawie w jednej chwili. Był tak wściekły niepowodzeniem, że wzdragał się prosić mnie o życie i wyrzec się Manon. Miałem może prawo odebrać mu i jedno i drugie; ale szlachetna

krew nie umie sprzeniewierzyć się sobie. Rzuciłem mu szpadę. „Zacznijmy na nowo, rzekłem, i pomnij że to już bez pardonu". Natarł z nieopisaną furią. Muszę wyznać, że nie był zbyt mocny w robieniu bronią, przeszedłszy ledwie trzechmiesięczny kurs w Paryżu. Miłość prowadziła mój oręż. Synelet przeszył mi wprawdzie ramię, ale, niemal równocześnie, wymierzyłem mu cios tak skuteczny, że runął martwy u mych stóp.

Mimo radości jaką daje zwycięstwo po zaciętej walce, ogarnąłem natychmiast następstwa tej śmierci. Nie mogłem łudzić się nadzieją łaski ani odwłoki. Znając przywiązanie gubernatora do siostrzeńca, byłem pewien, że, z chwilą gdy dojdzie żałobna wiadomość, będzie ona wraz wyrokiem mojej śmierci. Mimo całej grozy położenia, nie była to największa przyczyna mego niepokoju. Manon, istnienie Manon, jej niebezpieczeństwo, pewność jej straty, mąciły umysł mój do tego stopnia, iż wprost ciemniało mi w oczach; ledwie mogłem rozpoznać gdzie jestem. Zazdrościłem losu Syneletowi: śmierć zdawała mi się jedynym lekarstwem na me niedole.

Rychło jednak, ta właśnie myśl obudziła mą przytomność i uczyniła mnie zdolnym do stanowczego kroku. „Jak to! krzyknąłem, umrzeć, aby skończyć własne męczarnie! jest zatem coś, czego lękam się więcej niż straty mego kochania? Ach, raczej ścierpmy najokrutniejsze ciosy, byle ratować mą kochankę: śmierć odłóżmy do chwili, gdy wszystko się okaże daremne".

Skierowawszy się ku miastu, wróciłem do domu, gdzie zastałem Manon wpółżywą z lęku i niepokoju. Obecność moja pokrzepiła ją. Nie mogłem taić straszliwej przygody. Padła mi bezprzytomna w ramiona, słysząc o śmierci Syneleta i o mej ranie; upłynął dobry kwadrans, nim zdołałem przywołać ją do życia.

Byłem sam wpółżywy: nie widziałem nadziei ocalenia. „Manon, co poczniemy? rzekłem, skoro odzyskała nieco sił; niestety, cóż poczniemy? Trzeba mi bezwarunkowo uchodzić. Chcesz zostać? Tak, zostań; ty możesz jeszcze być szczęśliwa; ja idę daleko, szukać śmierci z rąk dzikich, lub znaleźć ją w szponach leśnych zwierząt".

Podniosła się, mimo osłabienia; wzięła mnie za rękę, prowadząc ku drzwiom: „Uciekajmy razem, rzekła, nie traćmy ani chwili. Może ktoś znaleźć przypadkiem ciało: wówczas, nie czas już będzie ratować się ucieczką. — Ale, droga Manon, rzekłem oszołomiony, powiedz, dokąd podążyć? Czy widzisz jaki ratunek? Czy nie lepiej, abyś się starała żyć beze mnie i abym ja zaniósł dobrowolnie gubernatorowi mą głowę?"

Ofiara ta spotęgowała jedynie w Manon żądzę ucieczki: trzeba mi było śpieszyć za nią. Miałem jeszcze na tyle przytomności, aby, opuszczając dom, wziąć z sobą nieco wzmacniających napojów i nabrać do kieszeni zapasów ile mogłem unieść. Powiedzieliśmy służącym, bawiącym w sąsiednim pokoju, że wychodzimy na przechadzkę (było to co wieczór naszym obyczajem); po czym oddaliliśmy się z miasta, szybciej niżby wątłe siły Manon pozwoliły się spodziewać.

Mimo że nie widziałem przed sobą określonego celu, żywiłem wszelako dwie nadzieje, bez których byłbym wolał śmierć od niepewności losu dla Manon. Przez dziesięć miesięcy które spędziłem w Ameryce, obznajmiłem się z krajem na tyle, aby wiedzieć jak się obłaskawia dzikich. Nauczyłem się nawet nieco ich języka i obyczajów, a to przy rozmaitych sposobnościach w jakich się z nimi zetknąłem.

Obok tego smutnego środka, miałem jeszcze inne widoki. Myślałem o Anglikach, którzy, jak my, posiadają

kolonie w tych stronach. Ale przerażało mnie oddalenie: aby dotrzeć do ich siedzib, trzeba było wędrować kilka dni przez odludne stepy, oraz przebyć pasmo tak wysokich i stromych gór, iż droga przez nie zdawała się ciężka najsilniejszym i najbardziej zahartowanym. Żywiłem, mimo to, nadzieję że zdołamy skorzystać z tych dwóch środków; dzikich użyjemy jako przewodników, ci zaś doprowadzą nas do siedzib angielskich, gdzie znajdziemy bezpieczne schronienie.

Szliśmy tak długo, jak długo pozwoliły siły Manon, to znaczy około dwóch mil: ta niezrównana kochanka wzbraniała się wcześniej zatrzymać dla spoczynku. Wyczerpana wreszcie do ostateczności, wyznała, że nie podobna jej iść dalej. Była już noc: siedliśmy na równinie, nie znalazłszy bodaj drzewa, które by nas osłoniło. Pierwszym staraniem Manon było zmienić płótno, którym opatrzyła przed wyjściem mą ranę. Próżno sprzeciwiałem się jej; byłbym przygnębił ją do reszty, gdybym jej odmówił tej pociechy. Nim pomyślała o własnym pokrzepieniu, chciała się upewnić że mnie nie grozi niebezpieczeństwo. Poddałem się na chwilę, w milczeniu i ze wstydem przyjmując jej starania.

Ale, skoro ona dała folgę swej tkliwości, z jakimż żarem znów moja miłość upomniała się o swe prawa! Zdjąłem z siebie wszystko, aby, ścieląc posłanie dla Manon, uczynić mniej twardym jej leże. Ogrzałem jej ręce płomiennymi całunkami i żarem westchnień. Spędziłem całą noc czuwając przy niej i błagając niebo, aby jej zesłało łagodny sen. O nieba! jakże modły moje były szczere! czemuż okrutny wyrok nie pozwolił wam ich wysłuchać!

Niech pan daruje, że w kilku słowach dokończę opowiadania, które mnie zabija. Opowiadam nieszczęście, którego nie da się porównać z niczym; całe me życie



spłynie na tym by je opłakiwać. Ale, mimo że je noszę wciąż w pamięci, za każdym razem kiedy próbuję je ująć w słowa, dusza moja wzdryga się.

Spędziliśmy spokojnie kilka godzin. Myślałem, że droga kochanka śpi; nie śmiałem wydać najlżejszego tchnienia, aby nie zmącić jej spoczynku. O świcie, dotykając rąk Manon, spostrzegłem, że są zimne i drżące; zbliżyłem je do łona aby je ogrzać. Uczuła ten ruch i, czyniąc słaby wysiłek aby ująć me dłonie, rzekła wątłym głosem iż zbliża się jej ostatnia godzina.

Zrazu, wziąłem te słowa za prostą skargę, odpowiedziałem jedynie tkliwymi słowami pociechy. Ale westchnienia jakie wydawała Manon, jej milczenie, kurczowy uścisk rąk, w których nieustannie trzymała moje, dały mi poznać, że w istocie nadchodzi koniec jej niedoli.

Niech pan nie żąda, bym opisywał me uczucia lub powtarzał ostatnie słowa Manon. Straciłem ją; poiłem się oznakami jej czułości jeszcze gdy konała; oto wszystko, co mam siłę powiedzieć.

Dusza moja nie poszła w jej ślady. Niebo nie uważało snać pokuty za dostateczną; chciało bym odtąd wlókł życie nędzne i pełne rozpaczy. Wyrzekam się dobrowolnie odmienienia go kiedykolwiek na szczęśliwsze.

Przetrwałem więcej niż dobę z ustami przylepionymi do twarzy i rąk drogiej Manon. Zamiarem moim było umrzeć tam, ale, drugiego dnia, zastanowiłem się, iż, po moim zgonie, ciału jej groziłoby że stanie się pastwą dzikich zwierząt. Postanowiłem pogrzebać kochankę i czekać śmierci na jej grobie. Byłem już taki bliski końca, osłabiony głodem i znużeniem, że trzeba mi było wysiłku aby się utrzymać na nogach. Musiałem uciec się do krzepiących napojów które wziąłem z sobą; wróciły mi tyle sił, ile było trzeba dla mego smutnego obowiązku. Nietrudno było rozkopać ziemię; grunt był piaszczystą równiną. Złamałem szpadę, aby się nią posłużyć w tej pracy, ale mniej była mi pomocna niż własne ręce. Wygrzebałem szeroki dół; umieściłem w nim bóstwo mego serca, Manon, starannie owinąwszy ją wprzódy w mą odzież, aby ją uchronić od zetknięcia z piaskiem. Ułożyłem ją tam, uściskawszy wprzód tysiąc razy z żarem najdoskonalszej miłości. Siadłem jeszcze przy niej; patrzałem długo: nie mogłem się zdobyć na to aby zasypać rów. Wreszcie, czując, że siły me słabną i lękając się że chybią mi zupełnie nim skończę, pogrzebałem na zawsze w ziemi to, co wydała najbardziej uroczego i doskonałego. Położyłem się następnie na grobie z twarzą w piasku. Zamykając oczy z zamiarem nieotworzenia ich już nigdy, wzywałem pomocy nieba i czekałem chciwie śmierci.

Trudne do uwierzenia wyda się może panu, że przez czas tego ponurego obrządku, nie wyszła z mych ócz ani

jedna łza, z ust ani jedno westchnienie. Przygnębienie, jakie mnie ogarnęło, oraz nieodwołalne postanowienie śmierci, stłumiły uczucie rozpaczy i bólu. Toteż, ledwie ułożyłem się na ziemi, straciłem resztkę świadomości i czucia.

Po tym co pan usłyszał, zakończenie mej historii jest tak obojętne, że nie zasługuje na trud jaki pan sobie zadaje słuchając do końca. Skoro odwieziono do miasta ciało Syneleta i zbadano troskliwie rany, okazało się nie tylko że nie umarł, ale że nawet nie był ciężko ranny. Opowiedział wujowi jak się rzeczy odbyły; szlachetność nie pozwoliła mu zmilczeć mej wspaniałomyślności. Zaczęto mnie szukać; nieobecność moja i Manon zbudziły podejrzenie ucieczki. Było zbyt późno, aby się puścić w nasze tropy, ale następne dwa dni obrócono na poszukiwanie.

Znaleziono mnie, bez śladu życia, na grobie Manon; ludzie którzy mnie ujrzeli w tym stanie, prawie nagim, z broczącą raną, byli pewni że mnie okradziono i zamordowano: zanieśli mnie do miasta. Ruch sprawił żem się ocknął; westchnienia jakie wydałem otwierając oczy i wyrzekając że znajduję się między żywymi, dały poznać iż pomoc zdołałaby mnie jeszcze uratować; jakoż udzielono mi jej, aż nazbyt skutecznie!

Niezależnie od tego, umieszczono mnie w ścisłym więzieniu. Wytoczono śledztwo; że zaś nie znaleziono Manon, oskarżono mnie, iż sprzątnąłem ją w chwili szału i zazdrości. Opowiedziałem po prostu mą żałobną przygodę. Synelet, mimo boleści jaką przeszyła go ta opowieść, był na tyle wspaniałomyślny, że błagał dla mnie o łaskę. Uzyskał ją.

Byłem tak osłabiony, że trzeba było przenieść mnie do łóżka, gdzie leżałem trzy miesiące. Wstręt do życia nie zmniejszał się: wzywałem wciąż śmierci, z uporem odrzucałem lekarstwa. Ale niebo, skarawszy mnie tak srogo, miało zamiar obrócić ku pożytkowi moje nieszczęścia i cierpienia; oświeciło mnie swą łaską, i przywiodło do myśli godnych mego wychowania i stanu.

Skoro spokój zaczął się odradzać w mej duszy, w ślad za tą odmianą nastąpiło wyleczenie. Poddałem się nakazom honoru i wypełniałem dalej powinności mego urzędu, oczekując okrętów z Francji, które raz do roku jawią się w tych stronach. Postanowiłem wrócić do ojczyzny, aby statecznym życiem naprawić zgorszenie. Synelet zajął się tym, aby ciało mej drogiej kochanki przenieść w przystojne miejsce.

W sześć tygodni po wyzdrowieniu, przechadzając się samotnie po wybrzeżu, ujrzałem okręt, sprowadzony sprawami handlowymi do Nowego Orleanu. Uważnie przyglądałem się lądowaniu. Ogarnęło mnie zdumienie, skoro, między podróżnymi idącymi do miasta, ujrzałem Tybercego. Wierny przyjaciel poznał mnie z daleka, mimo zmian jakie smutek wyrył na mej twarzy. Rzekł, iż jedynym celem podróży była chęć widzenia mnie i zachęcenia do powrotu. Otrzymawszy list z Hawru, udał się tam osobiście aby mi zanieść żądaną pomoc; zmartwił się wielce dowiadując się o mym wyjeździe, i byłby się natychmiast udał za mną, gdyby znalazł sposobność. Wiele miesięcy w rozmaitych portach szukał okrętu; znalazłszy wreszcie w Saint -Malo statek do Martyniki, zabrał się na nim, w nadziei że stamtąd łatwo się przeprawi do Nowego Orleanu. W drodze, korsarze hiszpańscy napadli okręt i zaholowali go na wyspę. Tybercy wymknął się cudem; po długich wędrówkach zdołał, na tym oto małym statku, dobić szczęśliwie do miejsca mego pobytu.

Nie podobna mi było okazać, ile wdzięczności czułem dla tak wiernego przyjaciela. Zaprowadziłem go do

siebie, oddałem mu w posiadanie wszystko czym rozporządzałem. Opowiedziałem mu swe dzieje od chwili wyjazdu; wreszcie, aby mu sprawić radość której się nie spodziewał, oświadczyłem, iż ziarna cnoty, jakie niegdyś rzucił w me serce, wydały upragnione owoce. Upewnił, że tak słodka wiadomość nagradza mu trud podróży.

Spędziliśmy razem dwa miesiące w Nowym Orleanie, czekając okrętów z Francji; wreszcie, puściwszy się na morze, wylądowaliśmy przed dwoma tygodniami w Havre-de-Grâce. Uwiadomiłem rodzinę o powrocie. Z odpowiedzi brata dowiedziałem się o śmierci ojca: ze drżeniem myślę, że moje szaleństwa niemało się do niej przyczyniły. Ponieważ wiatr był pomyślny, wsiadłem natychmiast na statek do Calais, śpiesząc do jednego z przyjaciół ojca, gdzie, jak dostałem wiadomość, brat będzie mnie oczekiwał.

KONIEC

SPIS TREŚCI

